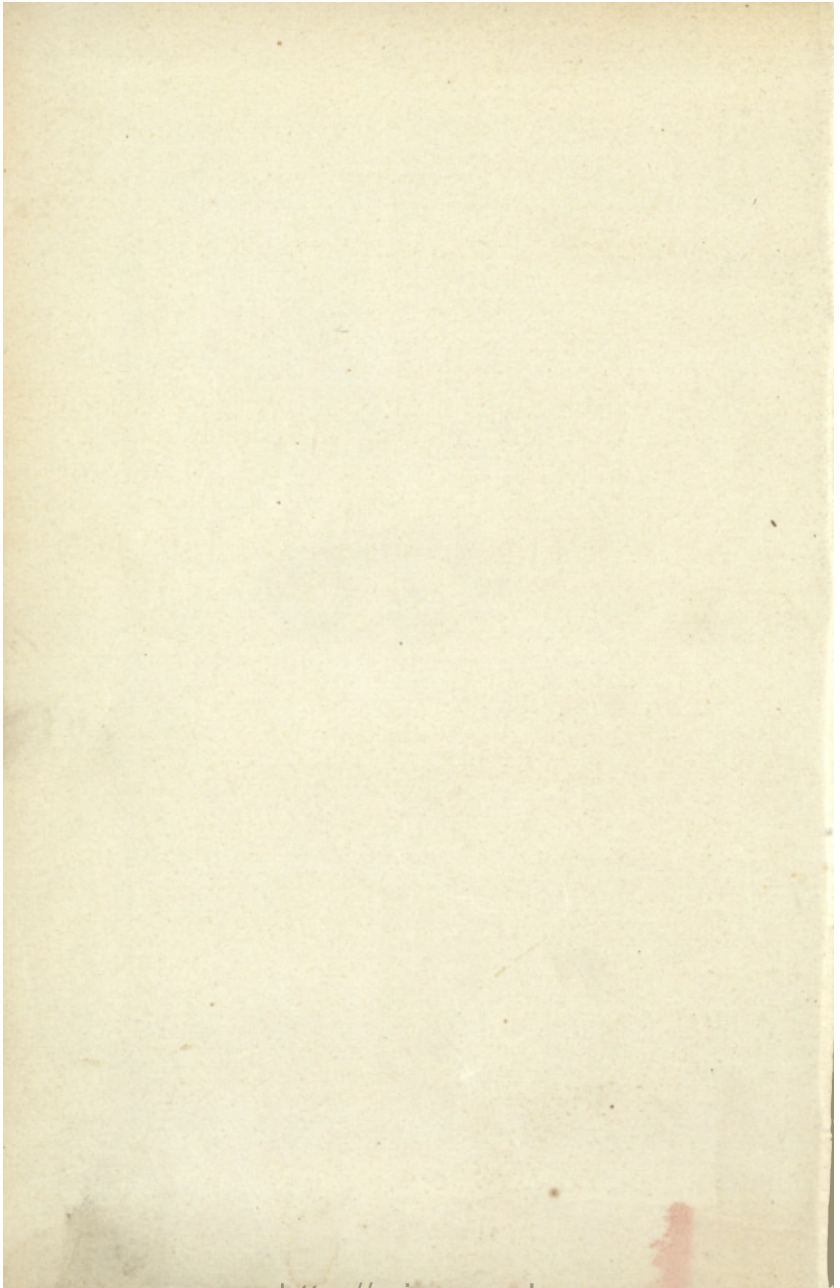


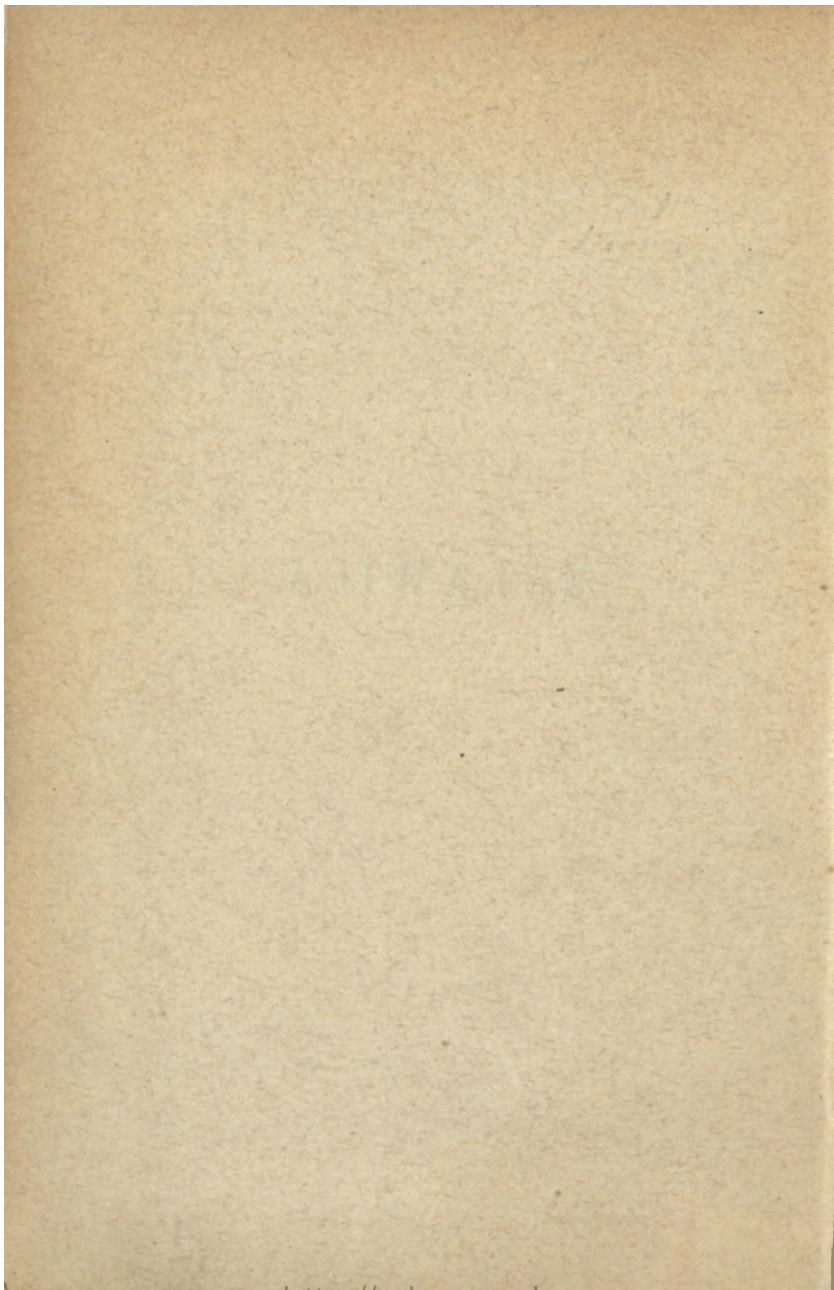
127.





1872
1874

MGLAWICA.

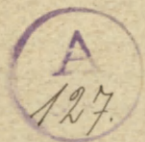


ESTEJA.

*Ti kieszonkowa ze Skoncedzi
Józefa]*

MGŁAWICA

POWIEŚĆ



Tom I.

WARSZAWA.

Nakład i druk S. Lewentela.

Nowy-Świat № 41.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 7 Декабря 1894 года.



5.14.716/1

I.

— To śmieszne bajki! Brednie! Nie wierzę temu. Jest to zagadkowe i ja nie rozumiem powodu, ale to jedno wiem, że nie miłość nieszczęśliwa spowodowała śmierć tego biednego Kazia.

— Ja także nie wierzę; powtarzam tylko pogłoskę, która po drodze obila mi się o uszy. W tej pogłosce uderza mnie naiwność, z jaką ludzie wierzą w samobójstwo z miłości.* Może się to zdarzyć, ale niezawodnie fakt taki jest niezmiernie rzadkim. Tymczasem, gdy tylko ktoś sobie w łeb palnie, natychmiast rozpuszczają pogłoskę, że ta lub owa okrutna kobieta była powodem samobójstwa.

— Śmieszne, doprawdy!

— Czy on się kochał? Nie wiesz? Na mnie robił wrażenie człowieka całkiem wolnego od tej zarazy. Motylkował. Ja go niewiele znałem, ale tak sądzę z ostatniego balu.

— Ja go znałem bardzo dobrze; jestem pewien, że kobiety nie grały poważniejszej roli w życiu jego. Nie dbał o nie.

— I mnie się tak zdaje. To wszystko razem sensu nie ma. Prędeż uwierzyłbym w samobójstwo z przesytu miłości. Nie mógł już nie odczuć, mieć serce tak zużyte, że z góry przewidzieć można każde jego uderzenie, z góry wiedzieć, że ono nie jest w stanie zabić żywej: wtedy rozumiem, że sobie w łeb palnąć można; w takim położeniu rzeczy jest się żywym nieboszczykiem. Patrząc na samego siebie, jak na umarłego, przyglądać się swej własnej śmierci za życia: to musi być straszne uczucie. Ale Sadecki nie robił wrażenia zblazowanego młodzieńca: przeciwnie, wydawał się pełnym życia.

— Marzyciel! Zachciało mu się może gwiazd z nieba, albo gruszek na wierzbie. Ja nigdy pojąć go nie mogłem.

— Bo i cóż mu brakowało do szczęścia? Młody, inteligentny, przystojny, zdrów, miał przyjaciół, miał mir między swoimi, a w dodatku odziedziczył spadek, który mu zapewniał byt niezależny. I co takiego człowieka do samobójstwa skłonić mogło?

— Spleen! Fantazya! Poezya! Czy ja wiem? Pewnie nigdy nie zbadamy dokładnie tej tajemnicy, chyba, że on z tamtego świata przyjdzie nam ją wytlómaczyć.

Ostatnie słowa wymówił Wacek Drohiński, wstając z szezlonga, na którym leżał, i zbliżył się do lampy, by papierosa zapalić.

Cisza chwilowa zapanowała w niewielkim salo-

niku przy jednej ze spokojnych ulic Lwowa. Dwaj panowie, którzy dopieroco prowadzili ożywioną rozmowę, zadumali się głęboko. Tak jeden, jak drugi, widzieli zaledwie trzy dni temu zmarłego towarzysza, czy znajomego, o którego śmierci rozmawiali, nie pojmując jej powodu.

Wacław Drohiński, brunet, średniego wzrostu, o zwinnych ruchach, żywych czarnych oczach, o ustach zbyt wypukłych i szerokich, ocienionych niewielkim ciemnym wąsem, o nosie wydatnym i dość kształtnym, mógł się do przystojnych zaliczać. Życie wnosił z sobą; mówił dużo i płynnie; lubiony był w towarzystwie; panie bez niego obejść się nie mogły; nikt, jak on, nie umiał ich myśli odgadywać i spełniać w lot życzeń. W salonach kręcił się, zbliżał się od jednej osoby do drugiej, nie umiał spokojnie usiedzieć na miejscu; ale dla uważnego badacza ta jego ruchliwość i ożywienie sztuczniemi mogły się wydawać. Coś nienaturalnego, wymuszonego znać było w jego spojrzeniu i rozmowie. Wprawdzie uderzało to tylko przy pierwszej znajomości; następnie zacierało się to wrażenie i każdy gotów był głosić, że Wacek Drohiński—to najmiłszy człowiek, uprzejmy dla wszystkich, gotów do oddania usługi, sprytny i zawsze na swoim miejscu.

Jeszcze więcej ceniono go jako urzędnika w biurze banku. Koledzy, wróżąc mu świetną przyszłość, nazywali go żartobliwie filarem tego banku. Ale nie

o bankowej karierze marzył on: inne żywił ambicje. Nad wyraz trudne okoliczności, które musiał zwalczać do tej pory, nie pozwalały mu zakosztować tego wszystkiego, czego łaknął, czego żądał. Zanim-byzdobył wytrwałą pracą wysokie stanowisko, mogące zapewnić mu używanie wszystkich dostatków, minęłyby długie lata, a w takich warunkach... Bo warunki, podług niego, były nie do zniesienia ciężkie.

Stary pan Drohiński, ojciec Wacka, umierając, zostawił żonie, synowi i córce tylko długi. Pani Drohińska nie czuła się stworzoną do walki z losem; o pracy pojęcia nie miała, nędzy bała się do tego stopnia, że byłaby zdolną na kolanach błagać familię, by jej w pomoc przyszła. Familia nie żądała aż tak pokornej prośby. Nad wdową i jej dziećmi złożono radę. Po długich sprzeczkach okazało się, że nie uratować nie można, że pani Drohińska, aby żyć, potrzebuje czynnej pomocy całej rodziny. Złożono się tedy na nią, wedle możności; wyznaczono jej tysiąc złr. rocznego dochodu. Najęto dla niej mieszkanie we Lwowie, a jeden z najwymowniejszych członków głośniejszej rodziny wyrznął wdowie krótkie kazanie, dodając do materyalnej pomocy trochę obroku duchowego dla niej i dla dzieci.

Z tego to kazania pani Drohińska dowiedziała się, że czasy wielkopañskie minęły dla niej bezpowrotnie, że powinna się przejąć surowemi zasadami życia, że powinna zapomnieć o tém, co było, dzieci

wychować bez „fumów,” bez pretensyi, bo, że wszystko ma swój koniec na świecie, i dobroczynność zjednoczonej familii wyczerpać się musi etc. Jednym słowem, oracya była bardzo rozsądną, ale naturalnie bez przymieszki octu, żółci i piołunu się nie obeszło.

Gdy raz serce familii zdobywa się na ofiarę, to cóżby dyabeł zrobił, gdyby do owej ofiary nie dorzucił swego zjadliwego ziarna, które sprawia, że tak rzadko kiedy na prawdziwą wdzięczność zdobyć się można?

Pani Drohińskiej ani w głowie nie postąpiło myśleć o wdzięczności; za co? za te marne tysiąc złr.! Ledwie miała czem mieszkanie zapłacić i służącego. Na liberyę stało ją tylko dzięki cudom oszczędności, o jakiej trudno mieć choćby słabe pojęcie. Aby jako tako podtrzymać „honor domu,” nieraz obejść się musiano bez mięsa, a nawet bez czystej bielizny.

Zimą palono tylko w saloniku na wypadek gości, inne pokoje zostawały nieogrzone. Obywano się jedną lampą, karmiono się po większej części chlebem z bryndzą i herbatą.

Pani Drohińska ludziła się, że o tych jej oszczędnościach nie w towarzystwie nie wiedzą. Wiedziało jednak, choćby przez służbę, która zmieniała się co kilka miesięcy. Ale cóż to mogło towarzystwo obchodzić, skoro naokoło pozory były zachowane? Szyk zewnętrzny był, lokaj w liberyi był, a w cza-

sie, gdy Halka Drohińska dorastała, toalety były stosowne i gustowne: cel zatem został osiągnięty.

Pani Drohińska niewiele rzeczy znała, ale znała gruntownie świat, którego była częścią. Umiała tam podejść, gdzie przeskoczyć było niemożliwem, umiała wypłynąć z pomiędzy światowych trudności, a choć często próbowano zepchnąć ją na dno, to jest usunąć jej z pod nóg ten grunt salonowy, o który więcej dbała, niż o zbawienie duszy, to przecież z prawdziwem bohaterstwem broniła zagrożonego stanowiska, i teraz nadchodziła chwila, gdy wszelkie jej nadludzkie wysiłki miały zostać uwieńczone zwycięstwem — świetnem małżeństwem córki.

Ów młody człowiek, który tak żywo odczuł śmierć Kazimierza Sadeckiego, był to narzeczony Halki, pan Czesław Złoczowski. Tak pan Złoczowski, jak matka jego narzeczonej, pani Drohińska, nosili tytuły hrabiowskie; ale, że tytuły te nie były uzasadnione, a koronę dziewięciopalkową noszono tylko dla dogodzenia tradycyom, więc wolno było po za plecami tych państwa nie obarczać stylu ciąglem dodawaniem „hrabia,” „hrabina,” tembardziej, że Czesław Złoczowski należał do tego rzadkiego gatunku ludzi, którzy o to nie dbają. Z wyjątkiem śmiesznej w tym względzie obojętności, młody ten człowiek posiadał wszelkie warunki, usposabiające mamy i córki ich do marzeń.

Niezwykłe ujmująca powierzchowność przema-

wiała za nim. Bardzo, zanadto może, wysoki, ale kształtny, barczysty, na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie siły. Wrażenie to nie zacierało się po bliższym przyjrzeniu się rysom jego. Podłużne, myślące oczy siwe, błyszczwały nieraz serdecznym uśmiechem, ale usta, o kątach silnie zaznaczonych, więcej o energii, niż o słodyczy świadczyły. Długie ciemnoblond wąsy dodawały rycerskości tej męskiej postaci, nos duży, z wydatnym garbem, owal twarzy ściągły, czoło przedzielone bruzdą głęboką, która nosiła wyraz zamyślenia. Był młodym, ale widać było, że trzydziestkę zostawił już za sobą, że jest człowiekiem dojrzałym.

Co go czyniło przedewszystkiem niesłychanie ponętym w oczach mam i ojców, mających córki na wydaniu, to jego wielki majątek, który rządnością, pracą i ciągłym staraniem właściciela rósł z rokiem każdym, i ta nieskalana reputacya tego Złoczowskiego, o którym starzy i młodzi z uznaniem mówili, i wreszcie jego charakter nieposzlakowany. W dodatku nosił stare rodowe imię, więc był doskonałym. Jako przyszły mąż, nie przedstawiał słabej strony. Z ciekawością śledzono go wszędzie; nieraz radzono nad tem: kogo ten człowiek wybierze, bo wybierać wolno mu było między najświetniejszymi partjami.

Zdziwienie granic nie miało, gdy nagle rozeszła się pogłoska, że szczęśliwą, na którą padł wybór,

jest Helena Drohińska. Dlaczego ona? Zkąd? Jakiem prawem? Z trudnością przyszło wszystkim zgodzić się na ten dziwny wybór, tylko, że Złoczowski nie pytał o niczyją zgodę i darowano mu prędko tę „ekscentryczność,” jak wszystko darowuje świat tym, którzy są niezależnymi i liczyć się z nim nie potrzebują.

Tém mniej pojmowano wybór Złoczowskiego, że według powszechnego zdania, Halka nawet urodą wyboru tego nie usprawiedliwiała. Wedle jednych nieładna, wedle drugich zaledwie przystojna, kilku tylko osobom piękną się wydawała, i to ku ogólnemu zdziwieniu.

W téj chwili, gdy narzeczony jej, siedząc na fotelu z rękoma nad głową splecionemi, w dal zapatrzonej, duma nad tragiczną śmiercią Sadeckiego, gdy brat jej zapala papierosa nad lampą, wchodzi Halka Drohińska do saloniku, dywan tłumi odgłos jej kroków, staje obok Czesława tak niepostrzeżenie, że ten drgnął cały, gdy odwracając głowę, ujrzał ją tuż przy sobie, białą panią swoją, tak nienaturalnie bladą, choć ona zawsze bladą była.

Dziwne wrażenie robiła Halka Drohińska. W białej sukni szczególniej przypominała wszystkie podania o widmach z zamku rydzyńskiego, o białych damach, snujących się o północy po zamkach królewskich, o czémś z tamtego świata w ogóle. Bardzo jasne blond włosy, tak jasne, że ją jako dziecko

Albinoską matka nazywała, a pocichu niezyczliwi do dziś dnia mianem t \acute{e} m ją darzyli; niezmiernie blada, przejrzysta cera, usta ślicznie zarysowane, ale zimne, barwą do różowego koralu podobne; wielkie oczy popielate, czy też zielone, czy może niebieskie, czasem stalowe, czasem prawie czarne nawet, najczęściej jednak bezbarwne, o zagadkowym wyrazie, zdziwione, czy pytające, czy trochę wystraszone, nie wiadomo: może bezmyślne.

Nos niewielki, bez klasycznego zakroju, twarzy nie szpecący; włosy zaczesane *à la vierge*, nad niskiem czołem ani śladu grzywki; jasne brwi i rzęsy, łagodny owal twarzy; ślicznie wygięta, może nieco za długa szyja; ramiona spadające; zresztą figura nadto wątła, szczupła, eteryczna.

Halka wyższą się wydawała, niż nią była w istocie. Wszystko razem wzięte sprawiało wrażenie *d'une blonde fade* — fizycznie.

A moralnie? Na zapytanie „co o niej myślisz?” — odpowiadano: Ona nie daje do myślenia. Musi być nic nie znacząca.

W tej chwili stoi obok Czesława, który z uśmiechem tłómaczy się jej ze swego przestrachu.

— Tak żywo widziałem tego biednego Sadeckiego — mówi — ta jego śmierć tragiczna takie na mnie wrażenie zrobiła, że dreszcz mnie przeszedł, gdy nagle białe widmo ujrzałem nad sobą.

Halka głosem przyćmionym, zastosowanym do

całej bladej jej urody, zapytuje po chwilowém, ale widoczném, wahaniu:

— Czy wiadome są już szczegóły tej śmierci?

— Wiadome, choć powód niezbadany. Pomyśleć, że trzy dni temu byliśmy z nim razem na balu; wesoly był, sam ofiarował się tańce prowadzić; to nie do uwierzenia!

— Tak, to takie dziwne!

— Jeszcze dziwniejsze to, że rano w dzień balu był podobno u spowiedzi i komunii. Wieczorem byłaś pani świadkiem, z jaką werwą prowadził mazura; no, no w kilka godzin później — zabił się.

Czesław, opowiadając te szczegóły narzeczonej, trzymał rękę jej w swej ręce; gdy skończył, ona cofnęła mu dłoń swą, zimną, jak zwykle, może jeszcze zimniejszą, lodowatą prawie, i usiadła na kanapie, w cieniu, tam, gdzie *abat* już światła nie dopuszczał.

I znowu nastąpiło chwilowe milczenie; widocznie wszyscy jeszcze byli pod wrażeniem tragicznej śmierci znajomego, czy przyjaciela.

— Czy pani nie widzisz w tém niezbadanej tajemnicy? Zastanawialiśmy się z Wackiem, co mogło być powodem takiego niespodzianego końca.

— Może to fałszywe pogłoski tylko? Może to nie samobójstwo? Może nagła śmierć? — pytała Halka głosem bezdzwięcznym, przyciszonym.

— Niestety, jest to stwierdzonym faktem, nie można już o tem wątpić.

— Nie zostawił żadnego listu wyjaśniającego?— pytała dalej młoda dziewczyna, ręką głowę podpierając i czyniąc z dłoni zasłonę nad oczami.

— Nic, zupełnie nic! — odparł brat jej.

— Tak, to bardzo dziwne — powtórzyła raz jeszcze Halka i zwróciła rozmowę na inny przedmiot.

Tak obojętnie zachowała się w tej sprawie, że Czesław nie mógł się powstrzymać, by nie zwrócić uwagi jej na brak współczucia, jakie okazuje w tem wielkiem nieszczęściu, do którego, chociaż mało znał bohatera tragedyi, pamięć jego uparcie wracała.

— Doprawdy — mówił — mnie czasem przycho-
dzą na myśl podania skandynawskie, gdy patrzę na panią. Lodowiec jakiś w mgłę się rozplynął, mgła postać kobiety przybrała — *et vous voilà*.

— Czy ja rzeczywiście takie mroźne sprawiam wrażenie?—pytała Halka, podnosząc na narzeczonego oczy, w których trudno było cokolwiek wyczytać.

— Pani dobrze wie, co odpowiem — odparł Złoczowski, obejmując narzeczoną wzrokiem, pełnym nieograniczonego przywiązania — pani wie — mówił dalej żartobliwym głosem — że moja temperatura podnosi się przy niej o kilka stopni; ale to źle, tak być nie powinno, bo pani, doprawdy, jesteś lodow-

cem podbiegunowym. Najlepszy dowód—ta śmierć: mną wstrząsnęła do głębi, a pani zaledwie o szczegóły spytać raczyła. Przecież lubiłaś go; taka dawna znajomość; na ostatnim balu tańczyłaś z nim; tak niedawno; trudno uwierzyć! Trzy dni temu!

Halką dreszcz wstrząsnął od stóp do głowy; gwałtownym ruchem zakryła oczy rękoma i szepnęła zaledwie dosłyszalnym głosem:

— Niech pan nie mówi. Czemu wspominać o tém? Właśnie dlatego, że pozory są mylne, nie trzeba wierzyć.

Czesław zbliżył się do niej, ręce jej chwycił w swoje dłonie i patrzył zblizka w jej twarz, tak przerażająco bladą w tej chwili.

— Przepraszam panią moją najdroższą — mówił zcicha, nie zwracając uwagi na brata narzeczonej, który w tej chwili z zajęciem czytał gazetę ze sprawozdaniem o śmierci młodego Sadeckiego. — Przepraszam cię — powtórzył Złoczowski — nie myślałem, że ty to odczujesz do tego stopnia; nie przypuszczałem, że taka wrażliwa jesteś!

Ona nagle z miejsca powstała, wyrwała ręce z rąk narzeczonego i zawołała z przest్రachem:

— Zostaw mnie pan, zostaw!...

A zanim on ochłonał ze zdziwienia, wybiegła z salonu.

W chwili później dał się słyszeć stuk drzwi,

zamykanych nerwowo. Halka schroniła się do swego pokoju.

Pokój ten dziwny przedstawiał widok. Równocześnie nieład i zamięłowanie w estetyce, brak komfortu, połączony z kosztownymi gracikami. Nad łóżkiem kotara, złożona z koronek, pokrywających tło niebieskie jedwabne; widocznie i tło i koronki posztukowane z dawnej balowej sukni. Szafy do sukien brakowało; cała garderoba panińska na ścianach, na gwoździach, umieszczoną była. Lustro ogromne, tryptyk składające, ale w całym pokoju świeca jedna w zaśniedziałym mosiężnym lichtarzu. Stół, prostą ceratą obity, służył za biurko, na nim wyszczerbiona flaszeczka atramentu, a pióro z lapis lazuli; kawałek bibuły zastępował teczkę, a na niej papier listowy najmodniejszy, ze złotą koroną o dziewięciu palkach. Brak firanek u okien, a na otomance, starym dywanem pokrytej, futro z białego niedźwiedzia, niedbale rzucone. Wielki angielski *tub* gutaperkowy, a karafka nadtluczona i piękna szklanka ze szkła grubego zielonkowatego. Jednym słowem: nie w tym panińskim przybytku nie harmonizowało z sobą. Zimno tu było, a jedna paląca się świeca nie dodawała wesołości pokojowi.

Halka Drohińska, gdy tak niespodzianie zerwała się z miejsca i, opuszczając narzeczonego, tu się schroniła, zaczęła krążyć po pokoju szybkim krokiem, tam i na powrót, oczy rękoma przysłaniając. Chciała

opanować myśli, i pierwszy raz w życiu panować nad nimi nie mogła. Wyrwały się bezładne, jedna przeczyła drugiej; plątały się, jak liście skłębione i rozproszone wichrem, jak strwożone ptaki, szaloną zawieruchą pchane naprzód, nie wiedząc, gdzie lecą.

Od czasu do czasu dreszcz wstrząsał jej ciałem; przystawała na chwilę; ręce jej bezwładne opadały; wpatrywała się w jeden punkt i jakby widmo jakiegoś stało w jej oczach, gwałtownym ruchem oczy zakrywała. Miała widocznie zamiar uciekać od tego, co ją trwożyło, bo ku drzwiom pobiegła, z ręką na klamce opartą stanęła nieruchoma i znowu wróciła, by rozpocząć tenże sam pochód wzdłuż i wszerek pokoju.

Jak zwierzę w klatce uwięzione szamotała się w zamknięciu, ale widocznie gdzieindziej nie spodziewała się znaleźć wytchnienia, skoro po namyśle wołała pozostać w tych czterech nagich murach.

Ktoś zastukał.

Ona drgnęła przerażona, ale natychmiast oprzytomniała; odetchnęła nawet swobodniej, jak gdyby rada była, że ktoś przerywa ciszę.

Zawahała się jednak: otworzyć, prosić, czy też milczeć lepiej?

Zastukano powtórnie.

— Kto tam? — odezwała się Halka.

— To ja. Czy wolno wejść?

— Pan Czesław?

I oczy młodej dziewczyny znowu trwożą się napelnily; wahała się, jaką dać odpowiedź.

— Ja w swej własnej osobie — odparł narzeczoney żartobliwym głosem, dodając: — czy mnie pani skazuje na samotność? Już pół godziny cierpliwie czekam.

— Przepraszam pana bardzo... ja... mnie... no, trudno! Niech pan weźmie to za fantazyę, ale ja wolę być sama cały wieczór. Wacek i mama do-trzymają panu towarzystwa.

— Co pani jest? *Voyons mon amie, vous n'etes pas malade?* — pytał niespokojnie pan Czesław, zawsze po za drzwiami, kończąc zdanie po francusku; widocznie nie życzył sobie służby wtajemniczać w zbyt głośną rozmowę.

Przez myśl Halki przebiegło w tej chwili małe „aparte”. Trzeba sobie będzie migrenę wymyślić na przyszłość, niema rady. Muiejsza o to.

I rzekła niedbale:

— Nic mi nie jest. *Je suis mal disposée, cela m'arrive, il faut en prendre votre parti.*

Czesław lakonicznie i dość sucho odparł:

— *J'essayerai.* Dobranoc.

— Dobranoc!

Teraz Halka wolno i w zadumaniu zbliżyła się do otomanki i siadła wyprostowana. Myśl jej widocznie inną poszła drogą: skoncentrowała się na je-

dnym przedmiocie. Półgłosem, jakby na zakończenie rozmyślań, rzekła w końcu:

— Tém lepiej. Obrazilam go, tém lepiej.

Potém wstała i podeszła do stolika, biurko zastępującego.

— Im prędzej, tém lepiej. Tak być musi — mówiła do siebie.

Po krótkim zastanowieniu siadła, wyjęła z pudełka ćwiartkę papieru i poczęła pisać:

„Niech mnie pan nie potępia, albo wolno panu potępić mnie nawet. Mnie wszystko jedno. Ale żoną pana nie będę. Nie kocham pana; pomyliłam się, albo może i nie pomyliłam się wcale; wiedziałam, co robiłam; mniejsza o pobudki. Niech się pan nie martwi.”

Ostatnie słowa widocznie nasunęły jej jakąś straszną myśl, bo nagle pióro rzuciła i przerażona zerwała się z miejsca.

— Niech się pan nie martwi, nie martwi!

Oua w tej chwili spostrzegła siebie w balowej sukni, w tej sukni, która tam jeszcze wisi, tylko wstążki niebieskie wyglądają z pod innej sukni, wełnianej.

Pobiegła gorączkowo w tę stronę i wstążki nerwowym, gwałtownym ruchem wsunęła pod fałdy popielatego kostyumu. To jej nie wystarczyło; schwyciła pokrowiec, leżący na krześle, i starannie

przysłoniła miejsce, na którém wisiała balowa suknia.

Jednak to wszystko nie nie pomogło. Widzenie duszy nie pierzchło, choć oczom nie już przeszłości nie przypominało.

— Niech się pan nie martwi — pisała. — Niech się pan nie martwi — mówiła kilka dni temu.

Siedziała znowu nieruchoma na szeszlongu, a głowa białego niedźwiedzia osuwała się z wolna, pociągnięta jej ciężarem, i padła nagle na ręce panienki. Halka musiała być zdenerwowaną do najwyższego stopnia, bo krzyknęła, i zrywając się z miejsca, jak oszalała, biegła ku drzewom.

Będąc na korytarzyku, wiodącym do dalszych pokojów, ochłonęła z przestachu i zastanowiła się.

— Tam iść nie mogę, nie jestem w stanie rozmawiać. Nikt nie powinien wiedzieć, ale w tym ciemnym pokoju tak straszno. Więcej światła, to będzie lepiej — zdecydowała w końcu.

Ostrożnie, aby jej nikt nie posłyszał, odemknęła drzwi od pokoju brata; zabrała ztamtąd dwie świece, zaniosiła je do siebie i zapaliła.

— Trzy! To zły omen; mówią, że to śmierć wróży.

Wyszła powtórnie, zawsze skradając się pocichu, i z pokoju matki znowu jedną świecę przyniosła.

— Teraz lepiej — rzekła, oddychając swobodniej.

Myśl jej strudzona ucichła na chwilę i, zamiast rozszalałych uczuć, praktyczne uwagi poczęły cisnąć się jej do głowy. Zkąd się wzięły o tej porze? zkąd się wzięć mogły po tej nawałnicy wewnętrznej?

— Tyle świec szkoda! To kosztuje! Trzeba zgasić.

Spojrzała dokoła.

— Wszystko nędzne, straszne. Gdybym za niego wyszła, tobym o świecach myśleć nie potrzebowała. Wszystko nędzne! Lustro—od Wiluni podarunek! Skóra niedźwiedzia—od Wiluni podarunek! Wszystko z łaski krewnych. Nawet ten *tub* gutaperkowy, zbytek, o którym marzyłam, to także od Wiluni—z łaski. Reszta—nędza!

— Trzeba te świece zgasić — mówił nałóg oszczędności, chociaż oszczędności tej nienawidziła.

Ale bunt powstał na to w jej duszy.

— Nie potrzebuję: będę bogata. Skończy się to wszystko. Ach! odetchnę nareszcie.

I odetchnęła, ale ciężar nie spadł z serca; poczuła teraz żelazną rękę, która ścisnęła ją za gardło; tehu jej zabrakło.

— Nie mogę! Tamten mścić się nie będzie. Nie mogę! Zwaryowałam. Trzeba dokończyć listu. Jutro mu oddadzą. Ten podrę. Inaczej napiszę. Trudno! Takie fatum! Chciałam być bogatą: ehciwość mści się nademną. Trzeba świece zgasić. I jedna zawiele kosztuje.

Teraz przy jednej tylko świecy pisała znowu:
„Niegodziwie napozór postąpiłam względem pana. Niech mi pan daruje, proszę mnie nie sądzić—tak lepiej. Zwracam panu słowo. Inna, lepsza ode mnie, będzie żoną pana. Ja nie mogę. Nie Kocham pana, ale przyjaźń zachowam.”

I znowu ktoś stuka.

— Wacek? Proszę. Cóż to? Wy się stanowczo obejść nie możecie bezemnie? Pierwszy raz od urodzenia chcę się wybić z pod jarzma i mieć swobodę na kilka godzin; nie możecie mi dać spokoju?

Mówiła głosem poirrytowanym, oczy jej świeciły z gniewu.

Brat patrzył na nią zdziwiony.

— Czy to ty, czy nie ty? — zapytał w końcu ironicznie. — Czary jakieś! Lodowiec skrami bucha.

Wystarczyło tych kilka słów ironii, by skry ugasić.

Halka najzimniej zapytała:

— O co ci chodzi?

— Co to jest?

— Pod jakim względem mianowicie?

— Co znaczą dzisiejsze chimery? Nigdy się tego po tobie nie spodziewałem. Jedno rozczarowanie więcej. Myślałem, że ty, jedyna z kobiet, nie masz nerwów.

— Nie mam.

— Więc cóż cię napadło, u licha? Czesław wy-

skoczył, jak oparzony; porwał za kapelusz, nawet się ze mną nie pożegnał. Matka wraca w tej chwili i zapowiada panią Wasiliczową z córką na wieczór: lada chwila przyjdą. Czy ty myślisz, jak puhacz, sama w tym pokoju siedzieć? Co tobie w głowie?

— Miałam list ważny do napisania; nie widzę powodu, by z tego robić taką scenę. Za chwilę skończę i przyjdę.

— A Czesław? Co mu się stało?

— Nie wiem. To on chimeryk widocznie.

— Czy wróci?

— Nie wiem. A! jest i mama. Gdzież mama bawiła tak długo?

— Gdzie wy się podziewacie? Myślałam, że ciebie i Czesława w salonie zastanę. Gdzie ja nie byłam! U baronowej Friese wszystkie cztery córki, stare panny, mnie podejmowały. Kwintesencją rozmowy byłaś ty i Czesław i pobożne przypuszczenia, że małżeństwo zerwanem zostanie. *C'est dans l'air*. Byłam u Berkowej po tę koronkę: nie chciała spuścić z ceny. No, mniejsza o to, kupiłam. Dziś już nareszcie ten jeden floren więcej, albo mniej—bagatela. Byłam u starej księżny Wielozłockiej; komedia! Ścisłała mnie, całowała. *Chere amie par ci, cherie par là*. Komedia! A niedawno temu zaprosiła nas na wieczór, z obawy, by jej zrujnowany synalek... *Je ne dis que ça*. Podczesz się trochę. Trzeba będzie zająć się herbatą. Za chwilę przyjdzie Wasili-

czowa. Wacku, *garde-toi*, na ciebie kolej. Powiadam ci, mówiła mi pani Wadowska, że Lunci Wasiliczównie na jednym stole wygarną pięć kroć,—na jednym stole! A propos, gdzie Czesław?

Pani Drohińska mówiła bez wytchnienia; mieszała wszystkie języki naraz; gdy mówiła o jednym przedmiocie, myśl już wybiegała w innym kierunku, i język jej nigdy swej pracy sprostać nie mógł.

Bardzo wysoka, otyła, dziwne robiła wrażenie przy tej swojej ruchliwości; sprzeczność wielką stanowiły te ruchy spłoszonego ptaka przy imponującej okazałości ciała.

— Już ja pójde naprzód — kończyła, nie czekając na odpowiedź — lada chwila nadejdą. Śpiesz się, Halko. Wacku, *gare à vous*. Chodź.

W godzinę później w saloniku, w którym, oprócz rodziny Drohińskich, dwie obce panie się znajdowały, gwarno było, bo gospodyni domu nie pozwoliła rwać się rozmowie, a Wacław Drohiński był także w stanie ożywić całe towarzystwo.

Dzwonek dał się słyszeć.

— To pan Czesław — rzekła zwykłym głosem Halka i wstała z tą swoją spokojną dystynkcyą, by podążyć naprzeciwno narzeczonego.

— Wolę przywitać go bez świadków — pomyślała, gdy matka zdziwiona robiła w duchu uwagę, że jej lodowata córka po ludzku czuć zaczyna i biegnie na spotkanie narzeczonego.

Służący już pomógł zdjąć futro panu Złoczowskiemu i wyszedł, widząc, że młodzi państwo rozmowę zaczęli.

— Gniewasz się pan?

— Nie pojmuję. Przyznam się, że tylko wielka obawa o zdrowie pani skłoniła mnie do powrotu. Nie mogłem zgodzić się na myśl, że to żart jakiś, albo rzeczywiście fantazya.

— A jeżeli próba?

— Panno Halino, czy to możliwe? To mi się nieprawdopodobnym wydaje — mówił Czesław, patrząc zblizka w oczy swej narzeczonej.

— Dlaczego takie niemożliwe?

— Bo to dziecinne, a pani aż zamało jesteś dzieckiem.

— Może tak się panu zdaje. Może mnie przyjdzie wychowywać z trudnością.

— Niestety! Nie mam żadnych złudzeń co do tego. Mam to wrażenie, że nigdy na panią wpływu mieć nie będę.

— O tyle, o ile ja wpływowi poddać się nie zechcę.

Czesław popatrzał chwilę na narzeczoną smutnymi oczyma. Westchnął, pocałował ją w rękę i rzekł:

— O jedno tylko proszę, niech pani prób tych nie powtarza, jeżeli to próba.

— Czy dlatego, że pan nie dowierzasz sobie? sił nie jesteś pewien?

— Ja, pani? Zanim coś zdecyduję, zawsze głęboko się nad tem zastanowię, siły wypróbuję na-przód: więc pewien ich jestem. Ale mam dużo dumy; pani możesz to miłością własną nazwać. U osoby, która uczuciem mojem zawładnie, nie zniósłbym wątpliwości co do uczucia tego. Potrzebuję wierzyć, i potrzebuję, by mnie także wierzone. Mówię to z intencją, z naciskiem. Czy pani mnie rozumie?

Halka stała ze spuszczonei oczyma: już widocznie panowała nad sobą; najmniejsze drgnienie nerwów, żaden cień wzruszenia, niepewności, nie przesunął się po jej twarzy. Odparła spokojnie:

— Rozumiem, ale chciałabym wiedzieć coś więcej, bo ja pana nie znam jeszcze.

— Odpowiem na wszystko; im więcej pani pytać zechcesz, tem lepiej; chcę, żebyś mnie znała.

— Co jest u pana silniejsze: uczucie, to jest miłość, czy duma? albo... miłość własna?

— Na to trudno jest dać stanowczą odpowiedź; zdaje mi się, że potrafiłbym złamać w sobie nawet miłość, gdyby moje pojęcie o godności osobistej tego wymagało. Wyrzekłbym się miłości, gdyby się z tem pojęciem nie zgadzała; ale, mając naturę stałą, uczucia raz zakorzonego nie potrafiłbym pewnie wyplenić. Powtarzam jednak, gdyby tego była potrzeba, zgniótłbym serce, chociażby ono już na całe życie zamilknąć miało.

— Jak pan możesz mnie wierzyć, skoro mnie pan nie znasz?

— Wiara jest ślepa, więc wierzę na ślepo; inaczej niepodobna, zwłaszcza w stosunku do pani. Zanim-bym cię poznał gruntownie i na doświadczeniu chciałbym się oprzeć, to może i życia-by nie stało. Ale chcę wierzyć: to bezgraniczne zaufanie moje wystarczy, byś mi nigdy zawodu nie zrobiła. Chcę i potrzebuję wierzyć, że gdybyś ty pewną nie była twego uczucia tak, jak ja swego pewien jestem, gdybyś o sobie wątpić miała, to nie zezwoliłabyś na krok nieodwołalny. Czas narzeczeństwa jest właśnie czasem próby.

Halka milczała ciągle, ale jego to nie dziwiło; ona była małomówną i więcej słuchała, niż objawiała swoje zdanie.

On ciągnął dalej, poważnie podkreślając każde słowo:

— Przyszedłem teraz, to jest wróciłem po to tylko, aby się o prawdzie przekonać. Niespodziany objaw humoru, godzinę temu, przeraził mnie. Jeżeli jest chora — pomyślałem — śmieszném i dziwném byłoby z méj strony zrażać się, bo inne przypuszczenia zanadto były bolesne. Widzę panią zdrową, więc pytam raz jeszcze: czy rzeczywiście po dziecinnemu chciałaś mnie na próbę wystawić? Powiedz, powiedz prawdę. Bo, widzisz, ja prawdy potrzebuję. Prawdą żyję, kłamstwem się brzydję. Ja po-

trzebuję wierzyć, potrzebuję oparcia, pewności. Nie jestem marzycielem; jestem krańcowo dogmatycznym. Tak, albo nie; wątpliwości, półśrodków, chwiejności nie znoszę... może dlatego, że zastanawiać się nauczyłem dzieckiem jeszcze; może dlatego, że wkoło siebie widziałem wszystko chybiające, cele nieosiągnięte, ogólną bezcelowość w życiu, że widziałem brak wytrwałości, pochodzący nietylko z lenistwa, ile z braku stałych przekonań. Taka chwiejność zmarnowała życie moim najbliższym; szczęście domowe, majątek, obowiązki społeczne,—wszystko szło i idzie na marne z braku przekonań; więc ja przed niczem nie broniłem się tak uporczywie, jak przed ową chwiejnością, i wyrobiłem w sobie pojęcia, od których dziś, choćbym chciał, odstąpić już bym nie mógł. Chcę, byś o tém wiedziała, Halko moja ukochana — kończył, biorąc jej rękę i do serca tuląc. — Chcę, byś i ty zawodu nie miała. Zdaje mi się, że wybrałem cię, nietylko idąc za porywem uczucia, które zawsze jest ślepe, a tylko przypadkiem dobrze trafia, ale i za przekonaniem. Ty także jesteś zdecydowana. O tyle cię poznałem, by wiedzieć, że nie jesteś maryonetką, rządzoną okolicznościami; że wiesz, co znaczy chcieć i niechcieć i wytrwale w obranym kierunku dążyć. Mówiłem ci, że smutkiem może, iż wątpię, bym na ciebie wpływ wywierać potrafił; ale to nie powinno napelniać mnie obawą: przeciwnie, wybrałem cię sobie, bo przeczu-

wam w tobie kobietę, choć dzieckiem jesteś ze względu na wiek. Zostaniesz sobą, taką, jaką jesteś, taką cię kocham. Może pragnąłbym więcej serdeczności, więcej swobody w mojej pani najmilszej; ale to jest egoistyczne uczucie, bardzo zresztą zrozumiałe. Wiara mi pozostaje, że czas i moja miłość rozgrzać cię potrafią. Zarzutu w tym względzie ci nie robię. Mnie zdziwiła i zachwiała w przekonaniu powziętém dzisiejsza scena; czy doprawdy nie możesz mi dać lepszego wyjaśnienia, jak tę „próbę”?

Halka oczy podniosła na niego oczy zagadkowe; ale on w nierozwiązalną zagadkę nie wierzył i czytał w nich prawdę.

— Był to niewytłómaczony wybryk z mej strony. Żałuję. Czy możesz mi pan wybaczyć i więcej już o tém nie wspominać?

— Jeżeli każesz... obiecuję. Ale w zamian proszę, byś się głęboko zastanowiła nad wszystkim, co powiedziałem.

Halka głowę skłoniła na znak zgody i rzekła:

— Chodźmy do salonu; pan wiesz, że siostra pana i Lunka są tutaj?

— Wiem, widziałem się dziś z niemi.

Pani Wasiliczowa była rodzoną siostrą Czesława Złoczowskiego. Ze względu na bliskie rodzinne stosunki o ceremoniach mowy nie było w tém kółku, i dlatego Czesław nie potrzebował się śpieszyć, by powitać panie, które widział kilka godzin temu.

Halka zaś miała więcej swobody w postępowaniu względem narzeczonego, niż wiele innych panien, bo, jako niezmiernie zimna i pełna taktu, nie wymagała tej nieustannej opieki macierzyńskiej, jaką panny wogóle są otaczane. Nikt też z koła zebranego w saloniku nie znalazł słowa krytyki, gdy rozmowa naręczonych przeciągała się nad miarę w przedpokoju, który z salonikiem i stołową salą stanowił jakoby wystawę sklepową w domu pani Drohińskiej. W tych-to trzech punktach zebrane były wszystkie wysiłki elegancyi, mody, dobrobytu. Przedpokój pełen portyer, oryginalnych krzeseł i kanapek wyrobu krajowego, mógł zastępować z łatwością drugi, nieco mniejszy salonik.

W kilka chwil po owej rozmowie, która na losy naręczonych wpłynąć mogła, Halka, spokojna, pełna gracyi, jak zwykle, nalewała własną ręką herbatę. Czesława oczy chodziły za nią ustawicznie; rozkoszował się w tym widoku bezsprzecznie harmonijnym, bo Halka uosobieniem dystynkcyi być mogła.

Brat pomagał jej w robieniu honorów, ale zbyt długo zatrzymywał się za krzesłem błękitnookiej brunetki, Lunci Wasiliczówny; widocznie nie mógł się od niej oderwać. Halka zdaleka dawała mu znak ręką, żeby sobie pracy nie zadawał i na miejscu pozostał.

Głębokie oczy Czesława, śledząc ruchy naręczonej, napępniały się promieniami szczęścia, gdy spo-

częły na jej białej ręce, zbyt szczupłej może, zbyt wąskiej, zbyt długiej, ale dla niego najpiękniejszej,— ręce, która do niego należała, bo, pomimo całej przemowy do narzeczonej, którą mu obowiązek dyktował, on wierzył, że już ich nie rozłączy; wierzył, bo tak, jak się powietrza potrzebuje, aby żyć, jak jednym miłości, drugim złota potrzeba, tak on przedewszystkiem wiary potrzebował.

II.

Druga po północy biła na jakimś dalekim zegarze, kiedy Halka nie myślała jeszcze zasypiać. Oczy, to rękoma, to kołdrą zakrywała, to zamykała je wreszcie, ale oczu nie było potrzeba na to, by widzieć wyraźnie, jakby tuż, tuż obok, w jej twarz wpatrzone, jasne melancholijne źrenice błękitne, tak serdecznie, a tak smutnie spoglądające na nią.

Oczu nie potrzebowała otwierać, by widzieć te same źrenice, zamknięte na wieki, tę samą twarz z zagadkowym wyrazem śmierci, wyrazem bólu, czy spokoju? — nikt nie wie.

Im późniejsze godziny zegar uderzał, tem myśli młodej dziewczyny bardziej nieruchomemi się stawały, ta zaś twarz tajemnicza, jakby skamieniała, coraz wyraźniejszą.

— Ja zwaryuję, zwaryuję! Już od dwóch dni, we dnie, w nocy, ciągle! Tylko to! To się w obłąd zamienia!

Oto jedyna myśl, która od czasu do czasu odzywała się w głowie Halki.

Usiadła na łóżku, wypila szklankę wody z kroplami laurowemi, potem drugą, kropli nie żałując. Uspokoila się trochę, nie bała się nadużyć lekkiego narkotyku; to jej było obojętne w tej chwili.

Uspokoila się o tyle, że mogła myślą zawładnąć do pewnego stopnia.

— On tak się mścić będzie całe życie. On temu nie winien, bo nie był do zemsty zdolny. Ale moja chciwość mści się nademną w ten sposób. Gdyby tak dłużej być miało, obłędu dostałabym niezawodnie; zamknęliby mnie z tym widmem. Tak być nie może. Ten drugi ma słuszność. Ja umiem chcieć. Zawsze umiałam. Zawsze wiedziałam, czego chcę, tylko nie wiedziałam, jaki może być wynik moich zachcianek. Tam chciałam wrażeń; tu chciałam stanowiska. Ale ten drugi też umie chcieć. Podkreślił swoje warunki. To miało znaczyć, że ja muszę słuchać; on sam tego nie wie, że taka była kwintensencya jego przemowy. Jeżeli mu się sprzedam, to wiem, co mnie czeka: niewola. On mnie chce ujarzmić. Tamten byłby moim niewolnikiem, ale go już nie ma: zapóźno. Odziedziczył ten majątek zapóźno także. Czemu nie kilka tygodni wcześniej? Czemu potem, gdy mu się tłómaczyłam, gdy prosiłam, *ja* prosiłam, on zrozumieć nie chciał? Trudno! Stało się! Aby nie oszaleć, muszę zerwać. Muszę! Raz dlatego, że tylko wtedy pozbędę

się widma, potem dlatego, że tamten, gdyby się dowiedział... Ja go się boję... Kogo ja się nie boję? Kazia nie bałam się za życia, a teraz jego najwięcej. To mu się należy. Zerwę. Muszę. Po dzisiejszej rozmowie muszę. A nawet gdyby Czesław nie przedstawiał mi się takim sędzią nieublaganym, to przecież nie powinnam, nie mogę. A Wacek? Wacek się oburzy; on nie pojmuje tego: „nie powinnam, nie mogę.” To trudno! Zerwę, chcę, muszę. Co będzie, to będzie. Ja chcę spokoju. Albo zerwać, albo zważyć. Wolę zerwać.

Siedziała tak długi czas, nieruchoma, zatopiona w myślach. Nareszcie szepnęła raz jeszcze:

— Zerwę — muszę!

Powzięte postanowienie widocznie uspokoiło ją znacznie, bo w końcu przytuliła głowę do poduszki i zasnęła; czwarta już biła na ratuszowym zegarze.

Niespokojny był sen jej. Budziła się często, przestraszona, serce jej biło gwałtownie, ale gdy z trwogi oprzytomniała, ukojeniem dla niej było silne postanowienie:

— Zerwę, muszę!

I wtedy strachy pierzchały, widma nikły i sen znowu powracał.

Gdy rano nadszedł, a ona obudziła się zmęczona, zniechęcona, nie śpieszyła się, by wstać i ubrać się. Miała ochotę teraz przedłużyć tę noc, która taką nieskończoną jej się wydawała. Przyszłość bez-

barwna, szara, nędzna, przytłoczyła serce jej młyńskim kamieniem.

Już ruch się zaczął w całym domu. Halka, pół we śnie, pół na jawie, zdawała sobie z tego tylko sprawę, że ją czeka coś bardzo przykrego, i starała się przedłużyć do nieskończoności te wpółsenne chwile.

O dziesiątej zastukano do drzwi; udawała, że śpi, nie odpowiadając wcale. Był to sygnał, dawany przez służącą, że godzina późna.

Nareszcie, około jedenastej, z wielkim hałasem i mnóstwem wykrzykników, sama pani Drobińska wbiegła do pokoju córki, trzymając w jednem ręku wspaniały bukiet z konwalii i orchidei, w drugiem dość wielkie pudło.

— Patrz Halko, *voyons*, ty śpiochu, co za dary od twego *galant chevalier*! Patrz, czyś widziała piękniejsze kwiaty? On je musiał zdaleka sprowadzić. *C'est d'une magnificence!* Dziś baronówny na raucie spazmów dostaną. *You happy creature!* Ktoby to był myślał? Zimna rybo! Cóż, nie zdobędziesz się na zachwyt? Ta bombonierka! Wiesz kto malował? Ajdukiewicz! *Rien que ça!* No, ja ci mówię, że on za tę bombonierkę co najmniej dwieście reńskich zapłacił.

Halka nie śpieszyła, tym cudom się przyglądać; obojętnie położyła je obok siebie na łóżku

i, otwierając szeroko te swoje wielkie, zimne, pytające oczy, rzekła:

— Zaspałam. Pewnie już bardzo późno!

— Śpij, ty bryło lodowa, wysypiaj się, ile chcesz; *tu en auras le teint plus frais*. Taka blada jesteś! Teraz możesz spać, możesz używać. Czego sobie odmawiać? Będziesz miała pannę, czekającą na rozkazy. *A propos*, czyżby nie wziąć odrazu? Już o tym myślałam. Wprawna być musi, trzeba ją wyuczyć tego i owego; potem miałabyś kłopot. Jak myślisz?

— Ja, mam? Ja nie nie myślę. Wszystko mi jedno. Zaperzyła się pani Drohińska.

— *C'est à en perdre son latin*. Ty mogłabyś anioła do pasy doprowadzić! „Nic nie myślę.” Czyś ty lalka? Czy obraz malowany? Któż ma myśleć?

— Przecież mi mama nigdy myśleć nie dała, a przynajmniej nigdy mnie nie pytała ani o myśli, ani o zdanie: zkądźebym się tak raptownie miała nauczyć? Mama wymaga tylko posłuszeństwa, ja słucham.

I przykry był lekko rysujący się uśmiech ironiczny na ustach tak młodego stworzenia.

Matka rozgniewała się jeszcze bardziej.

— Z tą waszą ironią, twoją i Wacka, to się życie przykrzy. Tamten wpadnie chociaż w furę czasem, no, to wiem, że człowiek. Ale czém ty jesteś? Powiedz mi, czém ty jesteś?

— Ja sama nie wiem — zawsze z tym samym, niezamąconym, spokojem, z tą samą, niczém niezakłóconą obojętnością, odparła Halka.

— A ja ci powiem! — prawila matka w uniesieniu — bo ja ciebie znam *avec tous tes airs de sainte n'y touche*. Ty jesteś cichą wodą, o, niebezpieczną cichą wodą! Ty, posłuszna? Ja ciebie złamać musiałam, by coś wymódz na tobie. Co mnie to pracy kosztowało! Bóg jeden wie!

— Skoro mnie mama złamała, o cóż chodzi?

— O co? O to, żebyś żyła. Obudź się, nie pozuj. Żyj tak, jak inni ludzie.

— Jeżeli jestem cichą wodą, to niebezpiecznie mnie ożywiać: groble pozrywam.

— O! usypałam ja tych grobli! *Seigneur Dieu!* Jużby też skaranie Boga było nademną, żebyś je jeszcze zrywać miała!

— Na wszystko trzeba się przygotować; ja za siebie nie ręczę.

— Ty coś knujesz!

— Knuję, mamó. Będzie niespodzianka; mama tak gwałtownie, raptem, nagle—żąda odemnie, bym miała swoje zdanie i wolę, więc je objawię.

Pani Drohińska popatrzyła na córkę uważnie i niespokojnie zerwała się z miejsca.

— Powiedz! Bo jeżeli to kpiny, to przyznaj, że z matką nie na swoim miejscu.

— Nigdy-bym się nie ośmieliła, mamó.

— Więc co? Co ci się roi po głowie?

— Moja mameczko! Już późno bardzo. Nie z dążę ubrać się na śniadanie. Przypuścemy chwilowo że nie nie powiedziałam. Później pomówimy.

Pani Drohińska dobrze wiedziała, że z zacięciem córki walczyć nie warto; że to jedna z tych, którą i tortury nie byłyby skłoniły do otworzenia ust, gdy to nie było jej zamiarem. Mimo to ślepo posłuszna, tak, do czasu. Ale gdy się zatnie, to nie ma tej siły, któraby nad nią władzę mieć mogła.

Przy śniadaniu pani Drohińska z synem tyle mieli do mówienia, że milczenie Halki nikogo nie dziwiło, ani jej błądź. Ona zwykle bladą była, a od kilku dni cera jej nabierała przezroczyści. Z wyjątkiem narzeczonego, nikt się tém nie zajmował; matka i brat wiedzieli, że zdrowie jej jest nie-zrównane; nigdy nie chorowała.

Wacek opowiadał, gestykulując żywo, o swoich nadziejach i szansach.

— Widzi mama, tylko Czesława nie jestem pewien. Jeżeli Czesław zechce, to panna moja. Ale, niestety, mój szwagierek *in spe*, o ile łaskaw na swoją przyszłą żonę, o tyle mnie nie raczy darzyć względami. Bez jego woli nie się nie stanie. On jest opiekunem mojej bogdanki, on ma prawo głosu, wpływu. Ale teraz pannę mam za sobą i najmniejsze plecy we Lwowie także. Dziś rano spotkałem księżną W. u Dąbrowskiego. Niezwykle była

na mnie łaskawa; wszystko *à l'adresse* mojej lubej siostry. Proszony jestem na zawsze na wieczory postne. *Dio santo!* Przytłacza mnie ciężar takiej niewysłowionej dobroci. Jestem rozczulony:—na wieczorki *intimes!* Małom się nie rozpląkał, tylko chustki nie byłem pewien. Już też tak się z chustek obrałem, same dziury.

— Gubisz — rzekła matka — siejesz chustkami, jakby to były plewy.

— *Sapristi!* Takim bogaczom, na jakich nam się zanoszą, wolno siać. Ha, ha, ha! Jednym słowem, wygrana na całym polu, albowiem błazen! Księżna rzuciła na mnie łaskawym okiem. To jest omen nad omeny! No; służyłem, jak pudel na dwóch łapkach. *Je ne fais que ça.* Dosłuchę się synekury w końcu i widzę, że nikomu tak, jak mnie, ona się nie należy.

Potok słów przerwała mu siostra, mówiąc tym swoim matowym głosem:

— Łowisz ryby przed niewodem. O mistrzu! pamiętaj o twych zasadach, które we mnie wpoiliś!

— *Merci, ma toute belle!* Prawda, ale to między nami, wolno duszę naościęz otworzyć. Zresztą nikomu o moich zamiarach słowa nie pisałem. Ja zresztą biorę wszystko matematycznie, ściśle: dwa a dwa musi być cztery, albo nam gwiazdy na głowę pospadają. Ty jesteś gotowa; *da steht's bombenfest;* to pewnik, to dwa; czyli, że Czesław i ty, to dwa; z mojej strony, ja pannę mam za sobą, sam jestem za panną, to znowu dwa; pomnóż to przez dobrą

wolę Czesława, która od ciebie zależy, i będzie cztery. Takie rachunki nie zawodzą.

— Żle liczysz, mnożysz warunkowo, nie ma podstawy.

— Jako warunkowo?

— Mnożysz wolę Czesława, która odemnie zależy; zatem warunek.

— Ba, gdy *ty* w grę wchodzisz!

— Zawsze, zanim zsumujesz w twoich księgach rachunkowych, policzymy wprzód razem, byś wykreślać nie potrzebował. Tyś pedant: pomyłek nie lubisz.

— *A vos ordres, ma toute belle.* Z pani także rachmistrz nielada; szkoda, szkoda, że filarom banku nie wolno nosić spódniczek.

— Szkoda; więcej żałuję, aniżeli przypuszczasz.

— Jesteś zagadkową — o, siostró!

— Ostrzegam przed entuzjazmem—o, bracie!...

— Bravo! uczennica przeszła w zimnej krwi mentora.

— Gdy się ma takiego, jak ty, mistrza, to mierzną pozostać nie wolno.

Cała ta wymiana słów nie była nowością dla matki. Ton ironiczny, jakim rodzeństwo do siebie przemawiało, nieraz ją niecierpliwił; ale myśl jej odbiegała od przedmiotu rozmowy w krainę sklepów, wstążek, tiulów, nafty i stłuczonych cylindrów, które nowemi zastąpić było trzeba.

W tej chwili miała jeszcze głębsze tło do rozmyślań; owe łaski światowe, spływające potokiem na ich

osieroczone głowy, rozmarzały ją zupełnie. Już i ona widziała się jako jedna *des plus intimes* w salonach księżny W., więc pozwoliła dzieciom sprzeczać się, niewiele rozumiejąc z tych przenośni matematycznych. Zaś przenośnie takie i porównania były najmiłszymi zwrotami i dla Wacka, który w banku od dziesięciu lat pilnie pracował, a choć pracował z musu, bo rachunków nie lubił, to jednak przesiąkał technicznymi określeniami, które prznosił na grunt spraw mniej matematyki potrzebujących.

— Czy panie wychodzą? — zapytał, gdy wstawano od stołu.

— Trzeba będzie wyjść — odparła Drobińska. — Muszę kupić rękawiczki na raut dzisiejszy. Chodź, Halko, ze mną; zawsze lepiej mieć rękę do miary, lepiej się dobierze. Potem i woalki potrzebujesz; koniec lutego, już słońce opala.

— Jeśli mama pozwoli, to ja zostanę, spuszczam się na gust mamy co do wyboru; jestem trochę zmęczona.

— Przyznaj się, hypokrytko, że czekasz na Czesława.

— Nie, mamu. On dopiero na wieczór się obiecał. Miał jakieś ważne sprawy do załatwienia. Jakieś komisye. Nie pamiętam.

— Jak chcesz, mniejsza o to!

W godzinę później Halka wykończyła wreszcie list do Złoczowskiego, który ją zadawałniał; list, co-

fający dane słowo, na podstawie wczorajszej rozmowy.

— Trzeba się śpieszyć z wysłaniem — mówiła sama do siebie. — Gdy list ten Czesław odbierze, to choćby ci tutaj zabić mnie mieli, zapóźno już będzie. Choćbym ja się cofnąć chciała, *ce sera irréparable*, zapóźno już będzie. Spalę mosty za sobą. Przepadło: On już drugi raz próbie nie uwierzy, skoro i pierwszy raz niedowierzał, więc weźmie list mój dosłownie. Skoro przeczyta, wszystko się skończy. Mamy się nie boję, będzie to męczący hałas, którego nie znoszę, co prawda, ale tym razem wyjątkowo może się i przyda, bo mnie ogłuszy, hałas nieszkodliwy. Ale Wacek! Trudno! Tak być musi. Tamten biedak zabił się, ja zaś do tego niezawodnie przyczyniłam się, i żal mi go. Ach! Boże, Boże, jak mi go żal! Za tego pójść nie mogę. Wacek dowodzi, że cel jest wszystkim, środki niczem. Nieprawda! Ja po tej krwi do bogactwa nie pójdę.

Zadzwoiła. Weszła służąca.

— Co robi Wincenty?

— Myje statki, proszę panienki.

— Proszę cię, zastąp go i przyslij mi go tutaj!

— Kiedy ja prasuję.

— To niech on prędko posłańca mi przysle.

— Dobrze, proszę panienki.

Chwilę później Halka w przedpokoju wręczała list swój posłańcowi.

— Hotel Żorża, rozumiesz? Do rąk własnych. U portyera nie zostawiaj.

Wtem niespodzianie z bocznego pokoju, w razie potrzeby za fumoar służącego, głos Wacka dał się słyszeć.

— Ja wychodzę za chwilę — mówił i równocześnie sam się we drzwiach ukazał. — Nie warto posyłać, daj mu odczepnego, ja spełnię twoje polecenie; słyszę, że chodzi o Czesława: do niego właśnie idę.

Jeżeli się Halka zmieszala, nie było tego znać po niej. Z zimną krwią odparła:

— Pozwól, że on list ten odniesie, ja tak wolę. I posłaniec wyszedł.

Wacław spojrział uważnie na siostrę.

— Gdybyś ty czegoś waryackiego nie miała na myśli, to nie robiłabyś sekretu. Jest tajemnica, zatem jest waryactwo. U ciebie to synonim.

I zanim siostra odpowiedzieć zdążyła, Wacław pobiegł za posłańcem, list mu odebrał i zapłacił go.

Skoro powrócił, zastał Halkę stojącą na tém samym miejscu, z rękami zwieszonymi, jakby skamieniała.

— Chodź do mego pokoju — rzekł ostrym, stanowczym głosem.

Ona nie myślała się opierać. Bała się scen, bała się wszelkiego wysiłku; na samą myśl, że przyjdzie stoczyć walkę zaciętą z bratem, który dotąd rządził

nią, jak swoją własnością, krew w niej zastygała z trwogi. Szła za nim posłuszna, siadła na krzesło, które jej wskazał, i starała się bunt podnieść we własnej duszy, zawczasu, by bratu hardziej stawić czoło i nie cofnąć swego postanowienia.

On drzwi pozamykał. Następnie, przysuwając taburet do miejsca, na którym siostra siedziała, rzekł półgłosem, ale z takim wyrazem oczu, który mroził zaciętością i chłodem:

— Pozwolisz, że list ten przeczytam?

A nie czekając na jej odpowiedź, kopertę przecinał.

Ona odzyskała zimną krew i z ironią odrzekła:

— Pozwolę, bo inaczej obejdiesz się bez pozwolenia i tak przeczytasz; wolę cię upoważnić, niż wstydzić się za ciebie.

-- *Des phrases!* Dziwna rzecz! u ciebie na dnie zawsze egzaltacya drzemie — odparł brat, rozkładając arkusik papieru.

Czytał pocichu. W końcu spojrzął na Halkę; stuknął palcem po czole.

— Lunatyczka! — rzekł, przyglądając jej się z ciekawością, pełną szyderstwa.

Poczem wzruszył ramionami i zaśmiał się na całe gardło. Im więcej śmiał się, tem mniej mógł opanować tę swoją wesołość; zataczał się ze śmiechu, wił się, trzymał się za boki, a Halka, na której twarzy lekki rumieniec wybił się, gdy on ją „lunatyczką”

nazywał, teraz bladła coraz więcej, cera jej stawała się zielonkawą prawie, chorobliwie bladą.

Musiała cierpieć bardzo w tej chwili, bo niczego się tak nie obawiała, jak drwin, jak szyderstwa ze swych uczuć. Gdyby nawet potrafiła się zdobyć na coś wyższego, na myśl szlachetniejszą, to byłaby tała się z nią, jak kto inny z grzechem śmiertelnym, aby tylko nie narazić się na szyderski uśmiech, na drwiny brata, niemiłosierne, bolesne.

Jak pod pręgierzem, siedziała teraz nieruchoma i na pozór zimna, pod urągliwem spojrzeniem brata. On wiedział, że żadnem łajaniem, żadnemi pogróżkami nie przestraszy jej i nie upokorzy i nie ujarzmi do tego stopnia, co tym śmiechem zjadliwym, i choć znać było w śmiechu tym wysilek, to przecież nie ustawał jeszcze, póki ona: „komedyant!” — nie wyszeptwała.

— Komedyant? Ja? ·Doprawdy? A to dziwne pojęcie rzeczy! Więc to ja jestem komedyantem? Ha, ha, ha! A czémże pani jesteś w takim razie, o, luba siostro!

— Może raczysz powiedzieć mi, co cię tak rozwesela, gdy śmiać się przestaniesz?

— Raczę, naturalnie, że raczę — rzekł teraz Wacław, ton zmieniając, syczącym, przytłumionym głosem — tylko proszę o ciche odpowiedzi, bo ściany mają uszy i służby nie potrzebujemy wtajemniczać w nasze domowe sprawy.

— Do tej chwili nie ja hałasowałam.

— Ja też tylko ostrzegam. A więc: powiedz mi, co ten list znaczy?

— Czytałaś.

— Czy ty byłaś przytomną, pisząc go?

— Najzupełniej.

— Temu nie wierzę; ale mniejsza o to. Więc powiedz mi: na jakiej podstawie myślałaś zerwać z Czesławem?

— Myślałam i myślę: na podstawie, którą jasno w liście wyłożyłam. Czytałaś?

— Jakto? Ty doprawdy nie miałaś innej podstawy, jak to, że go „nie kochasz”?

Ostatnie słowa wymówił młody Drobiński, oczy przewracając z afektacją i głosem śmiesznie nienaturalnym.

Ona mileżała, ale krew musiała się w niej burzyć, bo znowu rumieniec wydobył się na twarz jej i oczy błysły gniewem.

— Ona go nie kocha, nie kocha! *En voilà une raison* — i znowu zanosić się począł od śmiechu.

Halka wstała, zdążając ku drzwiom: widocznie miała zamiar uciec od tej męki, ale dłoń brata spoczęła na jej ramieniu; syknął jej w ucho rozkazujące słowa:

— Zechciój usiąść, musimy się porozumieć.

— Praktykę łącząc z teorią — odparła teraz siostra, jemu ironią odplacając. — Siła przed prawem.

— Ja mam i siłę, i prawo za sobą.

— Prawo? Ciekawa jestem nowego sofizmu.

— Sofizmu nie potrzebuję, by ci to zrozumiałem uczynić. Prawo mam jasne, oczywiste, niezaprzeczone.

I rozłożył się na krześle wygodniej: widocznie myślał długo rozprawiać.

— Dwadzieścia lat temu umarł nasz ojciec — zaczął.

— Może lepiej wywieść początek od wojen krzyżowych?

— Nie; od śmierci ojca wystarczy. Gdy umarł, kto nam był ojcem?

— Nie trać czasu na pytania; mów, ja lubię słuchać.

— *A la bonne heure.* Ojcem, a raczej ojczymem, była nam familia, a wynikami jej opieki—nędza. Czy tak?

— Mów dalej.

— Ja miewałem podarte buty w szkołach, a dla ciebie, by w kilka lat później, gdyś mówić zaczynała, Francuzkę opłacić, trzeba było żyć herbatą i suchym chlebem, bo przecież samo mieszkanie kosztowało połowę wyznaczonej nam hojnie pensji, a służba i mamy bywanie... policz!

— Policzyłam. Co dalej?

— Ja matce zarzutu nie robię; dobrze sterowała: każda inna łódź byłaby poszła na dno; mama umie-

jętnie latała dziury, no, i w tej-to łatanej łodzi dążyliśmy w świat w najlepsze, kiedy ja się do banku dostałem, mając w ustach pełno popiołu po owym chlebie, wypieczonym na upokorzeniu i wstydzie.

— Wstydu do owego czasu nie było. Mniejsza o to, słucham.

— Jakto nie było? Gdy ja nosiłem podarte ubranie po Władku Drohińskim, zaciousne i pretensjonalne; gdy w czasie wakacyj guwernerowie i guwernantki u stryja nie zabierali nas na spacer, ze służbą zostawiając; gdy tamtych gagatków goście pieścili i całowali, a nam jedno spojrzenie się nie dostało—to nie było upokorzenie?

— Ale wstyd nie.

— Egzaltacya! To na jedno wychodzi. Ja nadjadłem się popiołu i napiłem piolunu i jeszcze smak mi w ustach został. Teraz mogę to „szampańskiem” popłukać i popłuczę, tak mi, Panie Boże, dopomóż. Pracowałem ośm lat w banku i dosłużyłem się pensyi, za którą mogłem już wtedy popuścić sobie cugle i zmienić ten marny tryb życia. Nie zrobiłem tego; oszczędzałem, centa nie wydałem na żadne osobiste zachcianki i oddawałem wszystko—komu? komu?

— Ja pamiętam; tyle razy przypominałeś mi to.

— Przypominałem, bo takie rzeczy zapomina się chętnie; nie dosyć w pamięć ci się to wryło widoźnie. Oddawałem wszystkie oszczędności matce—dlaczego?

— Tak pojmowałeś obowiązek.

— Tak pojmowałem, ale nie czysto platonicznie. Mnie życie praktyczności nauczyło. Pomagałem sterować; starałem się spróchniałą łódź choć powierzchni odświeżyć, pomalować, banderę wywiesić, by z nią ludzie liczyć się musieli. Pomagałem ciębie w świat wprowadzić.

— Dziękuję! — wyszeptwała Halka, zmęczoną głowę na poręcz wysokiego staroświeckiego krzesła przechylając; a na jej ustach ten sam ironiczny uśmiešek się pojawił, który tak wykrzywił rysy tej młodej twarzy.

— Gdy przyszły bale, gdy trzeba było skupować pantofelki, toalety, rękawiczki, gdy przyszło dom otworzyć i herbaty dawać: z kąd się brały pieniądze? Z mojej kieszeni, ciężko zapracowane. Mówiłem sobie: „do czasu”. Miałem nadzieję, że uda się z tej tonącej łodzi przenieść na inny lepszy statek i pomagałem do tego, ciągle jeszcze jedząc popiół i piolun spijając. Czemu były dla mnie pierwsze twoje występy, gdy nasza dostojna młodzież nie myślała przedstawiać się matce i tobie; gdy mama płaszczyć się musiała wobec nadętych gęsi salonowych; gdy panny kwarantannę na ciębie nałożyły, stroniąc od ciębie, jak od zadżumionej, bo nie należałaś do „klanu”? Czemu było dla mnie i dla matki zdobycie sobie stanowiska? Ile razy deptano po nas i poniewierano nami w ten sposób delikatny, niezem napo-

zór formom nie uchybiający? Czy ty już zapomniałaś o tém wszystkim?

— Nie — krótko odparła Halka.

— Myślałem! Ty nie przyczyniłaś się w niczém, w niczém, do podniesienia sztandaru. My, matka i ja, pracowaliśmy na ciebie i za ciebie. Nie zadałaś sobie trudu, by ten kapitał, jakim jest łaska bogatych i tytułowanych, zdobyć. Ja jeden tylko potrafiłem eskontować każde słowo, czy też taniec każdy z jedną z tych napuszonych, koronowanych gąsek. Ty chodziłaś z głową do góry podniesioną, jak gdybyś nie wiedziała, że to tylko wolno *aux affiliés*, *aux initiés*, że to wolno tylko tym, którzy dzięki bogactwu, czy też przebiegłości, przełamali zaczarowane koło i zostali wpuszczeni do środka. Ratowałem cię z tysiącą niezręczności, czuwałem nad tobą, jak niańka nad dzieckiem nieumiejącém chodzić. Materialnie i moralnie doprowadziłem cię do celu. Teraz świat do nas należy; ja mogę nareszcie zadrzeć głowę do góry, odetchnąć, odciać się temu świszczypale Geniowi Z., który rej wodzi, i zdaje mu się, że tylko o tyle ma się prawo oddychać salonowo-klubowém powietrzem, o ile to on tolerować raczy.

Wacław zapalał się coraz bardziej; począł żywemi krokami przechadzać się po pokoju. Czasem mówił do siebie tylko, dla własnej ulgi widocznie, czasem przed siostrą przystawał.

— Mnie wszystko zawdzięczasz — kończył. —

Możemy wytechnąć nareszcie. Ręka rękę myje; teraz ty masz pole, by nam się odwdzieczyć; tylko od twego narzeczonego zależy, bym dostał jego siostrzenicę. I dostać ją muszę. Moja usłużność i ta mistrzowska zręczność, którą mogę sobie przyznać, dostateczną jest na łatwe zdobycze, ale ty wiesz, że ożenić się jest mi niezmiernie trudno; zawsze znajdzie się jaki papa, albo braciszek, żeby zachwiać mój kredyt, wtedy nawet, kiedyby już papiery moje stały najwyżej w sercu panny. I teraz będzie to samo, jeżeli Czesław nie raczy zgodzić się na wybór swojej siostrzenicy pupilki. Jego do tej chwili nie jestem pewien, on na mnie nie łaskaw, tylko na ciebie liczę, a ty pomocy mi nie odmówisz. Więc pojdziesz ten świstek papieru musi spłonąć i pójść w niepamięć.

Mówił z największym zapalem. Ostatnie słowa wycodził z wolna, siostrze zbliżka w oczy spoglądając, kładąc nacisk na każdym wyrazie.

Halka widziała, że nie jej z bratem walczyć, i pomyślała:

— Jeżeli widmo powróci, to mam czas jutro, pojutrze; choćby za miesiąc powiedzieli mi mogą. Wacław nie złapie mnie drugi raz na gorącym uczynku. Gdy się dowie, będzie zapóźno. Z nim sprzeczać się nie będę; na co? On, ze swego stanowiska wychodząc, ma słuszność.

— Musi pójść w niepamięć —kończył brat jej.—

Skryta jesteś i nigdy się nie dowiem, co cię spowodowało do takiego szaleństwa; ale to jedno wiedzieć musisz, że gdybyś z Czesławem zerwała, to zerwałabyś ze mną. Wyrzekam się wtedy owego ciężaru, który zanadto cierpliwie dźwigałem. Same będziecie sobie radziły. Ha, ha, ha! Cudowne życie zgotowałyabyś matce i sobie! Na to ci daję uroczyste słowo, że centa odemnie nie wydobędziesz; a co poczniecie? *Ma foi*, sama osądź! Osądź także, czem spłaci się długi, które matka zaciągnęła w dwóch ostatnich latach, kiedy już i ja podolać nie mogłem? Czem spłaci krawcowe, rzeźnika, cukiernie i różnych żydków? Tysiąc reńskich rocznie! Ha, ha, ha! I ona zrywać chciała! To pęknać od śmiechu! Ty źle skończysz, Halko. Ciebie zamkną kiedy jako niebezpieczną osobistość. Cóż, śpisz? czy zemdlałaś? Może wody, wódki, lawendy?

Ona, zimna, spokojna, oczy podniosła na niego.

— Czekam, aż skończysz.

— Skończyłem; czekam na odpowiedź.

— Ostatecznie o nic nie pytałeś. Słuchałam uważnie.

— Pytam, co myślisz?

— O czem mianowicie?

— *Sacre!* Moznaby się wścieknąć! O czem? Chcę tu, natychmiast, w tej chwili, twojej obietnicy, że nigdy już myśl zerwania nie przyjdzie ci do głowy.

— Obietnicy? To nie weksel, a ty tylko w weksle wierzysz.

— Daj słowo.

— Co ci po tém?

— Halko, nie doprowadzaj mnie do ostateczności! Słuchaj uważnie. Pamiętaj o tém, jeżeli zerwiesz z Czesławem, a tém samym mnie zrujnujesz: będę bankrutem i jako bankrut w łeb sobie palnę!

Ona drgnęła na całym ciele; oczy jej z zimnych, pytających, stały się trwożliwymi, nieprzytomnymi prawie.

On zdał sobie sprawę z wrażenia, jakie wywołał.

Kto wie? To był taki gracz. Może obliczył dokładnie, jaką kartę rzucić na zakończenie? Czuł, że wygrywa, i kończył z naciskiem:

— Ty wiesz, że ja się w egzaltacye nie bawię, nie nie „egzageruję”, ale, zanim miałbym wrócić do dawnego trybu życia, do dawnej roli pudła usługowego, błazna salonowego, to w łeb sobie palnę bez namysłu, bez skrupułu!

III.

Słońce lipcowe w całym blasku świeci nad Złotopolem. Pan Czesław Złoczewski zapomina jednak o upale, niezmiernie zajęty widocznie. Siedząc przy biurku, przegląda wielkie księgi rachunkowe, kręci głową od czasu do czasu, i fałd, dzielący czoło jego, rysuje się coraz wyraźniej. Porównywa jedną księgę z drugą, dodaje, mnoży, i tak jest pochłonięty w tej pracy, że cygaro jego pomiędzy jednym pościągnięciem a drugim gaśnie i co kilka minut zapalać je musi nanowo.

Młody gospodarz tylko przy tej czynności odbiegał myślą od pracy, bo musiał sięgnąć po pudełko zapalek, więc oczy podnieść, a ile razy je podniósł, tyle razy spoczęły na fotografii, przedstawiającej, to główkę małej dziewczynki, o jasnych loczkach i ciemnych dużych oczach, to osóbkę w krótkiej jeszcze sukni, z włosami w górę zaczesanymi, o tych samych wielkich oczach—pytających, czy zamyślonych?—nie wiadomo.

Na prostém męzkim biurze, pozbawioném wszel-

kich świecidełek i zbytkowych ozdób, na prawo, na lewo, w środku, porozstawiane były fotografie, zawsze jednej i tej samej osoby, zdejmowane w różnych epokach jej życia. Największa, portretowych rozmiarów, przedstawiała tak wiernie Halkę Drohińską, że oczy pana Czesława oderwać się od niej nie mogły, i wtedy tylko ów fałd, rysujący się wypukle na jego czole, znikał, gdy wzrok zatrzymywał się na tej ukochanej twarzy. Byłby mógł niezawodnie patrzeć bez końca na portret narzeczonej, gdyby nie praca, widocznie niemila, bo zabierał się do niej z wysiłkiem i niesmakiem.

Doszedł do jakiejś liczby, która go zastanowiła, czy zaniepokoiła nawet, bo zmarszczył brwi groźnie; chwilę zastanawiał się głęboko, potem rzucił pióro, zerwał się z miejsca i począł żywo chodzić po obszernym pokoju.

— Oszust! złodziej! łotr skończony! — mruczał przez zęby. — Wypędzę, pójdzie precz! Za tego to byłbym ręczył, a jednak łotr skończony!

Oczy Czesława, tak pełne serdecznego uczucia, gdy spoglądały na narzeczoną, teraz błyskawice rzucały.

— Wszystko miał odemnie! Wychowałem, na moim koszcie był w szkołach, płaciłem za niego w Dublanach. Lubiłem go! A, to najgorsze. Lubiłem go! Prędzej mógłbym przebaczyć, gdybym go nie lubił. Trudno uwierzyć, to się nieprawdopodobnie

bnem wydaje. Wszystko zrobiłem, aby się upewnić co do niego. Nic sobie zarzucić nie mogę. Złudzeniami nie bawiłem się; wiedziałem, że natura ludzka narażona jest na pokusy. Łapałem innych na kradzieży—ekonomów, furmanów, ale przynajmniej sprytniej kradli.

Tu uderzył ręką w czoło, jakby nie pojmując zbyt zagadkowej sprawy.

Badał sumienie swoje, ale przecież niczego nie zaniedbał, by młodego urzędnika doświadczyć. Z rozmysłem na próby go narażał; Kilański miewał tak często sposobność łapówkami od żydów dochodów sobie przysporzyć; mógł mierzyć pszenicę nierzetelnie, a korzystnie dla siebie; mógł niejedną tranzakcyę zawrzeć, która byłaby trudniejszą do wykrycia, niż fałszowanie rachunków: a nie zrobił tego.

Nie, nie zrobił; Złoczowski był tego pewnym, bo się przekonał wielokrotnie; wiedział o awanturze wyrzucenia żyda za kołnierza, gdy przyszedł z niesumiennej propozycyą do rządu-plenipotenta.

— A dziś? W naiwny, niewprawny sposób fałszuje rachunki. Nietylko złodziej, ale i idyota!—myśli Czesław w uniesieniu.

Serce go boli. To taki zawód. On tak lubił, kochał może tego młodzieńca, którego za wychowanka swego uważał.

Więc, pod wpływem bolesnego rozczarowania, odgraża się, nie znając granic w oburzeniu.

— Łotr! wypędzę. O! do aresztu wpakuję, pod sąd oddam, by drugich nie zwodził. To mój obowiązek. Cóż to za rzetelność z mojej strony, jeżeli go puszczyć wolno? Ot, gdybym głównię gorejącą z pod domu odrzucił, a ona spaliłaby stodołę sąsiada? Obowiązek. Nie mam prawa wyrzucić go od siebie na wolność. To szkodliwe zielsko. Z takich świat oczyszczać trzeba. Okradł mnie, okradnie innego. Żal mi? Nie, nie żal! Taki żal, to egoizm, to miętkość serca, nie dobrze zrozumiana powinność. To mazgajstwo. Dlatego, że ja wychowałem złodzieja, mam się nad nim litować? Złodziej—i koniec! Oddam pod sąd.. Dosyć zielska na świecie, któremu nie można dowieść szkodliwości. Niech-że choć to wyplenię, które...

I zatrzymał się przy oknie w zamyśleniu, patrząc przed siebie.

Nie zatrzymywał wzroku, ani na tych stosach gruzów, które zmiatano na jedno miejsce, ani na rozrzuconych w nieładzie narzędziach mularskich, na kawałkach cegieł i tynku, wałącym się pod ścianami domu. Nieład to był widocznie chwilowy, który może i nie gniewał właściciela; świadczył o przygotowaniach, o wysiłkach, prowadzących do jakiegoś celu; nie był to widok ruiny, niedbalstwa, niezaradności—przeciwnie.

Pracę zawieszono chwilowo. Tam, pod trzema rozłożystymi lipami, poukładali się albo siedzieli

mularze i cieśle; śpiąc, jedząc lub gawędząc, wyzykiwali południowy spoczynek.

Ogród, stary, pełen lip i klonów wspaniałych, na pochyłości wzgórza sadzony jakie sto lat temu, pełen był cienia i tajemniczości, pomimo jasnej, skwarnej godziny południowej. Tu i owdzie na szerokiej płaszczyźnie zielonego trawnika wspaniałe świerki rzuciły wielkie ciemne plamy, przesuwał się zwolna na tle szmaragdowém, gdy rosochate gałęzie iglaste wiatr lekki poruszył.

Trawnik ten, tak jak i cała południowa część ogrodu, staczał się ku wielkiej łące, pokrytej nieprzebraną, wybujałą roślinnością. Z okien można było widzieć szeroki pas krajobrazu. Za ogrodem, za łąką, pola rozkwitłym łubinem okryte; tam skupiły się blaski słoneczne, a złoty kwiat, rozlany jedną wielką falą, odsyłał niebu jaskrawe promienie; oko światłości tej, bijącej z góry i z dołu, wytrzymać nie mogło. Tuż za obszarem barw najbogatszych las wązkim pasem się odcinał, kładąc tamę rozkielzanej grze światła, czarną zaporę jej stawiając. Las ten przepyszny, bogatą ramą ujmował krajobraz, zarysowany z tej strony nakształt palety. Jak gdyby natura z myślą paletę ową wykończyła, kładąc na niej farby i cienie z hojnością królewską, złoto łubinu, obok szmara du łąk, błękit kwiatu kołyszące się na lekkiej lnu łodydze, obok różowo-liliowej i srebrno białej koniczyny.

Tam, gdzie paleta wyginała się podłużnym lukiem, zamiast otworu na palec mistrza, podłużny mały stawek błyszczał, promieniejąc.

O każdej porze z okien wyniosłego domu, *vulgo* pałacu, widzieć można było ruch i życie, bydło pasące się na łąkach albo sianokosy—oraczy krających ziemię na wiosnę albo żniwiarzy.

Tylko o tej godzinie dnia wszyscy zawiesili swoje czynności.

Natura nawet ucichła; głaskana promieniami słońca, tuliła się i skupiała w sobie; ptaki odpoczywały, liście, ptaki, bydło, ludzie, wszystko ucichło. Jedne tylko pszczoły brzęczały niestrudzone nad morzem łubinu.

Czesław, z wyjątkiem jednego obrazka, na biurku stojącego, spoglądał na obraz ten z rozkoszą najwyższą; z wyjątkiem jednego ukochania, ziemię tę kochał miłością najgorętszą.

W tej chwili jednak nie widział uroku, jaki błyszczał z łąk, pól i lasów, z pięknego królestwa swego. Zżymał się i wąs targał niecierpliwie. Tam, na skraju ogrodu, na lewo, wznosił się maleńki folwarczek, dom biały, pokryty czerwoną dachówką, stodoła niewielka, szopa i kurniki. Tam patrzył w tej chwili Czesław i wzrok jego coraz bardziej się zasępniał.

— Dla niego wybudowałem, gdy miał się żenić. Jest wdzięczność!

Machnął ręką.

— Mniejsza o wdzięczność — dodał w duchu — ale złodziej! O, łotr skończony!

I z po za drzew, zasłaniających wejście do owe go niżej położonego domku, wychyliła się drobna postać kobiety młodej, zwinnej, w czerwony perkalik ubranej.

Oczy Czesława spoczęły na niej i uparta tro ska, nieopuszczająca go od godziny, nagle ustąpiła.

— Co ona niesie? — pomyślał.

Młoda kobieta szła zwolna, upał południowy męczył ją; szła w górę, dążąc ku dworowi, to nikła po za gęstwiną drzew w ogrodzie, to ukazywała się, oblana zewsząd jaskrawymi promieniami słońca, tworząc zdała jasną plamę na ciemném tle drzew.

— Co ona niesie?

A niosła coś dużego, chociaż przedmiot, dźwiganym przez nią, nie był ciężkim widocznie, bo nie było znać wysiłku w jej ruchach.

Nareszcie każdy szczegół zarysował się wyraźnie, gdy młoda kobieta u szczytu wzgórza, u skraju trawnika, zatrzymała się na chwilę.

— Kosz do kwiatów — pomyślał Czesław i przypomniał sobie, że pani Kilańska, młoda żona rządcy, żywo zajęta była myślą jego małżeństwa, że w każdej chwili gotowa była usłużyć, dopomódz, gdy chodziło o przygotowanie na przyjęcie pani młodej, że

ów kosz, zrobiony z szyszek i prętów, na postumencie z gałązek umocowany, to dzieło rąk jej.

Brwi zmarszczył groźniej jeszcze: ale pani Kilańska spostrzegła go, w oknie stojącego i uśmiechnęła się przyjaźnie. On okno otworzył, ujęty tym uśmiechem, a ona zdaleka już mówiła, głos podnosząc:

— Skończyłam; czy podoba się panu? Sama chciałam przynieść, bo zrobię drugi, zupełnie podobny, jeżeli pan ten model wybierze.

— W samo południe! Trzeba było poczekać do wieczora; dziękuję bardzo!

— Wiedziałam, że pan ma zamiar wyjechać; więc się śpieszyłam.

— Wieczorem dopiero.

Pani Kilańska zbliżyła się do okna i, pokazując dzieło swoje Czesławowi, pytała niespokojnie:

— Może to nie dosyć lekki deseń? Nie dość eleganckie wszystko razem? No, ale to do przedpokojku, a jeżeli i na to się nie zdało, wolno wyrzucić; ja, doprawdy, za złe nie wezmę.

Kosz był śliczny, a serdeczna wesołość i wdzięk młodziutkiej kobiety podwajały jego wartość. Czesław dziękował i chwalił i zapraszał panią Kilańską do środka, by wypoczęła.. A może napije się wody z sokiem?..

Ona nie wymawiała się, chociaż, mimo grzecznych słów, chłód wiał w zachowaniu się pana Złoczowskiego; sztywny był i skrępowany widocznie.

Ona nie zwracała na to uwagi, bo spodziewała się poleceń jakich, które on wyda pewnie przed wyjazdem co do spiżarni, apteczki i tylu innych rzeczy, a ona podejmuje się wszystkiego najchętniej. Więc, pijąc wodę z sokiem, własnymi rękoma przygotowanym, oświadcza się z gotowością usług dziedzicowi Złotopola. Mówi wiele i nie zraża się oziębłością jego, tłumaczy go w duchu. On ma tyle zajęć. teraz majstrowie go nudzą, interesów ma huk na głowie; upał, zmęczony: to i nie w humorze. Radaby tylko choć uśmiech wywołać na tę twarz zasępioną; zwykłe tak jej się to łatwo udaje.

— Wie pan? Kaczek tych chińskich, rzadkich bardzo wychowałam dla przyszłej dziedziczki sześćdziesiąt sztuk! Zakochać się w nich można, brylanty czystej wody; perlic mam do stu pewnie, indywek cały batalion. A w spiżarni jest już i poleć słoniny i mąka wszelkich gatunków i krupy, zdaje mi się, że wszystko jest; konfitur nasmażyłam może aż nadto. Ale widzi pan, ja po sobie sędzę, jeżeli panna Drohińska lubi, no, i pan lubi, wiem od Kocia...

Na to imię, zamiast spodziewanego uśmiechu, groźniejsza tylko chmura zawisła na czole pana Złoczowskiego.

Tym razem serce jej się ścisnęło. Co mu się stało? — pomyślała. — On zawsze taki uprzejmy.

Więc zabierała się do wyjścia, ale pytała jeszcze.

— Niech pan szczerze powie. Może jeszcze.

czego potrzeba? Ja najchętniej się zajmę, przecież ja wiem, jak to miło zastać wszystko w porządku. Państwo na tym się nie znają, ale ja chętnie zrobię, ja to lubię. Doprawdy.

On teraz dziękował, siląc się widocznie na uprzejmość.

— Pani tyle sobie kłopotu zadaje; jestem pani bardzo, bardzo obowiązany.

— To nie! A cóżbym ja robiła? Kocia po całych dniach nie widuję. Pojechał do Przemyśla już dwa dni temu; czy pan myśli, że jutro wróci?

Ostatnie słowa wymówiła z widoczną tęsknotą i smutkiem w głosie.

— Powinien wrócić — odparł Czesław dość sucho.

— Może zostawi pan jakie rozporządzenia dla niego; ja mu wszystko wyjaśnię.

— Nic, dziękuję pani.

— Kiedy pan wraca?

— Pojutrze.

— A ślub nieodwołalnie 15 sierpnia? — pytała z oczyma błyszczącymi ciekawością i najżyczliwszym uczuciem.

— Nieodwołalnie.

Teraz pożegnała pana domu, trochę zakłopotana, myśląc:

— Ależ w złym jest humorze!

On, z grzecznością, cechującą człowieka dobrze

wychowanego, odprowadził ją do drzwi. Gdy już oddaloną była o kilka kroków, może pożałował młodej milutkiej kobiety, bo zawołał:

— Jeszcze raz dziękuję: kosz śliczny; za wszystko dziękuję.

— Nie ma za co!—odparła dźwięcznym głosem, wykręcając ku niemu główkę, pokrytą prostym słomianym kapeluszem, z pod którego widniał pęk zwiniętych czarnych, lśniących warkoczy.

Wieczorem tegoż dnia Czesław Złoczowski wysiadał z przedziału pierwszej klasy na małej stacji galicyjskiej. Całe grono osób czekało na niego.

Z kilku słów rozmowy łatwo było zrozumieć, że narzeczona jego, jej matka i brat, wyjechali na spotkanie jego, razem z kuzynem, kuzynką i ich rodzicami, u których na wsi spędzali część lata.

Piechotą można było dojść z dworca kolei do Darnowiec. Przechadzka niedługa między jarami, pokrytymi liściastym lasem, teraz, przy świetle księżyca, wszystkich nęciła; tylko bratowa i dwie panie Drohińskie pojechały wolantem, gór się obawiając przy swej ociężałości; reszta osób dążyła z wolna, wijącą się ścieżką, to w dół, to w górę w śród lasu.

Księżyc osrebrzał wierzchołki drzew; wężykami jasnych promieni wybiegał na ścieżkę ujętą w gęstą, pachnącą roślinność. Wężyki te ślizgały się i biegały, sunęły cicho i tęczyły na miejscu, stosownie do wiatru, który gałęźmi poruszał; rozpraszały się mię-

dzy konarami drzew, w górę sunąc, albo kładły się ukośnie na trawach z kwiatami, w jeden dywan zbitych.

Lekki szmer owadów i ciepły oddech lasu i zapach kwiatów; tajemniczość jarów, nad którymi mgła rozpostarła perłową zasłonę, tworząc tu i owdzie jakby jeziora ciche, srebrzyste; tu i owdzie głębokie rozpadliny, które ponurością swoją odpychały opalowe blaski ku nim z góry spływające — obraz ten cały, tajemniczy a pełen uroku, usposabiał do marzeń.

Podłotek, szesnastoletnia Wilunia Drohińska, wsparta na ramieniu swego stryjecznego brata Wacka, szła naprzód, opowiadając kuzynowi, jakie to nadzwyczajności działy się i dzieją jeszcze w tych jarach, o tam, na szczycie wzgórza. O tam — mówiła, wskazując ręką na modrzew osierocony, cały w srebrzyste blaski spowity w tej chwili, — tam, modrzew, ten o szerokich konarach, to uprzywilejowane drzewo — „dla wisielców.”

— Kto tylko szuka śmierci o dziesięć mil naokoło, do tego modrzewia chodzi, aby się powiesić.

— Taka moda — kończyła panienska, używając światowego żargonu — *c'est pschutti!* tam się wieszac — gdzieindziej nie uchodzi.

Za Wackiem i Wilunią dążył Czesław, prowadząc narzeczoną pod rękę, niezwykle rozmowną dnia tego. Dopytywała go o wszelkie szczegóły, tyjące się Złotopola, o szczegóły jego życia. On zapomniał

chwilowo o zgryzocie, która go dręczyła w podróży jeszcze, i szczęśliwy, upojony życiem, które czasem, jak zaczarowana fontanna z „tysiaca i jednej nocy,” zdaje się bić strumieniami rozkoszy, odpowiadał, wtajemniczał ją we wszystko, co go interesowało, odkładając na później podzielenie się z nią ciężkim kłopotem.

O kilkanaście kroków za nimi szedł typowy młodzieniec; takich tylko w klubie i salonie lwowskim spotkać można. W smokingu, bo już było po obiedzie, a on nie uważał za potrzebne przebierać się, dążąc na małą stację kolejową; ręka jedna w kieszeni, w drugiej trzymał laskę i machinalnie przygwizdując modnego walczyka, ścinał nią czubki traw i kwiatów, płosząc zygzaki księżycowe; szczupły był, mały, mizerny; wąsik jasny, niewielki, osłaniał grube wydęte wargi; włosy nad czołem wyłysiały, przykryte miał teraz kapelusikiem, z fantazją w tył rzuconym, a jakąś niedocieczoną tajemnicą równowagi trzymającym się na głowie.

To młody pan Władysław *vulgo* Ladis Drohiński, czy i jego rozmarzyła tajemniczość i poezya lasu i księżycowej godziny?

Voyez! quelle farce! Jego? Przedpotopowe dzieje, kiedy to ludzi natura rozmarzała; on ma co innego do myślenia.

— Kanalia, szkapa mi się odparzyła — dumiał smutnie, głowę zwieszając i machinalnie tylko po-

gwizdując, bo zły był w tej chwili. — Ten Munio, psia wiara, mnie otumanił; bydłę i tysiąca nie warte; dałem dwa. Rasowy. No, rasowy to może i jest, albo ja wiem? Licho wie! Papa udaje, że się zna, ale w tym znawstwie, to jeszcze ja górą. Odparzona; już tam znamię można zafarbować, byle guza nie było. Może się uda wpakować temu niedoładze Wi-niarskiemu; kupi, chociażby dlatego, że odemnie, to kupi. Swoje odbiorę. Kupi, choćby dlatego, że ze stajni łańcuckiej.

Tymczasem Czesław, trzymając rękę narzeczonej w swojej dłoni, mówił:

— Wie pani, że to właśnie od dziś za miesiąc.

Ona się zadumała.

— Nasz ślub od dziś za miesiąc. Jeszcze trzy-dzieści długich dni. Staram się o tym nie myśleć, bo gdy się zastanowię, to minuty w godziny się zamieniają. Pierwszy raz w życiu zabijam czas. Do tej pory czas uciekał, a ja wiecznie za nim gonilem, i byłbym chciał każdą godzinę przedłużyć. Już też prawie wszystko gotowe: na wewnątrz porządek, ale na zewnątrz nieład jeszcze. Oby tylko pani moja zadowolona była ze mnie. Na każdym fotelu, na kozetce, na szeszlongu, wszędzie widzę panią siedzącą. Najczęściej jednak obok mego biura. Jest tam kołyszący się fotel; pani lubi kołyszące się fotele?

— Lubię, ale proszę zawczasu niedostępnym go dla mnie zrobić. Leniwa jestem, a kołysanie odrę-

twia mnie, odurza zupełnie: to dla mnie narkotyk prawie; ja tam siadać nie będę.

— Tylko o szarej godzinie, dobrze? Na chwilę; ztamtąd cudny widok, bo fotel obok okna stoi. Szara godzina, otwarte okno, widok na las i łąki, w tym obrazie moja pani na głównym planie, a ja obok niej! Wiesz, Halko, że to mi się nadmiarem szczęścia wydaje. Stałem się tchórzem, niebezpieczeństwa boję się na każdym kroku. Czasem mam to wrażenie, że już nie doczekam tych chwil wymarzonych.

— Pan taki dobry! — rzekła Halka zcichą, rękę jego lekko ściskając.

— To nie dobroć moja, to łaska nieba, że mnie uczyniła zdolnym do odczuwania szczęścia. Odczuwam je tak głęboko, że mi czasem serce rozsadza; że poprostu siły omdlewają, jakby nie mogły już udźwignąć takiej potęgi uczucia. Czy pani to pojmuje? Bo to tak trudno określić. To trzeba własną duszą odczuć.

Ona milczała, a on, chociaż byłby wolał w tej chwili usłyszeć głos jej, jak echo jego słowom wtórujący, to przecież nie poczuł żalu do niej; przeciwnie, czarowało go i ujarzmiło coraz więcej to, co on za dziewczyną nieśmiałość i powściągliwość poczytywał. Jego otwarta, szczerą, serdeczną naturą, może prawem kontrastu, lgnęła do tej spokojnej, panującej nad sobą kobiety.

Dla niego, który od rana do wieczora troskał się, to o swoje, to o cudze dobro; który, pełen prawości i szlachetnych pojęć, szukał ludzi takich, jakimi powinni być, a nie jakimi są; który bezwzględnie i zbyt surowo sądził ludzkie niedokładności, od siebie najwięcej wymagając;— dla niego, który obuezał się wszystkim, co płaskie i brudne, nikezemne, a spotykając się ze złem, nieledwie na każdym kroku, [czuł się tém osobiście dotknięty i zraniony: dla niego narzeczona była ideałem ciszy, spokoju, niezmaconej pogody, słodyczy i wdzięku niewieścigo. Nie żądał od niej uniesień. On wierzył w gorącość jej uczuć, a o ile ją kochał miłością nieograniczoną, o tyle ją szanował za tę jej kobiecą dumę, takt i spokój.

Ona tymczasem słuchała słów jego, jak głuchy— śpiewu słowika, jak umarły — szumu brzozy na grobem swoim.

On rękę jej do ust tulił i całując gorąco, mówił:

— Jakie to szczęście, że ja, żyjąc tak długo, zachowałem jednak serce w całości dla mojej pani; dziwi mnie nawet, że nie próbowałem przez tyle długich lat szukać ideału dla siebie wyłącznie, tak jak go szukam niezmiernie często między ludźmi, nie dla siebie, ale dla dobra ogółu. Szukam, zamiast doskonałości, znajduję... zawód i mam pretensję o to, śmieszną nieuzasadnioną pewnie, do siebie i do całego świata. A ten, na którym się zawiodłem,

poprostu wstręt we mnie wzbudza, prawie gotów jestem nienawidzić. Ale dziwna rzecz, ja w tym jednym kierunku — pani mnie rozumie? — w kierunku miłości, nie rozpraszałem serca nigdy. I teraz wdzięczny sobie jestem za to, jak gdyby w tém była moja zasługa. Ty jesteś jedyną panią każdego uderzenia serca mego; nie znałem wzruszeń, nie znałem obaw, nie znałem rozkoszy, — nic nie znałem, póki ciebie nie znałem.

I patrzył na nią z zachwytem, a ona szła z głową spuszczoną, w ziemię patrząc.

— Pani moja serdeczna! — mówił w uniesieniu, a oczy jego tryskały szczęściem. — Ty teraz milczysz, ale ja ciebie odgaduję, ty, wzruszona, mówić nie możesz i nie potrzebujesz. Ja to pojmuję, ale przecież później, kiedyś, za rok, za dwa, ja wiem, że to się zmieni, że uczujesz potrzebę zwierzenia mi się z każdej myśli swojej; ja wierzę, że dziś nawet oddajesz mi całe serce twoje. Ty jesteś moją czystą, jasną gwiazdą. Ty nie oddałabyś mi ręki bez serca, bo ty i komedia, to dwa tak różne pojęcia, jak blask i ciemności. Powiedz mi jedno tylko, bo przecież chciałbym znać ciebie w przyszłości tak, jak siebie dałem ci poznać. Powiedz mi: czy ty już kochałaś kiedy w życiu?

Ona, nie podnosząc oczy, rzekła po chwili milczenia:

— Takie pan dziwne stawiasz pytanie!

On myślał, że jej przykrość zrobił, że ją obraził
tém przypuszczeniem, więc począł się tłumaczyć.

— Pojmij, Halko, że nie miałbym ci tego za złe,
bo przecież każdemu wolno. Ja nie byłbym nawet
zazdrosny o przeszłość twoją, tylko radbym wiedział
wszystko. Mnie zajmuje każde opowiadanie matki
twojej, nawet gdy wspomina, jaką sukienkę nosiłaś,
gdy miałaś trzy lata. Chciałbym mieć te sukienki
twoje. Śmiejesz się? Chciałbym je mieć, doprawdy!
To naturalne, że mnie zajmuje przeszłość uczuć
twoich, ale nie byłbym zazdrosnym. Tyś teraz moją,
ty już na zawsze moją będziesz: o to jestem spokoj-
ny, więc pomnij, że nie dlatego pytam.

— Kiedyż ja się nie gniewam, niech mi pan
wierzy! Pan taki jesteś dobry, czegożbym się gnie-
wać miała?—odparła Halka, widząc niepokój i chęć
usprawiedliwienia się w jego słowach.

On, z prawdziwą ulgą, spojrział na nią i rzekł:

— Już mi nie chodzi o przeszłość serca pani;
takie natury, jak twoja, są przedewszystkiem stałe,
a gdy się raz oddadzą, nie odbierają się nigdy. Ale
mnie chodzi w ogóle o myśli twoje, o wrażenia,
o to, coś przecierpiała, co cię radowało w przeszłości.
Mnie każda chmurka, która zaciężyła nad życiem
twojem, zajmuje. Ciekawy jestem, co?

Ona odparła:

— Moje życie takie było monotonne...

I urwała nagle, w dal spoglądając.

On objął ją bystrym wzrokiem, a ta bruzda, która w chwili niezadowolenia głęboko przerzynała czoło jego, teraz zarysowała się zlekka, ale znikła natychmiast prawie. Twarz jego rozjaśniła się znowu, gdy tak przyglądał się ukochanej kobiecie, więc tylko nie nie znacząca, delikatną wymówkę jej zrobił:

— Skrytą jest pani moja. Ale to minie, ja cię moją szczerością podbiję, zdobędę zaufanie twoje. O, zdobędę! Dopóki całej twojej duszy nie otworzysz przedemną, dopóty nie będę miał spokoju, nie dlatego—broń Boże!—abym nie był pewien doskonałości twojej, tylko dlatego, że najwyższém mojem pragnieniem jest to, byś ty sama, z własnej inicjatywy, potrzebowała głośno myśleć w mojej obecności; że byś ty sama, tak jak ja, żądała spójni, jedności duchowej między nami.

W czasie, gdy narzeczeni, całkiem sobie oddani, zajęci byli rozmową, nietylko podłotek z kuzynkiem, ale i świetny okaz goga wyprzedził ich znacznie. Oni szli zwolna, coraz wolniej. Czesław nie śpieszył się, by zająć na miejsce, gdzie dwie bratowe, rozparte w głębokich fotelach, rozprawiwały z zajęciem o Borowitzu, który „sfuszerował” suknię Wiluni, i o sąsiadce, pani Kozelskiej, która naśladuje wierne każdy kapelusz noszony przez panią Drohińską i jej ciotkę.

Podłotek również nie tęsknił za towarzystwem

narzeczonych. Szczęśliwy, że idzie, wsparty na ramieniu mężczyzny, udawał dorosłą pannę i zabawiał Wacka Drohińskiego zajmującem opowiadaniem; ta para szła prędzej, niż Czesław z Halką, a już skręcali do parku, dom otaczającego, gdy Wilunia z żywą gestykulacją prawila:

— Wierz mi, Waciu, *ma parole!* Ten biedny Kazio kochał się w Halce. Ty drwisz? *Ma parole!* przecież to był nasz najbliższy sąsiad; ty latem na kilka dni tylko przyjeżdżałeś, więc zkad ty możesz wiedzieć? *Et puis, vous autres, hommes! Vous etes tous aveugles.* Ale ja—to co innego.

— Jako kobieta! — mówił Wacek, śmiejąc się wesoło.

— Naturalnie! jako kobieta. Przecież dziesięć lat mieć można, a jeżeli się nie jest mężczyzną, to się jest kobietą, co? — pytał tryumfalnie podlotek.

— Logika: pobity jestem! To się nazywa być więcej, niż kobietą, to się nazywa być uosobieniem logiki.

— A widzisz! Więc Halka tu całe lata spędzała, tak jak teraz.

— To nie dowód.

— Ale bo mi wierzyć nie chcesz. Ja widziałam, słyszałam. Miałam oczy i uszy.

— Szczególniej oczy! *Sapristi! à damner cent chrétiens.*

Panienka uradowała się widocznie, ale rzekła, udając powagę:

— Powtarzasz się. Słuchaj. Kazio kochał się w Halce, to jest niezawodne. Mnie tego nikt z głowy nie wybije; co wiem, to wiem.

— Co wiesz? — może trochę niespokojnie pytał Wacek.

— *Ça c'est mon affaire.* Ja myślałam, że i ona w nim, ale tu to mnie może i węch omylił. Dawne dzieje! On potem zapadł na jakąś melancholię.

— Tu pozwól, o! cudna Wilhelmino, że ci zaprzeczę; nie wiem, gdzie ty tę melancholię widziałaś?

— Bo on w licznym towarzystwie był wesoły. Ale ja go tu na wsi tak często widywałam. On się tylko silił na wesołość; powiadam ci, że był melancholikiem. Najlepszy dowód: z czegożby się zabijał, jeśli nie z czarnej melancholii?

Teraz Waclaw Drohiński odetchnął widocznie swobodniej i nie przeczył już, przyjął twierdzenie kuzynki.

— Tak, to prawda. Czemużby się zabijał?

— Wiesz, w którym miejscu? Tam, o kilkanaście kroków od nas, za parkiem, u skraju łąki.

Wacka dreszcz przeszedł i mruknął:

— Waryat!

— A waryat, niezawodnie! Zepsuł mój pierwszy bal. Tak się świetnie bawiłam. On tak świetnie tańce prowadzi. Mama tak świetnie wystąpiła, Ladis

take świątne ekwipaże wysłał po gości na dworzec. I potem... katastrofa!

Prawie tych samych słów użył w tej chwili Czesław Złoczowski, mówiąc do narzeczonej, tylko przedmiot rozmowy był inny.

— To prawdziwa dla mnie katastrofa. Niech pani pomyśli! Chłopaka tego, sierotę, ojciec mojej opiece powierzył, starałem się wychować go porządnie. Oddałem go do szkół; uczył się znakomicie napozór taki był do mnie przywiązany, i ja go tak lubiłem. Bystry, roztargniony, Dublany świetnie ukończył. Wtajemniczony był we wszystkie moje sprawy; osiem lat młodszy odemnie; miałem dwadzieścia lat, jak się nim zaopiekowałem. Przywiązałem się do niego, lubiłem! Taki zawód! Doświadczałem go tyle razy, ufałem mu, wierzyłem po swojemu, bez ograniczeń. Wie pani, czasem wolałbym nie mieć téj skrupulatnej, we wszystko wglądającej natury; czasem wolałbym być ślepym. To tak boli, to tak ciężko przejrzeć w niektórych warunkach. On napozór był do mnie przywiązany. Grał komedję! To, to najwstrętniejsze! Dla mnie hypokryzya jest odrażająca, nie umiem znaleźć dla niej usprawiedliwienia. To jest dla mnie ciężkiem zmartwieniem, ciężkiem, ciężkiem — kończył, wzdychając, jak gdyby fizyczny ciężar go przytłaczał, bo szedł teraz mniej elastycznym krokiem, przygarbił się trochę.

— I co pan poczniesz? — pytała Halka, starając się współczucie okazać.

— Co? — i wyprostował się w tej chwili, a zamiast smutku, wyraz zaciętości wystąpił na twarz jego. — Co? naturalnie, że tu niema dwóch sposobów wyjścia. Jest jeden tylko. Ukradł, złodziej, ukradł z premedytacją, sfalszował rachunki; oddam pod sąd.

Halka aż przystanąła osłupiała. Pierwszy raz w oczach jej on przestraszył wyczytał.

Zapamiętał ten ruch jęj i wzrok zatrwożony, aby później, gdy już ochłonął, rozczulić się nad jej sercem gorącym, współczującym tak żywo, tak po kobiecemu, z niedolą ludzką. Ale teraz zdziwiony był tylko, bo ona, wysuwając rękę z pod jego ramienia, stanęła naprzeciw niego i niezwykle ożywionym głosem zawołała:

— Tego nie zrobisz!

On patrzył na nią, niezupełnie pojmując, o co jej chodzi. Ona, z twarzą zlekka zarumienioną, powtórzyła z naciskiem raz jeszcze:

— Tego nie zrobisz; to byłoby potworne!

— Ależ, Halko moja jedyna, ty się nie zastanowiłaś tak, jak ja się zastanawiałem. Pierwszą myśl moją także serce mi podyktowało. Chciałem go wypędzić, powiedzieć jemu tylko, we cztery oczy, że jest nikczemnikiem, złodziejem,— wygnać precz, a zresztą dać mu pokój. Ale po namyśle przysze-

dłem do przekonania, że to byłoby bezprawiem, to byłoby egoizmem pod pokrywką dobrego serca. Ja dla niego, dla złodzieja, nie mam już żadnych obowiązków, ale dla ogółu, dla społeczeństwa, mam. Puścić złodzieja samopas, znaczy rzucić szkodliwy czynnik między ludzi. Ja nie zrobię tego; nie mam prawa.

Halka, zawsze z tą samą, niezwykłą, żywością w słowach, odparła:

— A jego żona? Czyż nie mówiłeś mi pan, że to najlepsza, najpocziwsza osoba? Co się z nią stanie? Czy masz pan prawo ją gubić?

— Prawo jest jedno tylko, nie ulegające tym razem wątpliwości. Pytaj: „czy mam serce ją gubić?” Otóż serce ściska się we mnie i boli mnie, boli strasznie nawet; ale serce przed prawem zawsze zamilknąć powinno. Każdy nikczemnik na świecie ma żonę, matkę, dzieci, niewinną jakąś ofiarę swojej zbrodni; gdyby serce szło przed prawem i prowadziło je, cóżby się działo na świecie?

— Ależ to okropne! Ja tego w ten sposób nie pojmuję. Nie mogę. Ileż on ukradł, to jest na ile się sprzeniewierzył?

— Nie poprawiaj się, droga moja. To na jedno wychodzi. Tysiąc florenów.

— I za to?

— Nie za to, kochanko! Nie za to; nie wysokość

summy o złem stanowi. Czy dziesięć złotych, czy sto tysięcy, przestępstwo to samo.

— Czesławie! — ręce składając przed nim, jak do modlitwy, stanęła Halka; nigdy jeszcze po imieniu go nie nazwała. On ręce jej schwycił i patrzył na nią, zapominając prawie o swej zgryzocie. — Zlituj się, ty tego nie zrobisz! — mówiła głosem błagalnym.

Zaciętość w oczach jego błysła nanowo.

— Proszę cię, moja złota, moja pani, nie wymagaj odemnie niemożliwości; ty tego nie rozumiesz. Proszę cię, błagam, ty o tём sądzić nie możesz! Nie gniewaj się na mnie. Nie miej mię za okrutnika, za...

— Aczёмże pan jesteś? — pytała Halka zimno, wracając do swego zwykłego spokoju.

Jemu twarz się mieniła, blednąc i czerwieniejąc naprzemiany. Walkę z sobą staczał.

— Ty wiesz, Halko, że nim nie jestem. Ty dobrze wiesz o tём.

— Zkąd mam wiedzieć?

— Staralem się, by ci się dać poznać.

— Ze słów nie sądzi się ludzi.

— Więc czegóż chcesz? Aby na twe żądanie postąpił wbrew przekonaniu? Pierwszy raz w życiu, abym zaniedbał tego, co za obowiązek poczytuję, dlatego, że ty tak każesz?

— Choćby dlatego — odrzekła, podnosząc zlekka głowę, jak królowa, pewna władzy swojej, a pięknie

jej z t \acute{e} m było i on ocenił t \acute{e} pi \acute{e} kność jej, ale nie ustąpił przecie \acute{z} , cho \acute{c} się w nim serce krajało.

— Słuchaj, droga moja — mówił powa \acute{z} nie, gdy ona, oparta o pień drzewa, stała oblana światłem ksi \acute{e} życa, jak duch eteryczna, jak zjawisko leśne, mgławce, w swej powłóczystej, gładkiej, białej sukni.

— Słuchaj! W ten sposób, — błagam cię serdecznie, gorącymi słowami, — w ten sposób nie mów do mnie nigdy. Ty nie wiesz jaką straszną krzywdę mogła byś mi wyrządzić, a jeżeli mnie kochasz, to i sobie. Ty nie wiesz. Ja cię mam za kobietę pełną rozumu. Nie rób mi zawodu. O Halko, droga moja, błagam cię, nie wywołuj we mnie walki; ty wiesz, już ci mówiłem: prędzej niżbym sumienie zdeptał, cho \acute{c} by dla twego kaprysu, prędzej niżbym się wyrzekł godności m \acute{e} żczyzny, niżbym maryonatką w r \acute{e} kach najdro \acute{z} szej mi kobiety, w r \acute{e} kach twoich, został, prędzej zdeptałbym własne serce, złamałbym własne życie! To nie cze \acute{z} e słowa, to prawda. Mo \acute{z} e to moje nieszcze \acute{c} ście, ale tak jest. Z t \acute{e} m się liczyć trzeba.

Ona głowę zwiesiła.

— Tyran! — wołał w niej g \acute{o} s jakiś, buntując się.

On mówił dalej z zapalem:

— Wybacz mi, nie miej do mnie \acute{z} alu za t \acute{e} otwartość moją. Wolę, byś poznała wszystkie wady moje. Ty wiesz, że cię kocham. Ty czujesz, że goręcej nikt nie jest zdolny kochać, więc ty musisz odgadywać, co się we mnie dzieje, gdy jestem po-

wodem najłżejszego niezadowolenia twego. Cóż? Powiedz, powiedz, Halko! Może ja cię przestraszam, może cię zrażam? może natura moja, już urobiona życiem, okolicznościami, już nie dająca się zmienić, nie jest tą, którą sobie wymarzyłaś? Powiedz. Jeszcze czas! Nie myśl o mnie, myśl o sobie tylko. Czemu milczysz? Przecież ja muszę wyrok usłyszeć z ust twoich. Musisz mi odpowiedzieć!

— O co panu chodzi? — zapytała zcicha.

— Ty wiesz! Ja chcę wiedzieć, czy się mnie nie boisz? Czy nie wolałabyś cofnąć się, póki czas?

Ona kurczowo ręce zaciskała; może staczała straszną walkę w sobie. Coś niezwykłego dzieć się w niej musiało, bo dwie łzy stoczyły się po jej twarzy i padły na kołyszącą się trawę, z kroplami rosy się mieszając. On pobladał; cierpienie wielkie mławało się w jego oczach. Ale powtarzał jeszcze:

— Póki czas, Halko, póki czas!

— Po cóż się męczyć wzajemnie? — odrzekła w końcu młoda kobieta. — Słowa danego nie cofnę, pan wiesz o tem! Tylko w takim razie, gdybyś sam tego żądał.

Dla niego odpowiedź ta wystarczała; odetchnął, głęboko czerpiąc powietrze, tak, jak oddychają pewnie na śmierć skazani, gdy im niespodzianie amnestyę ogłoszą. Więc przeproszał narzeczoną i obsypywał ją najczulszemi słowami, a teraz, gdy pewność szczęścia upoiła nanowo jego duszę, chciał okazać

ukochanej kobiecie, że ona jednak ma władzę nad nim, że zrobi dla niej ustępstwo, jeżeli ona nie narzuca mu żądania swego, ale prosi, więc pytał:

— Czy tobie rzeczywiście tak bardzo zależy na tém, bym darował Kilańskiemu?

Ale ona, może zmęczona niezwykłą walką i energią, na którą się zdobyła, by się wstawić za winowajcą, teraz wróciła już do zwykłego stanu znużenia, czy apatyi, czy też, jak się to napozór zdawało, spojku, dość, że na pytanie Czesława odparła:

— Ja tylko przeprosić pana muszę, że się wnieszałam do nieswoich rzeczy. Naturalnie, że pan lepszym sędzią jesteś w tej sprawie; postanowienie pana musi być sprawiedliwem.

— Sprawiedliwem, myślę, że było. Ale ty raczyłaś tak żywo tém się zająć... W ogóle nie ma już moich albo twoich spraw, są tylko nasze wspólne. Ty dla mnie nie jesteś dodatkiem w życiu, ale treścią jego, i ja ciebie wyłączać nie będę ani od trosk, ani od radości moich. Twej rady zasięgnę często, jak rady najlepszego przyjaciela. Więc niechże dziś już zapytam cię o radę. Powiedz mi, jeżeli to nie jest nadzyciem cierpliwości twojej, na czem opierasz zdanie twoje, że nie powinienem obejść się z Kilańskim tak, jak zamierzałem?

— Na uczuciu ludzkości. Sam przyznajesz, że służył ci wiernie i uczciwie, że żona, która go kocha, jest najlepszą istotą, że sprzeniewierzył ci się po raz

pierwszy. Jeżeli go oddasz pod sąd, życie jego jest złamane, nawet o poprawie nie będzie mógł myśleć, bo nikt mu miejsca nie da, gdy wyjdzie z więzienia; pomimo kodeksów karnych i litery prawa, sercu odezwać się wolno, a w tym wypadku serce głośno mówi. Więc przebacz!

Widocznie cała ta sprawa niezmiernie żywo Halkę zajęła, skoro w miarę, gdy mówiła, głos jej nabierał metaliczniejszego dźwięku i w oczach migotało życie. Teraz dopiero znać było, że ta kobieta, nie wodę, ale krew gorącą ma w żyłach.

On zastanawiał się chwilę, w końcu rzekł:

— Jeżeli przebaczę, to zupełnie; czyli, że czyn haniebny ujdzie bezkarnie, bo nie oddając go pod sąd, muszę go u siebie zatrzymać: inaczey byłoby to wypędzenie od siebie złodzieja, z myślą, że ktoś inny da się złapać i w pole wywieść. Więc skoro taką jest rada i życzenie twoje, zostawię tego człowieka pod swoim okiem, aby go zbliżka dozorować. Nie przychodzi mi to łatwo, ale nie chcę odmawiać tobie, gdy pierwszy raz zechciałaś zdanie swoje objawić.

Ona ścisnęła mocno rękę jego i rzekła:

— Dziękuję i poczytuję to za łaskę z twej strony; zobowiązałeś mnie sobie.

On rozczulony był do głębi jej dobrocią.

— Gdy o drugich chodzi — pomyślał — ona, zimna napozór, odkrywa nieprzebrane skarby serca.

I oddawał jej w duchu i w słowach hołd najgłębszy.

IV.

W rześście oświetlonym kościele Jezuitów we Lwowie tłumy się zebrały.

Tylko środkowa nawa, dywanami wyłożona, pustą była zupełnie; po obudwu stronach zdobiły ją drzewa cieplarniane.

Szerokie podwoje kościelne otworzyły się widocznie energiczną dłonią popchnięte, a równocześnie ukazali się trzech młodzieńcy z „klakami” pod ramieniem; jeden w binoklach, na krótkim, śmiesznie zadartym nosku, z łysiną nad bezmyślném czołem, z rudawami rzadkimi faworytami; idąc, spoglądał na prawo i na lewo, śmieszny nosek zadzierając jeszcze wyżej w górę. Pochód jego po głównej nawie kościoła, był pochodem tryumfalnym; słyszał, a jeżeli nie słyszał, to domyślał się w powietrzu szmerów pochlebnych:

— Patrzcie, to książę Wiktor; to ulubieniec salonów! Bogaty pan! Jaki bogaty!

Nie słyszał zaś i nie domyślał się pewnie akompaniamentu do tej pieśni chóralnej:

— Błazen nad błaznami! Błazen nad błaznami!

— A ten drugi to kto? — pytała ciekawa kuzmoszka swego sąsiada. — Ten chudy i mizerny, jak śmierć angielska?

— A to, klaker tamtego. Tamten, mówią, płaci go sobie rocznie, by mu facecye gadał, i razem blaznują; tamten chudziuski, maluśki, to, choć ma tytuły i pieniądze, a ten ni z pierza, ni z mięsa, ale dmie się; „ta” to indyk niczem! Udaje półpanka, bo całego pana to już ani rusz nie może, tylko z kart żyje.

— Chryste Panie! „Ta” to na takich długich, cienkich nogach, dziw, że się utrzyma!

— Nie utrzymałby się; tyle, że klamki pańskiej się schwycił, to ma i oparcie—rzekł, śmiejąc się do wcipniś.

— A tamten, ten młodziutki, co ma mleko pod nosem?

— Aha! To ci zuch! Od roku nos temu przestali ocierać, a już pół fortuny przegrał. „Ta” i nie dziw. Tamci dwaj, to kompaniony: oho! złapali gagatka nieboże, i okroją, póki, wstydząc się swej golizny, nie przepadnie gdzie, jak kamfora bez pieprzu. Ów cienki na długich nogach nie pierwszego dudka tak oporządził; ale widzi pani dobrodzika, to „szyk” należeć do tej „partyi”. To i nie żal dać się splukać. Mało ja się napatrzał! „Ta”, to mój chleb.

Kumoszka dobrze wybrała najlepiej poinformowanego obywatela ze Lwowa, bo ów obywatel piastował godność pierwszego „garsona” w klubie.

Zaś owi trzej panicze, przekonani, że wywołują zachwyt w tłumie, dążyli prosto przed ołtarz. Nie zrobili tego zaszczytu Panu Bogu, by przykleknąć. Jeszcze czego! Pan Bóg powinien wiedzieć, że tym trzem wszyscy się kłaniają, ale oni niewielu uprzywilejowanym, w drodze wielkiej łaski. Teraz, stojąc przed ołtarzem, poczęli na swoją rękę rozmowę.

— *Sapristi!* — zawołał prawie głośno ten na cienkich nogach. — Złoczowski na światło nie żałował. Cuda się dzieją!

— Ba! Ja to mam za większy cud — odparł książę Wiktor, zadzierając w wesołym uśmiechu swój impertynencki nosek. — Ja to mam za większy cud, że tobie, Miniu, nie udało się nigdy wyłowić i florena z kiesy Złoczowskiego.

Cienkonogi roześmiał się na głos prawie.

— A jakże! — zawołał — tu się mylisz. Wyłowilem nie jednego, ale 500, bom sprzedał jego rządcy szkapę ufarbowaną, wapnem karmioną, narazie wódką rozognioną, wartą 50 maximum.

— Bravo! — śmiał się książę Wiktor *vulgo* Vivi, pokazując w uśmiechu rząd spróchniałych zębów — zyskujesz w mojej opinii!

— Jakoś długo orszaku nie widać — rzekł ten

najmłodszy, zwany od pewnego czasu „*la brebis tondue*”, spoglądając ku drzwiom.

— Śmiałym się, ależbym się śmiał, gdyby jeszcze w ostatniej chwili cała maszyna trzasła — syczał laskonogi, mrużąc złośliwie małemi oczkami.

— Jaka maszyna?

— A no, ten ślub! Podłożyłem bombę; niech mnie dyabli biorą, jeżeli nie pęknie!

— Cóżes ty przeszkrobał, o, Mefisto? — pytał ciekawie Vivi.

— *Rien que ça*. Dziś przyłapałem Złoczowskięgo w klubie, kiedy on się befsztykiem na śniadaniu dławił. Musiał słuchać, był widocznie zgłodniały, inaczej byłby drapnął. On zawsze „nura” daje, gdy mnie zoczy. Imponuję mu.

— Nie to. Zazdrość go trapi o twoją wiotką kibić i smukłe fundamenta.

Skrzywił się laskonogi w serdecznym uśmiechu.

— Podąłem mu pigułę; zadławi się.

— *Voyons!*

— Zapytałem go niewinnie, jak nowonarodzone dziecko, czy zdrowie jego narzeczonej się polepszyło? On na to: „Nigdy nie chorowała”. A to dziwne! — rzekłem — cóż znowu Lwów sobie wymyślił? Mówią, że od owego fatalnego wypadku, od śmierci Kazia, panna Drohińska chora ciągle. Nikt w tém zresztą nic dziwnego nie znajdował. Znała tego biednego chłopca od dziecka prawie, przyjaźnili się ser-

decznie; ona wrażliwa, nerwowa, to musiało nią wstrząsnąć, témbardziej, że to samobójstwo takie niewyjaśnione, mówią, że z miłości. — Ahhaha! jak ja mu to wygarniałem! Jak mu się twarz mieniła. *Un arc en ciel vous dis-je!* czerwony, zielony, siny, ha, ha, ha! Ale starał się panować nad sobą; sucho odparł: „Moja narzeczona nie jest ani nerwowa, ani do tego stopnia wrażliwa. Dziękuję panu za okazane współczucie co do jej zdrowia, ale proszę się nie frasować; na chwilę chorą nie była.” *A la bonne heure!* Ale com zasiał, tom zasiał: żniwo będzie obfite, a ten okaz cnót wszelakich jeszcze się mną zakrzusi na swoim piedestale.

Cała ta historyjka niezmiernie zajęła dwóch młodzieńców; *sotto-voce* była wygłoszoną, tylko śmiano się głośno. Tymczasem ani państwa młodych, ani zaproszonych widać nie było i szlachetna trójka niecierpliwie się poczynała.

Przyczyną spóźnienia było to, że w chwili, gdy Halce welon ślubny przypinano, a ona, jak automat, nie okazując najmniejszego wzruszenia, stała przy lustrze, patrząc w nie, a może i nie widząc siebie, w tej samej chwili zastukano do drzwi i równocześnie pan młody, już we fraku i z bukietkiem przy boku, zapytał:

— Czy mogę zamienić kilka słów z panną Haliną?

Druchny i kilka obecnych pań zawołało:

— Teraz nie! O! na żaden sposób! Do salonu przyprowadzimy ją panu.

— Kiedy mi bardzo na tém zależy. Niech panie wyjątkowo zrobią dla mnie ustępstwo.

Szmer, szepty, narady, śmiech wesoly i żarciki dały się słyszeć, potem całe grono strojnych dam pierzchło, zostawiając narzeczonych sam na sam.

On zmieszany był bardzo i blady, ale, nie namyślając się, stanął naprzeciw Halki i począł mówić prędkim, urywanym, zdławionym głosem:

— Muszę, muszę postawić pani jedno pytanie. Myślałem, że zwyciężę w sobie wszystkie wątpliwości, że mnie te ohydne gadaniny nie zadrasnęły nawet; ale tak nie jest. Od kilku godzin walczę z sobą i bardzo cierpię, więc trzeba mi przebaczyć. Ja nie chcę, ja nie mogę wnosić z sobą wątpliwości w nowe życie, które nas czeka. Ale ja tobie uwierzę, Halko, tylko tobie, bo ja wiem, że ty nie potrafisz skłamać. Powiedz mi, czy to prawda, że ty nie potrafisz skłamać. Powiedz mi, czy to prawda, że ty kochałaś Kazimierza Sadeckiego?

W chwili, gdy on mówić zaczął, ona oparła rękę o poręcz krzesła i ręka ta, w miarę słów jego, kurczowo się zaciskała. Patrzała na niego, otwierając szeroko pytające, zielonkawe źrenice; nie mogła oczu spuścić, choć chciała. On ją magnetyzował swoim wzrokiem.

— Czy to prawda? — powtórzył z namiętną niecierpliwością.

— Nieprawda! — odparła z wolna, ustami posiniałemi ze wzruszenia, a pod oczami obwódka, z siwej, prawie czarną się zrobiła.

On odetchnął głęboko; kolory poczęły wracać na twarz jego.

— To haniebne! — mówił dalej, jakby do siebie tym razem. — A ten łotr dawał mi do zrozumienia, że tamten biedak dla ciebie się zabił!

Halka, zawsze z tym samym wzrokiem, utkwionym w narzeczonego, milczała, rękę silniej, coraz silniej wpijając w poręcz krzesła; stała nieruchoma, zeszywniała prawie.

— Ale to nieprawda, co? Powiedz, Halko! Powiedz, czy to być może?

— Nieprawda! — odparła tym samym głosem bez dźwięku.

On schwycił jedną jej rękę, która bezwładnie u boku jej zwieszoną była i podniósł ją do ust w uniesieniu. Nigdy może do tej chwili nie potrzebował zwalczać równie szalonej pokusy, by ją całą do serca przytulić, ale nie zrobił tego; dotąd ust jej nie dotknął jeszcze.

— Gdy będzie moją żoną — mówił — będę czcił ją i szanował, jak świętość.

Teraz rękę jej całował i powtarzał:

— Biedna pani moja! Taka znękana tylu cere-

moniami, a ja ją dręcę jeszcze! Czy ty mi przebaczysz te moje szkaradne przypuszczenia i strachy? Daruj mi, moja jedyna, choćby w imię tego, że bardzo byłem nieszczęśliwy; bardzo! Boże, co ja przecierpiałem przez te kilka godzin! Waryat jestem, co? Jak ja mogłem wątpić, co?

Ona rękę swoją wysuwała z rąk jego.

— To pewnie późno bardzo? — rzekła.

— Późno! Ja dziś zupełnie głowę straciłem, już nawet godziny mi się pomieszały. Chaos! A to dopiero szkodliwe zwierzę ten laskonogi! Przepraszam cię raz jeszcze; daj rączkę. No, idę już, idę! Tylko się śpiesz. Tak ci ślicznie, moja pani biała! Śpiesz się — mówił, wychodząc. — Nie masz do mnie żalu? — kończył, z po za drzwi głowę wychylając.

— Nie mam — odparła.

W chwilę potem kończono stroić ją i wieniec przypięto na głowie. Ale tylko w oczach narzeczonego ta śnieżna, niebieskawa białość szaty powłóczystej i ten welon, okalający głowę panny młodej, upiękniały ją.

Zjawiska takie z trumną mogą harmonizować, ale nie z weselem.

Druchny i kuzynki szeptały pomiędzy sobą:

— Halka *est plus „fantôme” aujourd’hui que jamais.*

— Mizerna jesteś, strasznie mizerna! — mówiła trzpiotowata Wilunia — uróżuj się trochę.

— Mało komu w stroju ślubnym do twarzy —

odparła obojętnie Halka — to taki przesąd, że panna młoda piękna w tych białych draperyach.

— Przecież odezwałaś się nareszcie. Aż mnie strach zdejmował przed twojém milczeniem. Nie wiedziałam, czy to manekin, czy coś żywego, od czasu, jak cię przybieramy.

Zamiast o ósmej, o dziewiątej dopiero ruch się zrobił w kościele, a trzej gogowie mieli czas wiele ciekawych rzeczy sobie opowiedzieć, znudzić się, pojechać na likier do cukierni i powtórnie wrócić, bo i Halka, gdy już była gotową, przed ceremonią błogosławieństwa poprosiła o chwilę wypoczynku i samotności; widocznie w ostatniej chwili sił pewną nie była.

Po wypróżnieniu dwóch kieliszków mocnego węgryna, twarz jej ożywiła się nieco, a wsparta na ramieniu brata i kuzyna swego, dążyła pewnym krokiem przez kościół. Nie uroniła łzy jednej. *Veni Creator* wysłuchiwała bez wzruszenia. Czy się modliła, nie wiadomo; z niezmałconego spokoju jej twarzy żadnego wrażenia wyczytać nie było można.

Laskonogi mrucał księciu Vivi na ucho:

— Bomba nie pękła, ale mnie się coś zdaje, że to białe widmo kością w gardle stanie kiedyś temu drogowskazowi; on się na niej złapie, albowm głupi. Takie *blondes fades* niebezpieczne są, gdy na kiel wezmą; narowiste to zwykle.

Obrzęd ślubny skończony. Kareta państwa mło-

dych czeka. Lokaj stoi przy otwartych drzwiczkach; biała pani siada, opierając się na ramieniu męża: pan Złoczowski znika także przed ciekawym i niedyskretnym wzrokiem tłumów; drzwiczki się zatrzaśkują i kareta toczy się po bruku lwowskim.

Nazajutrz Czesław, promienny szczęściem, pierwszy raz widzi panią swoją obudzoną, jak-gdyby ze snu letargicznego, gdy oboje dążą z dworca kolei do Złotopola. Chociaż zawsze zachowuje swój spokój, onieśmielający trochę, przecież okazuje zainteresowanie się przyszłością i projektami męża. Uśmiecha się, a chociaż nie oddaje Czesławowi uścisków i pocałunków jego, nie stroni od nich.

Pogodna, z twarzą trochę zarumienioną, wsłuchuje się w głos jego, a głos ten nuci jej najcudniejszą pieśń miłości, jaką zakochane serce podyktować może. A chociaż usta jej nie oddają mu gorących pocałunków, choć ręce jej nie oplotły dokoła szyi jego, chociaż nie mówi mu, że go kocha, przecież on wie, on wierzy, że i to kiedyś nastąpi.

— Czemu ty, Czesławie, brata mego nie lubisz?— pytała Halka, gdy rozmowa z osobistego przeszła na ogólniejszy temat.

On zastanowił się chwilę.

— Zkądże ci to na myśl przyszło? — zapytał wymijająco.

— Ja to dawno zauważyłam. To jest widoczne.

— Doprawdy? Czy może dotknąłem go w czem-

kolwiek? Jeżeli tak, to mimo wiedzy i woli mojej. Nie wiem, czy z bratem twoim przyjaźń-by mnie łączyła, gdyby był dla mnie obcym człowiekiem. Ale to twój brat, więc mu życzliwy jestem, bo nie może mi być obojętnym, kto tobie jest blizkim.

— Jesteś mu życzliwym, doprawdy?

— Naturalnie. Nie powinnaś wątpić o tém.

— Czy ty wiesz o jego zamiarach?

— Co do mojej siostry?

— Tak.

— Domyślałem się.

— I cóż?

— Gdybym znał bliżej brata twego...

— Nie ufasz mu?

— Z tobą, Halko, chcę i muszę być otwartym: nie potrafię inaczej. Nie, nie mam do niego zaufania; może się mylę, może to uprzedzenie, ale mu nie ufam.

— A czy ty wiesz, że Wacek byłby najniezszczęśliwszym z ludzi, gdyby się jego nadzieje nie spełniły?

Czesław spochmurniał widocznie; po chwili namysłu odparł:

— Tak ci się zdaje, ale to pewnie pomyłka.

— Wierz mi, że nie pomyłka: on byłby bardzo niezszczęśliwym.

— Czyżby on Lunkę kochał doprawdy?

Teraz Halka oczy spuściła i zawahała się chwilę; ale w końcu rzekła:

— Kocha ją.

— I czy ty myślisz, że potrafiłby ją uszczęśliwić? bo tylko o to chodzi. Ja na twoje zdanie liczę: ty go znasz, ty wiesz. Ja nie mam do niego zaufania, ale wiem, że to małżeństwo, to twoje gorące pragnienie. Wiem o tém także, że ty lekkomyślnie tej sprawy nie sądzisz, więc na twojem zdaniu polegamy. Jeżeli ty ręczysz za brata, to, o ile odemnie zależeć będzie, ja mu poparcia nie odmówię. Ale czy ty rzeczywiście odpowiadasz za niego?

Ona usunęła się teraz w głąb powozu, cofając się od dotknięcia ręki męża, ale na jego powtórne zapytanie odparła:

— Ręczę za niego. I bardzo, bardzo cię proszę, byś mu nie stawiał przeszkód. Proszę, jak o osobistą łaskę.

— Ty wiesz, że ja na twoje zdanie liczę tyle, co na swoje własne. Pojmujesz, jakiem to jest szczęściem dla mnie stosować się do rady twojej i jednocześnie robić ci przyjemność. Już miałem sposobność przekonać się, że główka twoja i serce, to znakomici doradcy. Zatrzymując u siebie Kilańskiego, myślę, że go uchronię od zguby i że ostatecznie będę miał w nim nadal dobrego urzędnika.

— Nie mówiłeś mi jeszcze, jak się ta sprawa zakończyła między wami?

— Nie było sposobności po temu. Tyle rzeczy miałem na głowie kilka dni przed ślubem.

— Powiedz mi to,

— I owszem, skoro się interesujesz. O niczém go nie uprzedzając, pokazałem mu liczby. On się zmieszał, zbladł i nie tłómaczył się nawet. Dopiero, gdy mu z całą zimną krwią powiedział, że jest oszustem, złodziejem i że sam na siebie sąd ma wydać, on porwał za kapelusz i chciał uciekać. Ale go zatrzymał, przedstawiając mu niestosowność drażliwej ambicji po takim czynie. Przyznaję, że wyraziłem mu jasno, bez ogródek, moją o nim opinię. Gdy się zdecydował przemówić, uniewinnił się do pewnego stopnia. Rok temu, jak się żenił, wpakował się w długi. Ja go ostrzegałem, że robi zbytki, że nad możność dom urządza, ale on był zakochany: przestał rachować. W ostateczności cudzą własność naruszył, co jest niewątpliwie zbrodnią, ale dawał mi słowo, że ma zamiar zwrócić zaciągniętą po złodziejsku pożyczkę. Może to i prawda. Powiedziałem mu, dla jakich względów nie oddalam go i dlaczego nadal zatrzymuję go u siebie.

— Nie oszczędzałeś go, jak widzę.

Złoczowski ze zdziwieniem spojrział na swoją młodą żonę.

— Jakto? Jeszcze go miałem go oszczędzać? A, moja pani najmiłsza, to już doprawdy byłoby śmiesznością z mej strony!

Ona zasuwała się coraz głębiej w kąt powozu. Jemu na myśl nie przyszło, że w tej chwili w swojej młodej żonie nanowo postrach wzbudził i że tylko względy całkiem egoistyczne, a nie litość dla niego, sprawiły, iż ta ukochana serca jego nie cofnęła się całkiem, na zawsze.

Od cofnięcia się dawniej i teraz powstrzymywało ją to, co sama nazywała: *force majeure!* Dla niej, dla tej istoty słabej fizycznie i moralnie, rządzonej okolicznościami, popychanej strachem nędzy, kierowanej obawą brata, idącej za głosem, nie serca, nie sumienia, ale chwilowego, najsilniej odczutego wrażenia,—dla niej każda przeszkoda, każda zaporą w życiu wydawała się szkopułem, o który wszystkie moralne względy rozbić się musiały.

Ona nie pojmowała nawet, że mogło być inaczej. Czyż, dzieckiem jeszcze, nie słyszała w ustach matki i brata dwóch wyrazów, które, jak kabalistyczne *motto* jakieś, rządziły wszelkimi ich krokami? *Force majeure.*

Gdy matka kłamała wobec krewnych, a także w obecności dzieci, że suknia jej, kosztująca u krawca sześćdziesiąt złotych reńskich, robioną była w domu przez nią samą, wtedy Halce tłómaczyła:

— Trudno! co robić? *Force majeure!* Marlibyśmy z głodu, a oni jeszcze-by to zbytami nazwali.

Gdy Halka narysowała przy bonie niezgrabną chatę i drzewa do suchych żerdzi podobne, szkic

taki, świadczący o braku zdolności, brat wprawną wprawną ręką udoskonalał, poczem, jako praca Halki, szkice ten, i drugi, i dziesiąty, z rąk do rąk przechodził i familia zdobyła się na nową ofiarę:

— Halka musi brać lekcye od znakomitego mistrza, bo od tego przyszłość jej może zależy.

Suma przeznaczona na lekcye obróconą była na zapłacenie lokaja; szkice, narysowane przez Wacława, przedstawiano w dalszym ciągu jako dzieła Halki; ona patrzyła na to i milczała, a matka, wdychając, tłómaczyła się wieczorem:

— Okoliczności! *Force majeure!* Inaczej pomarlibyśmy z głodu.

Później ta sama *force majeure* zmuszała panią Drohińską do przechwalania się konkurentami, których Halka nigdy nie miała.

— To trudno! Trzeba się umieć sprzedać; inaczej zmarnielibyśmy!

Ile razy Halka przechodziła walkę wewnętrzną, tyle razy *force majeure* zwyciężała, magiczne „motto” życia, które usypiało sumienie, serce i wszelkie duchowe władze.

Już słońce zachodziło, gdy zdaleka, zdaleka, okna dworu złotopolskiego, jak dyamenty i opale, błyskać zaczęły pośród drzew; potem blask drogich kamieni zniknął, a iluminacya, złożona z ponsowych i żółtych świateł, zajaśniała świetlistą smugą.

W końcu iluminacya na pożar się zamieniła.

Łuna ogniowa zdawała się obejmować i drzewa, i dom nikał w jej krwistych falach; ziemia, niebo, pas lasu i snująca się od zachodu wstęga rzeki, wszystko skąpane było w blasku ognistym.

Słońce schowało już pół tarczy za dalekiem, do chmurki podobném, pasmem gór, a drugą połową zawisło jeszcze na horyzoncie i utopiło cały krajobraz w promieniach rozgorzałych. Objęty ze wszech stron oślepiającą luną, krajobraz ten zlał się w jedną całość, drzewa straciły ostrość konturów, zielony kolor łąk szerokich, żółty lębina, srebrno-stalowy rzeczki bystrowodnej, ciemna barwa domstw, — wszystko przestało się rysować swoim odrębnym kolorem. Jedna ognista smuga oblała wszelkie przedmioty; ziemia nabrała jakiejś odmiennej duszy płomienistej, od swego przewodnika, opiekuna, pana najjaśniejszego zapożyczonej.

— Patrz, Halko, to królestwo twoje! Widzisz, jak ci je niebo ubarwia. Odświętna szata okryła ziemię.

Halka z niezwykłym zaciekawieniem spoglądała przed siebie.

— Dziwne, dziwne! — wymówiła zcicha — Na mnie robi to wrażenie, jak gdyby razem z zająciem słońca w mgłę miało się wszystko rozplynać.

— Tego samego wrażenia ja doznałem, gdy ciebie zobaczyłem po raz pierwszy. Zdawało mi się,

że tylko na chwilę, jak mgłę poranną, dano jest oczom ludzkim cię oglądać.

Ona się uśmiechnęła.

— Jakaś ty piękna, kiedy się śmiejesz! Czemu ty nie jesteś wesola? Czemu śmiejesz się tak rzadko? Gdybyś ty wiedziała, co to za skarb nieoceniony — wesołość! Śmiech ludzie zabrali z sobą z jakiegoś lepszego świata niezawodnie. Każda twarz lepszą się wydaje, uśmiechem rozjaśniona.

— To zależy...

— Czyżby moja żona była pesymistką? Ja sam przyznaję, że bywa śmiech piekielny, tak jak i anielski; na szczęście, rzadko spotkać się z nim można.

— Śmiechem ludzie kłamią gorzej, niż słowami, a ja tej sztuki jeszcze nie potrafię — odparła Halka, napozór żartobliwie, ale dziwnie bolesny i zmęczony wyraz zarysował się w kąciakach ust jej świeżych, gdy silila się na uśmiech swobodny.

Wyrazu tego mąż jej nie zauważył, chociaż wyraz ten gościł tak często na jej twarzy. Czesław nie widział ani smutku, ani zmęczenia, pewną słodką melancholię tylko; w oczach jego dodawała jej ona wielkiego uroku, harmonizowała z całością.

Zanim krętą drogą zdążyli zajechać przed dwór starodawny, obszerny, słońce za dalekiem pasmem gór zniknęło. Smugi światła poszły za niem i został tylko zmrok łagodny, pełen barw srebrno-perłowych. Droga, wijąca się wśród rozrzuconych i zbitych

w jedną masę świerków czarnych i lip rosochatych, wyznaczoną była na przyjęcie państwa młodych wielkimi ogniami, które po obu jej stronach płonęły.

Liczna służba, lud ze wsi całej i z kilku sąsiednich folwarków, wszyscy w odświętnych, malowniczych strojach, kłaniali się państwu. Kapela wiejska rznęła dziarskie krakowiaki od ucha. Najładniejsze dziewczęta wręczały dziadkom wieńce z kłosów, dwaj najstarsi gospodarze — chleb i sól.

Dwie uroczystości złączyły się w jedną: powitanie państwa młodych i dożynki; więc wszystkie twarze promieniały radością na myśl tanów, uczy, beczek piwa, kwaszonych ogórków i tej nocy letniej gwiazdzistej, która im miała zabawę upiękniać.

Czesław witał wszystkich uprzejmie, niektórych serdecznie; przedstawiał Halce starego Wojciecha jako najtęższą głowę w okolicy, Maćkową jako najlepszą gospodynię na kilka mil dokoła, Ewusię jako najpilniejszą żniwiarę i t. d., a choć rad był z przyjęcia, oko jego szukało kogoś, bruzda złowróbna na czole jego się zarysowała i uśmiech swobodny zgasł na ustach.

Gdy już tłumy włościan oddaliły się, by na pobliskiej polance tany rozpocząć, Czesław podał ramię Halce i oprowadzał ją po domu całym. Przechodzili z salonu do buduaru, z buduaru do gabinetu, do sali stołowej, a on pytał żonę słowami i wejrzeniem: czy rada, czy jej się wszystko podoba?

Ona uśmiechem słodkim, stłumionym głosem dziękowała, a w sercu jej odzywał się w tej chwili jakiś głos dawny, zapomniany, jakieś ciepło, od którego żywsze kolory na twarz jej się wybiły, od którego oczy jej mgłą lekką zaszyły, mgłą, która miała we łzę zamienić się może, jednak łza nie spłynęła. Ale chwilowe rozczulenie znikło prędko pod wpływem przykrych wspomnień. Nad biurkiem męża, na ścianie, Halka zobaczyła zawieszony szkic, przedstawiający psa, jej faworyta. Szkic ten, jako jej pracę, dostał Czesław od jej matki; ona wiedziała, że ani jedna linia w obrazku nie była jej ręką wykończona.

A potem ten pies, ten duńczyk ukochany! Od kogo dostała to zwierzę, które jej nie odstępowało przez trzy lata w czasie letnich miesięcy? Letnich tylko; bo zimą do miasta zabierać go nie mogła.

Utrzymanie takiego olbrzyma tyle kosztuje, co człowieka — zawyrokowała matka.

Halka dość twardą szkołę życia przeżyła, aby wiedzieć, że to nie fantazja matki, ale szara, bezbarwna, nędzna rzeczywistość, z którą godzić się umiała o tyle, o ile...

Więc dog, Werblem zwany, zostawał na zimowych leżach u tego, kto go Halce ofiarował, u Kazimierza Sadeckiego, a od pewnego czasu przebywał u siasiadów zmarłego, u stryjostwa Halki, państwa Drohińskich. Wkrótce miano go odstawić do Złotopola.

— Śliczne zwierzę!—mówił Czesław, przyglądając się obrazkowi — i śliczne wykonane! Ty masz prawdziwe zdolności, Halko; nie pozwolę pani próżnować.

I poprowadził ją na górę do gabineciku w gotyckim stylu, z gotyckimi oknami, maleńkiego, ale pełnego komfortu. Kominek, biblioteka, kanapa, stół, drzwi, sufit w kopułę spiczastą ujęty, wszystko w gotyckim stylu. Gabinecik ten zbudowany był nad pracownią Czesława i z okien jego roztaczał się ten sam cudny widok na pasmo gór w oddali i na „paletę.” Przy oknie stała rzeźbiona staluga, a obok niej stolik z szufladkami, pełnymi ołówków, węgla, kredek... wszelkie przybory do rysunków potrzebne.

Ona dziękowała jeszcze, ale wymawiała się od pracy.

— Nie mam talentu, wierz mi — mówiła.

Ale on nie wierzył i powtarzał:

— Masz wielki, prawdziwy. Nie pozwolę go zaniedbać.

Stanęli przy drugim oknie.

— Patrz — mówił — ztąd widać, jak na dłoni, całą paletę. Ja tak nazywam tę część krajobrazu. Tam dalej rzeka. Szkoda, że się już ściemniło; widać tylko mgłę, zamiast fali, ale można jeszcze dojrzeć tę obrączkę, w którą jesteśmy ujęci: to góry.

— Piękne to bardzo — odparła Halka, tonąc wzrokiem w przestrzeni.

On mówił dalej w zachwycie:

— Nie potrafiłbym wysłować, co się we mnie dzieje, kiedy patrzę na ten cudny obraz. Ile razy gniew mnie owładnie, ile razy zmęczony jestem prozą życia, drobnostkowymi zajęciami, i czuję, że mój horyzont umysłowy zacieśnia się w codziennych trywialnych sprawach, potrzebuję tylko stanąć tutaj, popatrzeć chwilę, a takie mam uczucie, jak gdyby się wszystko we mnie rozjaśniało. Łagodnieję, staję się lepszym, umysł mój rozszerza się, nabiera sił, wychodzi z ciasnego koła drobnych spraw ludzkich. Natura i sztuka, to lekarstwo dla duszy, to jej zbawienie. Nie pojmiesz, jak mi żal tych, którzy piękna odczuć nie są zdolni, tych, którzy wyznają, albo pozują na wyznawców zasady: *Nil admirari*. Co za ograniczoność i oschłość tych natur, pozbawionych zmysłu estetycznego! Wrażliwość na piękno daje mi pojęcie o umysłowej i duchowej wartości człowieka.

Halka słuchała z natężoną uwagą, a w miarę słów męża, spoglądała to na niego, to na obraz, który się przed nią roztaczał, i zdawało jej się, że pierwszy raz widzi człowieka, który obok niej stoi, że pierwszy raz widzi naturę. Pojęcia jej o estetyce były chaotyczne do tej pory; obdarzona jednak bystrą inteligencją, objęła natychmiast doniosłość słów męża i pytała siebie:

— Może ja należałam do tych, co mają oczy,

a nie widzą? A on, Czesław, ten człowiek, pozbawiony dla mnie romantycznego uroku, może jest kimś zupełnie różnym od tego, co sobie w uprzedzeniu mojem wyobraziłam?

„Romantycznego uroku!” Ta zimna kobieta nosiła w sobie po ojcu odziedziczony wielki zasób egzaltacyi, ale wszelkie porywy przygasiło w niej życie i wychowanie; jednego tylko przygasić nie zdołało: gonitwy za romantycznym urokiem.

Pod wpływem słów męża umysł jej ożywił się; przejęta była chwilowo zachwytem jego, a równocześnie wyrachowanie, którego ją życie nauczyło, radziło jej odezwać się w tej chwili, zdanie swoje objawić. On powinien wiedzieć, że ona się zastanawia i że może o wszystkim z nią rozprawić. Odparła więc:

— Czy nie myślisz, Czesławie, że brak zachwytu dla piękna, na które spoglądamy, nie zawsze świadczy o ograniczonych zdolnościach? Szczególniej w dziełach sztuki, nieraz wyobraźnia ludzka oczekiwała więcej, spodziewała się czegoś piękniejszego i wspanialszego, niż pędzel, albo dłuto najslawniejszych mistrzów jest zdolne oddać?

— W dziełach sztuki być może, chociaż wyobraźnia taka nie przyczynia się do uszczęśliwienia człowieka nią obdarzonego. Zdarza się to, że imaginacya ludzka śni bezwiednie rzeczy piękniejsze i doskonalsze, niż je na świecie spotkać można.

Jednak zdaje mi się, że co do natury, trudno doznać rozczarowania. Dzieła Boże zawsze zadowolnią i zachwycą duszę, jeżeli dusza jest wrażliwą na piękno.

— Tak, jeżeli jest wrażliwą — powtórzyła Hal-ka machinalnie.

Już może o czém inném myślała, patrząc w okno, gdy przed jej oczami mgła lekka rozwijała się zwolna w srebrną zasłonę nad łąkami, gdy księżyc złotawym sierpem płynął cicho między miryadami gwiazd. Widok ten budził w jej duszy smutek, tęsknotę, wspomnienia może; coś dawno zasłyszanego, dawno zapomnianego, odzywało się po cichu, niezrozumiale prawie; coś dziwnego w niej się działo, coś, co się dziać musi w ziemi, gdy po zimowym letargu pierwsze promienie słońca uderzą na nią, rozgrzeją i soki ożywcze w niej obudzą.

Chwilowa cisza zapanowała.

Czesław obejmował ramieniem szczupłą kibić żony, a tuląc ją do siebie, rozpływał się w takim poczuciu szczęścia, jakiego śmiertelnikom niebezpiecznie jest zakosztować na ziemi, bo i czegoż mogą się jeszcze po za grobem spodziewać?

Tymczasem nietylko na ciemnym tle firmamentu zapalało się jedno światło po drugim: na ziemi także, w tych domkach, rozsianych w dolinie, poniżej parku, tu i owdzie, żółte światełko migotało po za zielonemi szymbami.

W białem murowanem domostwie, położoném u stóp wzgórza, otoczonem zabudowaniami gospodarskimi, kilka większych okien zajaśniało. Cienie snuły się za oknami wewnątrz domu, i oczy Halki tam spoczęły. Domyśliła się, że to mieszkanie administratora, ale wyrachowanie, albo też może jakie delikatniejsze uczucie, radziło jej, by nie zakłócać tej chwili uniesienia pytaniami.

Jeżeli była ciekawą, to nie została narażona na długą próbę, bo i mąż jej zwrócił uwagę na dom, na którym oczy jej spoczęły. Zachwyt, malujący się na jego twarzy i uszlachetniający ją, znikł bez śladu, czoło się sfałdowało, twarde wyraz osiadł na ustach, surowość zabłysła w oczach.

— Patrz, Halko, tam Kilańscy mieszkają. Wszyscy witali cię serdecznie; lud ten przylgnął do mnie; znają mnie od dzieciństwa i ja ich; wszyscy nam dobrze życzą—ale tamten! Dlatego, że mu winę darowałem, dlatego, że mnie wszystko zawdzięcza, dlatego wrogiem się okazuje.

— Czemu tak sądzisz?

— Czy on nie wiedział, że mnie to zaboli? On powinien był wyjść pierwszy na spotkanie twoje; przyjąć cię; on i jego żona. Nie lubię mówić i nie mówię nigdy o swoich dobrodziejstwach; ale taka niewdzięczność mogłaby każdego oburzyć. Obraził się! Obraził się, bo mnie okradł. Nie było go; chciał okazać swoje niezadowolenie. A! wiesz, Halko, bę-

dzie to dla mnie codzienném cierpieniem spotykać tego człowieka, mówić z nim, mieć z nim do czynienia.

— Może ty, Czesławie, fałszywie sądzisz. Pomyśl tylko: on musi być szalenie upokorzony; on wobec ciebie czuje się winnym. Gdybyś mu był przebaczył serdecznie, bez ograniczeń, bez wymówek, po przyjacielsku, pewnie byłbyś go sobie zobowiązał, ale...

— A! droga, najlepsza pani moja! jak ty po kobiecemu zapatrujesz się na życie! Serce masz wielkie, i kocham cię za to; ale na twoją wspaniałomyślność, pokornie wyznaję, nie potrafiłbym się zdobyć. Kto jest zdolny do czarnej niewdzięczności i kamieniem za chleb płaci, ten jest nikiemny!

W tej chwili Halka, pod pozorem zmęczenia, usiadła, usuwając się o kilka kroków od męża; a jeżeli coś nieokreślonego budzić się poczynało w duszy jej przed chwilą, to jakiś mroźny powiew, od którego wstrząsnęła się, dreszczem przejęta, wystudził wszelkie dodatnie uczucia.

Gdy państwo młodzi, zajęci sobą i urokiem niepowrotnej godziny, rozmawiali przy otwartém oknie gotyckiego pokoju, inna scena odbywała się w białym dworku u stóp wzgórza.

Młoda pani Kilańska szlochała rzewnie, opierając głowę o ręce na stole skrzyżowane; gruby czarny warkocz włosów w nieładzie na białą szyję opadał;

placz wstrząsał chwilami całym ciałem znękaney kobiety.

Mąż jej chodził po pokoju i od czasu do czasu ocierał krople potu, na czole osiadłe. Tchu mu brakło, zbliżał się do okna, wychylał się naprzód i czerpał pełną piersią powietrze. Zapach, płynący z łąk i lasów, może łagodząco działał na niego. Na twarzy jego, młodej, ale znękaney, cierpienie ryło się wyraźnie.

Ztąd, z okna tego, nie było widać dworu *vulgo* pałacu; miał przed sobą, w mniejszym zarysie tylko, ten sam krajobraz, któremu młode małżeństwo z wyżej położonego dworu się przyglądało. Ale on w tej chwili, choć patrzył na cudną naturę, nie widział jej. Po zaczerpnięciu powietrza wracał, aby pokój miarowym krokiem przebiegać. Chwilami zatrzymywał się obok młodej kobiety, tak rzewnie płaczącej. Oczy jego nieopisanym bólem się napełniały.

— Moje dziecko — mówił, kładąc jej rękę na ramieniu — proszę cię, nie płacz. Doprawdy, ja nie rozumiem, czego tak desperujesz; to nie ma sensu!

Ale młoda kobieta łkała dalej. I tak to trwało długo dosyć, poczem uspokajała się stopniowo, narreszcie utuliła się prawie, jak dziecko, aż w końcu podniosła śliczną głowę o dziecinnych rysach, a łzy świeciły jeszcze w jej oczach, gdy je na męża zwróciła.

— Ja tego nigdy nie pojmem—nigdy, nigdy, nigdy! — zawołała gwałtownie.

I tu nowy potok łez stoczył się po jej twarzy.

— Ty taka nierozsądna jesteś, Wandziu. Już ci tłumaczyłem, że my tam nie mamy co robić! Jakież byłoby twoje położenie? Zupełnie fałszywe! Ani ty, ani ja, wiedzieć nie możemy, jaki to rodzaj kobiety, ta nowo przybyła. Może to jedna z tych przewróconych głów? Może dałaby ci do zrozumienia, że nie należysz do jej towarzystwa?

— To wszystko nic nie pomoże. On był twoim ojcem i bratem, więc... więc i opiekunem, i dobrodziejem... więc ty, ty... — i znowu płacz przerwał jej mowę.

— A więc, do stu par beczek, dlatego ja mam ciebie na wielkopańskie fupy narażać? Cóż u licha!

I blada nerwowa twarz wysmukłego blondyna pokryła się krwistym rumieńcem.

— Mniejsza o mnie; ja nie potrzebowałam grać żadnej roli, ale ty!... czemuś ty nie poszedł powitać ich? Czemu ty taisz coś przedemną, bo ty coś taisz. Tak, tak, taisz. Ja to dobrze widzę.

Młody człowiek wzruszył ramionami na znak lekceważenia słów upartej kobiety, ale twarzy jego ona w tej chwili widzieć nie mogła. Stał znowu przy oknie i w dal spoglądał.

— Z pewnością taisz coś. Alboż ja nie widzę? Dawniej on był z tobą, jak z bratem,—ze mną, jak

z należąca do rodziny; teraz, kiedy mnie zobaczy, to ucieka, a ciebie unika także. Ja was obserwowałam nieraz, gdyście rozmawiali. On tak patrzył, że aż się zimno robiło. Tak patrzył na ciebie, jak na tego stangreta Marcina, co go potem wypędził za kradzież obroku. Coś się złego stało; bo ja jego znam: to dobry człowiek i takie ma oczy, jak dziecko, kiedy się nie złości.

Teraz młody mężczyzna spojrzął na żonę, a ona przestraszyła się wzroku jego. Hardą miał minę w tej chwili, zbuntowaną, z wyrazem nienawiści.

— Ty jego strony nie trzymaj! — wołał. — Ty jego nie znasz! On jest w stanie deptać po człowieku, zmiażdżyć go; on nie ma litości w sercu! Jego dobrodziejstwa! I cóż te dobrodziejstwa znaczą? Proszę cię! Nie rzucaj mi w oczy dobrodziejstw jego! Gdybym był zmarł sierotą pod płotem, to byłoby dobrodziejstwem, a nie jego łaski. Związał mnie niemi; przykuł do siebie, jak psa na łańcuchu! Jak psa kopie i znęca się, znęca bez miłosierdzia, a ja łańcucha zerwać nie mogę, bom związany. To mój dobrodziej! Ha, ha, ha! dobrodziej! Chleb jego mnie dławi. Gdyby była sprawiedliwość na świecie, on byłby mi czem innem, a nie dobrodziejem! — wołał w uniesieniu i pięści zaciskał, i bladł coraz bardziej. Cała krew wzburzona do serca się zbiegała i zdawało mu się, że je rozsadzi.

V.

W pokoiku na biało pomalowanym, na czystej pościeli, ale w zaduchu nie do zniesienia, leżała stara kobieta, tak stara, że twarzy jej czas i życie więcej i głębiej zorać już nie mogły. Na sfaldowanej skórze, na zmarszczkach bez liku, osiadł uśmiech. Twarz ta śmiała się widocznie całe lat dziesiątki, bo każda bruzda piętno uśmiechu nosiła.

Ile lat miała stara eks-gospodyni Feliksowa, tego nikt napewno nie wiedział. Jej pan, Czesław Złoczowski, znał ją zawsze starą i dziewięćdziesiąt jej liczył, a mogła mieć i więcej, tylko maleńkie, w głębokich jamach zapadłe oczki świeciły życiem i śmiały się także. Śmiały się naprzekór paraliżowi, który już od lat wielu władzy w nogach ją pozbawił.

Czysto było dokoła niej; tylko powietrze ciężkie, napełnione miazmatami, na które natura ludzka się wzdryga. Bo Feliksowa rada była pościel zmienić i odświeżyć bieliznę; czystość lubiła, ale bała się przewiewu najmniejszego. Niegdyś przeciąg wiatru

sparaliżował ją; od tej pory na świat Boży nie wyrzała ze strachu i okna otworzyć nie dała. To był jej jedyny kaprys, ale kaprys ten bez zaparcia się siebie niełatwo było znosić.

Tam jednak, w tym dusznym pokoiku, obok starej Feliksowej, siedział Czesław Złoczowski; rękę jej pomarszczoną, na której skóra, jak zanadto przestronna rękawiczka, opadała, trzymał w swojej dłoni, a ona pytała ciekawie:

— To jaśnie pan kontent? A no, dzięki Bogu, dzięki Bogu!

— A wy, Feliksowo! Powiedźcie tak prawdę rzetelną. Młoda pani wam się podobała?

— Bogać tam nie! — mówiła stara, błyskając zapadniętymi oczkami i śmiejąc się całą siecią zmarzszerek. — Jużci, jako ta lilijka, takie to ładne i bieluchne, i dobre, a nie harde; do starej nie leniła się zajrzeć. Niech Bóg błogosławi i ta Matka Najświętsza! Albo to komu, a nie jaśnie panu szczęście przynależne? Oj, oj!

On posiedział jeszcze chwilę, a wychodząc, pytał:

— Pewnie Feliksowej gorąco? Może przysłać jabłuszek, albo czego innego?

— Niech Bóg błogosławi! Jabłuszek—dobrze, to ja wolniuśko, wolniuśko, a taki zgryzę jeszcze.

On jej poduszkę poprawił, na głowie białe włosy ręką przyglądził i wyszedł, oddychając głęboko, by świeżego powietrza zaczerpnąć.

Chwilę przed nim z tej samej izdebki wyszła Halka. Na jego to życzenie, w kilka dni po przyjeździe do Złotopola, z nim razem odwiedziła starą Feliksową. On ją uprzedził, że staruszka, wiernie służąc, zarobiła sobie na chleb łaskawy. Życie w Złotopolu spędziła; on ją znał i kochał dzieckiem jeszcze, a teraz odwiedza ją, bo to jej największa radość. Więc, chociaż młoda elegancka kobieta, przywykła do świeżego powietrza, czuła się blizką omdlenia w tej atmosferze; chociaż, dopóki miała sobie za obowiązek pogawędzić ze starą służką, fizyczny niesmak nie pozwolił jej ocenić dobroci męża: to przecież, gdy się wydostała za izbę, gdy dążyła krętą aleją między świerkami, dusza jej doznawała dziwnego uczucia.

Zdawało się jej, że błądzi; że znajduje się w obcym jakimś kraju, gdzie co chwila trafia na nową nieznaną drogę; nie była pewną, czy droga ta napędza ją ufnością, jako prowadząca do celu, czy też boi się wyjść na nią. Sprzeczne wrażenia krzyżowały się w jej myśli. Niewygodnie jej z tem było.

Ona była egoistką: przedewszystkiém obawiała się wewnętrznej walki, wysiłków wszelakich, dążyła, bezwiednie nawet, do wszystkiego, co życie wygodnym i spokojnym czyni.

Kiedys, kiedyś było inaczej.

Dzieckiem jeszcze przywiązywała się do ludzi;

najpierw do nianiek, później do bon; namiętném, egzaltowaném uczuciem je darzyła. Ale nianki zmieniały się co kilka miesięcy, bony zmieniały się nieraz co kilka tygodni; idąc za fantazją, za kaprysem, matka jej, dla błahego powodu, oddalała z domu tę lub ową osobę.

Pani Drohińska była bezwzględna i niemiłosierną. Wystarczało dla niej, że płaci słudze, aby po za tą zapłatą nie mieć dla niej wyrozumiałości, ani współczucia. Służące, bony, były to płatne niewolnice, na których pożywieniu pani robiła oszczędności, których pracę wyzyskiwała niemiłosiernie.

Dawniej, gdy Halka dzieckiem była, zdarzało się nieraz, że ze łzami w oczach błagała matkę o łaskę jaką dla swych protegowanych. Prosiła, by jej najmilszej Kasi lub pannie Szarlocie pozwolono pójść do kościoła, by ich nie łajano za to, że ona, Halka, sukienkę podarła lub palec skaleczyła. Koniec tych dziecinnych interwencyi był zawsze ten sam:

— Nie wtrącaj się. Nie cierpię egzaltacyi. Mnie wychowanie twoje dosyć drogo kosztuje. Te darmo-zjady rujnują mnie i t. d. i t. d.

A chociaż pani Drohińska należała do najlepszego towarzystwa, to potok słów obelżywych, jakiemi obrzucała podwładne otoczenie, mógł służyć za dykcjonarz najwymowniejszej handlarce ryb lub jarzyn.

Dziewczę, wrażliwe nad miarę, uciekało strwożone od tych łąjań i wymyślań. Nigdy prośby jej nie wystarczyły, by dłużej przy sobie zatrzymać którą z wychowawczyń. Prośba każda wywoływała burzę, a koniec tych porywów serdecznych u Halki był ten, że najpierw zamknęła w sobie wszelkie uczucia, ukrywając je, jak zbrodnię, później, pod wpływem ironii braterskiej, wstydzicie się poczęła każdej myśli szlachetniejszej, każdego pragnienia, które wychodziło po za zakres codziennych próżności, ambicyjek, wyrachowań i dążeń.

Jedno wspomnienie tylko uratowało ją od najzupełniejszej martwoty serca i umysłu—wspomnienie ojca.

Wiedziała od stryja swego, od znajomych także, że ten ojciec był człowiekiem niestworzonym do praktycznego życia, że majątek zrujnował; ale wiedziała przedewszystkiē, że zrujnował go na cele wzniosłe, filantropijne. Wiedziała, że miał serce wielkie, kochające ziemię swoją i piękno; że każdy początkujący artysta szukał u niego poparcia materyalnego lub moralnego i znajdował je; że lud wiejski miał w nim opiekuna hojnego nad wyraz. Wiedziała, że był to idealista w całym znaczeniu tego słowa, żyjący w marzeniach i illuzyach, oderwany myślą i sercem od życia codziennego, dobry, pobłażliwy, słodki, wad w bliźnich swych nie widział, wybacział wszystko, bo złych intencji nie przypuszczał, to nawet, co jego

delikatną, wyrafinowaną naturę mogło najwięcej razić, uniewinniał zawsze tém samém zdaniem:

— Nie ze złych chęci ludzie grzeszą; nie wiedzą, co robią.

Tak dalece miał zwyczaj tłumaczyć w ten sposób wszelkie przestępstwa, albo wady ludzkie, że żona jego, zniecierpliwiona nieraz do ostatnich granic, przedrzeźniała tę jego formułkę, usprawiedliwiającą wszystko. Ona miała męża za szczyt niedołęztwa.

Halka nie pamiętała scen, jakie matka ojcu robiła; ojciec jej umarł wkrótce po jej przyjściu na świat i znała go tylko z opowiadania obcych ludzi; matka nigdy o nim nie wspominała.

Dla obcych zmarły pan Drohiński był typem wzorowego „gentlemana”. Dla wszystkich uprzejmy, wykształcony, wymowny, inteligentny, piękny, pełen dystynkcyi, wzbudzał wielką sympatyę ogółu. Prawda, że po jego śmierci zapomniano, albo miano ochotę zapomnieć, o pozostałej prawie w nędzy rodzinie; ale tłumaczenie takie było wygodne: „pani Drohińska, nieznośna kobieta, poprostu „baba” plotkarka, złośliwa, ordynarna”.

Tylko bogatym wolno bez skrupułu być złośliwymi, plotkarzami etc.; wtedy wady zmieniają się na zalety: „wesola, dowcipna” i t. d. Więc, gdyby nie stosunki rodzinne, których pani Drohińska chwyciła się jak tonący brzytwy, byłaby niezawodnie utonęła w wielkim świecie.

Halka czcila pamięć ojca, jak świętość. Listy jego, jakie tylko znalazła u matki, krewnych, u brata, znacznie od niej starszego, chowała, jak relikwie; odczytywała je, karmiła nimi umysł i serce. Ojciec dla Halki przedstawiał romantyczny ideał. Został dla niej, nietyle życiowym, ile powieściowym typem. Z jego wspomnieniem nie wiązało się już dziś dla niej żadne żywsze uczucie, pobudzające do naśladownictwa, do czynu—nie.

Rozmarzało ją tylko bez żadnych doniosłych celów. Ojciec został dla niej bohaterem; takiego człowieka byłaby chciała poznać, pokochać; zdawało jej się, że gdyby taki znalazł się na drodze jej życia, to ona byłaby zdolną do wielu wzniosłych rzeczy, że potrafiłaby przywiązać się do niego bezgranicznie, poświęcając mu życie z radością. Ale wyobraźnia jej szukała owego bohatera w ramach bogatych, otoczonego aureolą powodzenia.

To ostatnie było koniecznem. Życie pod wpływem matki i brata wyrobiło w niej upodobania zupełnie różne od tych, z którymi się nosiła w teoryach. Teorie były piękne, ale czyny przejęte egoizmem i wyrachowaniem.

I cóż to pomogło, że naturę wzięła po ojcu, że odziedziczyła po nim wrażliwość i bystrość umysłu? Ta sama, nieledwie czułościowa, wrażliwość była powodem, że Halka ulegała wpływom zewnętrznym, oparcia w sobie nie znajdując. Przykład codziennie-

go wyrachowania zmienił szlachetne jej porywy na egoizm, bo woskiem była w ręku drugich, a matka i brat pracowali, by z niej uczynić okaz na wzór i podobieństwo swoje. I osiągnęli rezultat, który ich nieraz drażnił, niepokoił.

Z żywej i ruchliwej dziewczynki, wylanej, serdecznej, otwartej, zrobili mumię nieledwie, a to tym sposobem, że trwożliwa i delikatna z natury, obawiała się przedewszystkiem nagany, łajania i hałasu.

Nauczyła się więc mówić jak najmniej, bo całemi latami, gdy objawiła zdanie, to tylko na to, by wywołać gniew matki lub szyderstwo brata; nauczyła się panować nad fizygnomią, bo śmiech jej wywoływał krytykę, zdziwienie naiwne, ironię, oburzenie na rzeczy złe i niskie,—pośmiewisko i naigrawanie.

Halkę wytresowano rzeczywiście, jak mądrego pudła. Jej wrażliwość poddawała się wszelkim wskazówkom, a chociaż później matka byłaby rada ożywić ją trochę i w świecie weselszą, rozmowniejszą widzieć, to przecież rezultat tresowania, raz osiągnięty, nie dał się już zmienić.

Wrażliwość pozostała, ale ukryta głęboko, i dlatego teraz młoda kobieta, przysłuchując się słowom męża i patrząc na jego dobroć, dziwnego doznaje uczucia; sympatya budzi się w niej dla niego. Sympatya czysto-umysłowa.

Serce jej niezdolne jest, po tak długim letargu, czuć głębiej. Ale wyobraźnia, goniąca zawsze za

bohaterem w rodzaju ojca, natrafia w rozmowie z mężem i w czynach jego na cechy, przypominające jej, że tak, a nie inaczej, bohater jej mógł i powinien postępować, ale wtedy przypomina sobie bezwzględne, podług niej okrutne, sądy Czesława o Kilańskim—i sympatya zmienia się na obawę. Równocześnie ze wspomnieniem ojca staje w jej oczach wyraźnie, jasno rysująca się inna postać.

Ona postać tę widzi, widzi tak wyraźnie, czy ją przywołuje, czy odpędza od siebie; ona staje przed nią żywa co godzina, co chwila, we śnie i na jawie. To także bohater, ten, który się wiąże z jej wspomnieniami dziecinnymi jeszcze. Spędzając lato na wsi u stryjostwa, on jeden zabawia ją, huśta, wózek dla lalki sporządza i słucha z interesem jej dziecinnych zachwyków i wynurzeń, ani drwi, ani łaje; rozumie ją zawsze.

Ten sam bohater patrzy na nią innemi już oczyma, gdy ona ma lat piętnaście, a on dwadzieścia; gdy ją, jak huragan, długo zaporami wstrzymywany, opadają wezbrane uczucia, żal za czemś, czego zdobyć nie może, czego nie widzi wkoło siebie, a on słucha, współczując, rozumiejąc zawsze.

Temu jednemu ona wszystko mówiła, coraz rzadziej, co prawda, bo coraz mniej miała do powiedzenia. Ten drugi żywy bohater słuchał i mówił sam wiele rzeczy wzniosłych, rozmarzających młode serce; rozumiał jej uniesienie i sam się unosił.

Przyszła chwila obrachunku z rzeczywistością, zmierzenia sił własnych z tą samą rzeczywistością.

Powoli Halka zastanawiała się: czy życie z biednym początkującym doktorem, życie w „innej sferze,” jest dla niej możliwe? Bohater miał wioseczkę zadłużoną, w sąsiedztwie stryjostwa Drohińskich, miał rodzeństwo także, więc postanowił kształcić się na lekarza.

Przyszła chwila, w której Halce nie wystarczała przyszłość, jaką jej bohater mógł zgotować i przestał być bohaterem, bo wyobraźnia jej z egzaltowanej, powoli przerobiła się na praktyczną. Więc minęło lat kilka i Halka, marząc o bohaterze w rodzaju ojca nie znajdowała żadnego; godziła się zupełnie z myślą, że bohaterstwa takie należą do ideałów, nie z życiem wspólnego niemających.

Godziła się z myślą, że wyjdzie za mąż na zimno, bez entuzjazmu; wpojono w nią zasadę, że wszelkie uniesienia są prosto rzeczą śmieszną.

Poznała pana Złoczowskiego, „świąteczną partyę;” nie zawahała się przyjąć go za konkurenta, nie wahała się oddać mu swej ręki, aż do pamiętnego dnia, gdy się dowiedziała, że eks-bohater, młody doktor, odziedziczył po imienniku swoim, dalekim krewnym, wielki majątek.

Wtedy to Halka przejrzała; powiedziała sobie, że serce jej było tylko uśpione, albo przemocą zagłuszone, że tamten jest owym ideałem, który życie jej

potrafiłby opromienić niezwykłym, niecodziennym urokiem. Przeszła z sobą straszną walkę, a ona tak bardzo walki unikała; ale przecież dla długiej przyszłości całego życia warto było coś zaryzykować.

Na owym pamiętnym balu, który wedle jej pojęć, życie jej serca zapieczętował, rozmawiała z tym, który po odziedziczeniu majątku wydał się jej ostatecznie wybranym, dla niej na świat zesłanym człowiekiem. Co mu powiedziała?

W tej chwili, siedząc na darniowej ławce pod lipą, znowu oczy rękoma zasłaniała i chciałyby zagłuszyć głos ten, który jej przerażającą wiadomość przynosi:

— Kazio Sandecki się zabił.

Chciałyby wmówić w siebie, że zabił się, bo życie zwykle mu nie wystarczało, bo ciasno mu było na świecie, bo miał napady melancholii, chorobliwe niemal; ale ten głos wewnętrzny, który, aby uciszyć, wszystko-by się oddało, ten głos powtarzał:

— Zabił się przedewszystkiem dlatego, że w ciebie wierzył, że cię na piedestale postawił, że na ciebie jedną liczył, a ty go zawiodłaś!

Tylko tego pojąć nie mogła do tej pory, dlaczego, jeżeli o nią chodziło, on się nie zabił w innej chwili, gdy ona odebrała mu nadzieję, tak bardzo ugruntowane na jej dawniejszej obietnicy? Czemu nie wtedy?

Sumienie miała zanadto już spaczona i nie zdobyła się na wyraźną odpowiedź.

Dlatego, że wtedy on się ludził jeszcze. Łatwiej mu było pogodzić się z myślą, że go kochać przestała, bo przecież serce nie sługa; ona mogła przestać go kochać, a jednak niemniej na miłość zasługiwać. Ale co pozostało z jego marzeń młodocianych, ze skrzydeł, które jej w wyobraźni przypinał, gdy ona bez wstydu, bez skrępułu, odkryła mu otchłań wyrachowania; gdy przyszła ofiarować mu rękę swoją, tę rękę już niegdyś oddaną, wycofaną później, przyobiecana teraz innemu; gdy przyszła jemu ją zwrócić dlatego, że został dziedzicem wielkiego majątku?

Ona tego nie była zdolną zrozumieć, że jego zabiła, nie ta myśl, iż pokochała innego, ale ta, że ona kochać nie umie, bo jest istotą bezduszną, bez serca, bez sumienia, bez czci i wiary. To go zabiło.

Dla niej było to zagadką. Czy ona zasługiwała na wyrok taki? Przecież serce musiało w niej się odezwać, skoro zapragnęła się upokorzyć i przyjść do niego z prośbą, choć już było zapóźno.

Halka, po raz setny może od chwili, w której sumienie obudzone doradzało jej zerwać z narzeczonym, a ona mimo to ulegała *force majeure* i nie zerwała, po raz setny liczy się teraz z okolicznościami. Liczenia nauczyła się od brata, i on nie przesadzał

wcale, gdy jej mistrzostwa w tym kierunku wioskował.

Rachunek jej wypadł w następujący sposób:

— W przeszłości popełniłam błąd wielki, ale błąd ten losom, a nie sobie, przypisać mogę. Nie przeczuwałam, bo przeczuć nie mogłam, że Kazio odziedziczy majątek po stryju; musiałam odrzucić jego prośbę. Nie było sposobu narażać się na życie nędzne, niemożliwe. Gdy się okoliczności zmieniły, to, co było w mej mocy, zrobiłam, by naprawić ów błąd. Nie udało mi się. Nie moja wina. Sobie nie zarzucić nie mogę. Postępowanie takie, a nie inne, dyktowały mi warunki życia. Kazio się zabił. To okropne! Tego również przewidzieć nie mogłam. Przekonałam się także zapóźno, że go kocham i że go nigdy kochać nie przestałam. Chciałam zerwać. Zrobiłam wszystko, co mogłam w tym kierunku. Nie udało mi się. Mama, Wicek, życie, *force majeure*... trudno!

Więc przeszłości wierna będę; Kazio ma myśli moje, uczucia moje. Duszą do niego należę, duchem z duchami przestawać będę.

A Czesław? Czesław przedstawia dla mnie praktyczną stronę życia; nieuniknione, przez świat podyktowane warunki. Czesław, dziwna rzecz! On ma więcej poetycznych stron w sobie, niż się tego domyślałam. Ma serce, ale może mu się tylko tak

zdaje, bo znowu ta sprawa z Kilańskim czego dowodzi? że jest bezwzględny, że tyran!

Ale to trudno! Klamka zapadła. Żoną jego jestem. Więc wszystkie obowiązki spełniać będę, do woli jego się zastosuję: on mój pan; ducha i serca nie kupił—to moja własność. Zewnętrzne, należące się panu względy i szacunek, te sobie kupił.

Ducha i serca mego nie oddam za pieniądze! o! nie! To moje! Ale co do reszty... *j'en prends mon parti.*

I dziwna rzecz! to młode stworzenie nie zdobyło się na jeden wyrzut sumienia. W swej własnej opinii wyszła bielsza od śniegu z całej tej sprawy. Rachunek dla niej był tak prostym i jasnym, że nie przypuszczała, aby inaczej mógł wypaść.

Dodawala jeszcze :

— Jeżeli będę mogła zdobyć się na sympatyę dla mojego władcy, tém lepiej. To mi życie ułatwi. Uprzedzić się do niego nie chcę. Przeciwnie. Wolałabym go lubić, cenić. Sprawiedliwość oddam mu zawsze. Skuci jesteśmy jednym łańcuchem na życie. Gdybym się upredzała, byłabym nieszczęśliwą, a przecież nie na to sprzedalam się, aby się unieszczęśliwić.

Wezmę rzeczy z najlepszej strony, bo inaczej, jakież byłyby cel mego dobrowolnego oddania się w niewolę? Jestem bogata! Nieszczęśliwą być nie mogę.

Z nauki życia, pod kierunkiem matki i brata, wyniosła doświadczenie stuletniego sceptyka pesymisty. Grunt jej umysłu był bogaty i żyzny; każde ziarno posiane na nim zeszło, tak złe, jak dobre. Siewcami do tej pory byli matka i brat.

Brat! Otóż i on. Tak, to on zbliża się ku niej w towarzystwie jej męża.

Ona wmawia w siebie, że go kocha; ale zadowolenie, które pomimo wiedzy w jej sercu panowało, zostało zakłócone. Gdy obejmowała na własność ten dobrobyt, te włości szerokie, w towarzystwie męża, pełnego zachwytu dla wszystkiego, co jej dotyczyło, było jej dobrze, choć sobie z tego sprawy nie zdawała, filozofując i duszę wyłączając z życia, do którego się gotowała. Dobrze jej było, zdała od zgrzytu ironii, od trywialnych uwag matki, od jej szorstkości i hałaśliwości.

Od kilku dni dopiero zakosztowała tego spokoju w dobrobycie. Brat, ukazując się, wnosił fałszywą nutę do harmonii zewnętrznej, którą była otoczona. Bezwiednie ulegała urokowi męża. Urok polegał głównie na tej czci, na tych bezgranicznych hołdach, które on oddawał jej urodzie, jej sercu, jej umysłowi.

Serce jej nie rozgrzewało się jednak w atmosferze wielkiej miłości męża, ale próżności: próżność kobieca kąpała się i rozkoszowała w tych hołdach, które jej oddawał. Dobrze jej było, choć uczuciem gonila gdzieś, za czemś w przestrzeniach.

Mąż jej i brat zbliżyli się do miejsca, na którym siedziała.

— Jak się masz, Halko? — pytał Wacek, całując siostrę w obie ręce. — Świetnie wyglądasz! Wpadłem niespodzianie, aby rozgrzać serce widokiem zakochanych, szczęśliwych!

I śmiał się tym swoim szyderskim śmiechem, który miał dar wszystkie nerwy siostry zadrażniać. Nie mógł wiedzieć, że pogodziła się tak rozsądnie z losami. Przeciwnie, wiedział to jedno tylko, że uległa silnemu naciskowi z jego strony, wychodząc za Czesława.

Więc Halka czuła dobrze szyderstwo w jego słowach.

— O czymże to pani moja dumiała? Obserwowałam cię zdaleka; taką zamysloną miałaś twarzyczkę? — pytał mąż jej.

Zanim Halka zdążyła odpowiedzieć, brat jej gwizdnął przeciągle i zawołał:

— Werbel tu!

Równocześnie wspaniały dog w kilku susach wyskoczył z po za żywego płotka, za którym spokojnie leżał, czekając rozkazów. Halka wydała okrzyk radości, pies również najżywsze zadowolenie okazywał i lasił się u nóg swej pani, która klęcząc na trawie, głowę faworyta rękoma obejmowała, pytając go o szczegóły z podróży, o wiadomości, dotyczące jego

psiej egzystencyi, na które to pytania pies oczyma zdawał się odpowiadać.

Ta zimna kobieta, wiecznie panująca nad sobą, nad ruchem każdym, nad wyrazem twarzy, teraz, jak dziecko, śmieje się, spoglądając na swego faworyta; dziecinnym, dla ludzi prawie niezrozumiałym, językiem rozmawia z nim, pieści go i ściska łapy jego potężne o wiele serdeczniej, niż dłoń najbliższych znajomych.

Czesław spoglądał na żonę, z najwyższém zadowoleniem.

Wacek tymczasem tłumaczył się z najazdu:

— Sam, choć stęskniony za tobą, nie byłbym śmiały się pokazać, bo to bardzo niedelikatnie duet przerywać, ale miałem znakomity pretekst, Werbel! Wiedziałem, że jeżeli sam będę Piłatem w Credo, to mój towarzysz podróży zostanie przyjęty z otwartemi rękoma.

— W każdej chwili jesteś mile widziany — odparł uprzejmie Czesław — bardzo to pocziwie z twej strony, żeś o nas pomyślał.

Halka przypomniała sobie teraz o obowiązkach pani domu; pytała brata: czy nie głodny, czy nie zmęczony, i poszli wszyscy razem ku domowi.

Zdaleka, na drodze, którą dążyli, spostrzegli wszyscy troje młodego mężczyznę, w zgrabném obcisłym ubraniu sportmańskim; widocznie dopiero zsiadł z konia.

Nagle, gdy się z po za drzew wychylili, i on ich spostrzegł. Przystanął, zawahał się, czy iść dalej, byłby może rad wrócić, ale pewnie zastanowił się, że dziwném mogłoby się to wydać: więc, chociaż twarz jego pobladła, a nabrzmiałe krwią żyły na skroniach drgały kurczowo, przecież szedł dalej, widząc, że nie uniknie spotkania. Droga, którą dążył, krzyżowała się w pośrodku parku; boczna jej część prowadziła do folwarcznych zabudowań. Tędy najprędzej można było dostać się z folwarku do domu administratora.

Od pewnego czasu jednak, ku zdziwieniu służby dworskiej i folwarcznej, „pan rządcą” zwykł był kilka razy na dzień nadkładać drogi i łąkami i krętą długą drogą z folwarku do domu powracać; wyjątkowo tylko i w chwili wielkiego pośpiechu wybierał ścieżkę przez park wiodącą, a wtedy dążył prędkim, nerwowym krokiem, z oczyma w ziemię spuszczo-nemi.

Nie spodziewał się nikogo spotkać o tej upalnej porze dnia. Ale teraz nic mu nie pozostawało, jak iść odważnie naprzód; więc głowę lekko w tył odrzucił, spojrział prosto przed siebie i szedł tak oblany potokami światła, pod którymi jego popielato-blond włosy, tuż przy głowie ostrzyżone, srebrnemi się wydawały. Wąs niewielki, nieco ciemniejszy od włosów, okalał miękko zarysowane, kobiece usta; dół twarzy nosił zniewieściały charakter.

Była to w każdym razie postać uderzająca

dystynkcyą. Raz widzianej trudno już było zapomnieć: więcej wyrazem, niż rysami, zapisywała się w pamięci. Nos cienko zarysowany, z drżącemi, nerwowemi, jak u rasowego konia, nozdrzami. Czoło już przedzielone podłużnemi bruzdami, wysokie, myślące; oczy zapożyczające koloru od wewnętrznego stanu duszy, to jasne, to ciemne — czasem zamglone, i bez wyrazu, czasem sypiące iskrami, czasem rozmarzone, śmiejące się, to znowu wyrażające zapałłość, bunt i rozpacz.

Opalony bardzo, tylko czoło białe było, a skronie, jak u delikatnej nerwowej kobiety, porysowane niebieskiemi żyłami, które policzyć było można, tak w nich krew życiem tętniła: żyły te drgały niespokojnie za każdym żywszem uczuciem.

W tej chwili, choć stara się ukryć pomieszenie, niezupełnie mu się to udaje; twarz jego mieni się od wzruszenia, gdy stoi obok pana Złoczowskiego, zatrzymany przez Halkę, której nie wystarczył jego zimny ukłon.

Nie pozwoliła mu przejść spokojnie. Była kobietą czułościową, ale nie posiadała delikatnych, wyższych uczuć. Niezgrabnie naśladowała przykład ojca; starała się nie mieć przesądów, wszystko wybaczać, i dlatego roztoczyła protekcyę nad młodym administratorem, była dla niego nad wyraz uprzejmą; pozbyła się nawet swego zwykłego chłodu, ożywiła się, rozmawiała. Chciała mu w ten sposób wynagro-

dzie krzywdę przez męża, podług niej, wyrządzoną.

Kilański, jako urzędnik jej męża, nie był dla niej człowiekiem, nie był mężczyzną, — był meblem. Dla niej nie istniał Kilański, ani jego sprzeniewierzenie się; dla niej istniała idea: „wrozumiałość,” która chciała zwalczyć drugą ideę: „bezwzględną surowość sądu.”

Halka bowiem czuje pewien rodzaj wyższości, opiekując się Kilańskim, zadowolona jest z siebie, że tak bezinteresownie zamienia teorię wybaczenia w praktykę. Dla niej istnieje, nie człowiek, nie Kilański, tylko wyjątkowa okoliczność. Ale on o tém wiedzieć nie mógł. Więc gdy po raz pierwszy Halka wyciągnęła rękę do niego i po przyjacielsku ją uściśnęła, gdy unikała alluzji do przeszłości, rozmawiając z nim o rzeczach pobieżnych, uprzejmie i życzliwie, jak z dobrym znajomym, uczuł wielką wdzięczność dla niej. Od pamiętnej chwili, kiedy zbuntowany, zdeptany, wyszedł z kancelaryi pryncypała, pierwszy raz pomyślał o nim bez goryczy, przeciwnie, z życzliwszém uczuciem. Bo wynik uprzejmego powitania przez młodą kobietę był dla niego jasnym.

— Widocznie nie wie o niczém; widocznie Złoczowski nic jej nie powiedział; to pocziwie z jego strony.

To nie przeszkadza, że radby unikać spotykania młodych państwa. On jej nie zna jeszcze, tej obcej

kobiety; może ona fantazyjami się rządzi? A może Złoczowski, dzieląc się z nią każdą myślą, wyjawia jej w końcu „zbrodnię” urzędnika. Może to już zrobił, choćby dlatego, by ją ostrzedz; że jej uprzejmość jest niepotrzebna, nie na miejscu, że ze „złodziejem” nie potrzebuje sobie trudu zadawać.

Tej myśli znieść nie może, traci przytomność umysłu na samo przypuszczenie, że Halka mogłaby się dowiedzieć. I dlatego teraz, gdy drugi raz w życiu ma z nią stanąć oko w oko, truchleje. Zmieszany jest do tego stopnia, że nie widzi świata dookoła, nie słyszy tego, co Halka mówi.

Po chwili jednak orientować się zaczyna, już rozumie jej słowa, głos jej dźwięczy słodko, kończy widocznie zdanie, którego początku on nie słyszał:

— I żony pana nie miałam jeszcze przyjemności poznać. Nigdy jej w parku nie spotkałam, a przecież to najbliższa dla niej przechadzka. Niech pan jej powie, że... że ..

Tu zawahała się z wdziękiem; nie miała jeszcze tej pewności siebie, której mężatki w świecie nabierają.

— Że... — kończyła teraz — mnie będzie bardzo miło, jeżeli zechce z ogrodu korzystać.

Kilański składa ukłon nieco sztywny, twarz ma poważną; na słowa dziękczynne się zdobył i śpiesznie podążył ku domowi.

Wacław Drohiński w czasie tej rozmowy spoglą-

dał na siostrę z tak widoczném zdziwieniem, że ona, rzuciwszy machinalnie okiem na niego, miała ochotę roześmiać się.

— To przechodzi zakres twoich pojęć, mój bracie — pomyślała i czuła się zadowoloną z siebie.

Rzeczywiście, to przechodziło zakres jego pojęć, i gdy tylko Kilański oddalił się o kilka kroków, on zwrócił się do siostry z zapytaniem:

— Czy to arcyksiążę Maksymilian?

— Nie, to pan Kilański — odparła najspokojniej, w czasie, kiedy mąż jej wzruszył lekko ramionami na ten pseudo-koncept młodego człowieka.

— *Ma foi, madame ma soeur! vous donnez dans la démocratie!* Cóż to za pan Kilański?

Tutaj Czesław, mocno podrażniony drwiącym tonem szwagra, tonem, którego nienawdził, ujął się żywo za żonę, mówiąc:

— Wdzięczny jestem Halce, że tak jest uprzejmą dla moich ofycjalistów. Oddaje mi największą przysługę, bo nie tak ludzi nie ujmuje, jak grzeszność.

Wacław spostrzegł, że ton jego drażni szwagra, a przypominając sobie, że łaski jego musi pozyskać, zawołał z pozornie głębokim przekonaniem:

— Ależ to rzecz prosta i konieczna nawet! Uprzedzeń nie mam. Tylko Halki nie znałem pod tym względem i zdziwiłem się. Zresztą, wszystko zależy od gatunku człowieka. Ten Kilański ma minę

gentlemana. Sto tysięcy reńskich majątku, albo na tyleż blagi, a nie groziłoby mu „zblackbulowanie” nawet w Jockey-klubie w Paryżu.

— Tak, to jest bardzo dobrze wychowany człowiek — odparł spokojnie Złoczowski.

— Zimny, flegmatyk, angielskie *cachet* — kończył Wacek, chcąc zawsze szwagrowi dogodzić.

— Ani jedno, ani drugie, najwyżej trzecie — odparł obojętnie Złoczowski, szukając innego przedmiotu do rozmowy, bo ten nie był miłym dla niego.

— Czy znasz jego rodzinę? — pytał w dalszym ciągu Wacław, zainteresowany przedmiotem rozmowy, bo przeczuł coś nakształt tajemnicy; oni widocznie nie radzi mówili o tym Kilańskim, więc coś kryć się w tém musi.

Czesław zawahał się, zanim na to pytanie odpowiedział.

— Nie znam — odparł po chwili namysłu, ale, trzymając się ściśle prawdy, poprawił się natychmiast: — A raczej nie wiem, kto jest ojcem jego.

Wacław uśmiechnął się złośliwie:

— To znaczy — rzekł — że i syn także nie o ojcu nie wie.

— Zdaje się. Naturalnie, nigdy o tém mowy niema.

— Matkę znasz? — pytał dalej Wacław — bo on pewno nazwisko odziedziczył po matce.

— Tak, po matce. Matkę znałem, umarła! Nie

mówmy lepiej o niej; nieciekawa kobieta widocznie, skoro...

— *Oh! ce n'est pas une raison!* — odparł wesoło Wacek, śmiejąc się na całe gardło. — Ty, Katonie, kazałbyś na stosie palić ten rodzaj kobiet, co? Cze-siu, powiedz szczerze.

Złoczowski brwi zmarszczył.

— Nie wiem, czybym kazał palić, ale wiem, że nie lubiłbym żartować z poważnych i smutnych rzeczy.

Wacław połknął pigułkę, w żart ją obracając:

— Masz słuszność — bąknął — nieciekawy przedmiot.

Nazajutrz brat z siostrą rozmawiali sam na sam bardzo poważnie.

Halka słuchała; on jej wykladał plan kampanii ku zdobyciu bogatej dziedziczki, siostrzenicy Złoczowskiego, panny Anieli, *vulgo* Luny Wasiliczówny.

— Muszę kuć żelazo, póki gorące — kończył Wacek. — A teraz gorące, o tém wiem. Pora twoich miodowych miesięcy najstosowniejszą dla mnie. Później miłość małżonka wystygła, wpływy żony się zmniejszają, a tém samém moje papiery płacą wy-sokie ażio; nie mogą tego dopuścić.

— Już ci mówiłam, że Czesław nie ma nic przeciwko temu.

— To nie wystarczy. On mnie musi poprzeć.

— W jaki sposób mianowicie?

— Przemówić za mną. Pani Wasiliczowa dała mi do zrozumienia, że wszystko od jej brata zależy, a więc i od ciebie.

— Przeceniasz moje wpływy. Zrobiłam, co mogłam. Ręczyłam nawet, że ci nie chodzi o ich ormiańskie bogactwa, ale o samą pannę.

— Cóż robić, moja droga? Odwrotna strona medalu wszędzie się znajdzie. Panna ma duży nos— trudno! Oswoję się z tém. Gdyby nie była Ormianką, nie poszłaby za mnie, więc...

Przepraszam cię, ona ciebie kocha. Tak, jak jej matka wyszła za mąż z miłości, za swego pięknego Ormianina, mimo woli całej rodziny, tak samo Luna gotowa dla ciebie na wszelkie szaleństwa; więc o jedno tylko cię proszę: pamiętaj, że weźmiesz kobietę z sercem, a nie worek złota. Gdybyś ją unieszczęśliwił, byłoby to okrucieństwem z twój strony.

— Cudowne kazanie! Na płacz mi się zbiera. Ale bądź spokojna: moja Ormianka stworzona na niewolnicę; niewolę uczynię jej słodką i będzie nam dobrze na świecie.

W chwilę później Wacław rozmawiał ze szwagrem; treścią rozmowy była jego gwałtowna miłość dla Luni Wasiliczówny.

Złoczowski słuchał uważnie, wreszcie odparł:

— Nie ja rządę jej losem: jest pełnoletnia, więc daremnie stawiałbym opór, gdyby taką była jej wola. Wierzę, że ją kochasz; wiem, że jesteś czło-

wiekem honorowym, nie przypuszczam, abyś kłamał. Liczę na ciebie, że ją uszczęśliwisz. Ona jest niezmiernie wrażliwa, trochę gwałtowna na kobietę. Obca krew w niej płynie: z taką naturą potrzeba wiele delikatności uczuć, lekkiej ręki, oględnej. Znam ją od dziecka i wiem, co mówię. Jeżeli masz trochę despotyzmu w charakterze, to daj lepiej pokój, bo ją i siebie unieszczęśliwisz.

Wacek uśmiechnął się nieznacznie.

— *Je l'ai déjà matée* — pomyślał — dla mnie będzie najpokorniejszą niewolnicą.

Głośno odparł:

— Dziękuję za dobre rady, Czesiu. Kocham twoją siostrzenicę, więc serce dyktować mi będzie najstosowniejszy sposób postępowania.

— A teraz, co do kwestyi majątkowej — mówił dalej Złoczowski — tam majątek duży, ale interesa zawikłane. Wasilicz, umierając, zostawił tyle spraw zagmatwanych, że ja, przy najlepszych chęciach, nie mogłem jeszcze wszystkiemu dać rady. Tam potrzeba głowy do interesów, przytomności umysłu. Zdaje mi się, że Wasilicz zanadto ryzykował; jemu się udawało, ale, mojem zdaniem, trzeba by wycofać kapitały z wszelkich zanadto ryzykownych przedsięwzięć. Od dwóch lat, odkąd jestem opiekunem, nie mogłem jeszcze zapobiedz niejednemu; zacząłem od rzeczy najważniejszych. Są ciężary, są spłaty, jednym słowem: nie używanie, ale praca czeka tego,

kto weźmie na siebie schedę po moim szwagrze.
Więc...

— Rozumiem, rozumiem! — przerwał Wacek, ściskając mocno rękę Złoczowskiego — co do tego, bądź spokojny. Dobro siostrzenicy twojej będę miał przedewszystkiēm na względie, jeżeli ona zaufać mi zechce.

VI.

— Dwa lata! Dopiero dwa lata! — myślała Halka Złoczowska, wracając samotnie ze spaceru w rocznicę ślubu.

A ciężki, ciężki smutek, czy też może ciężka ołowiana nuda tłoczyła jej serce. Dwa lata, w czasie których automatycznie spełniała obowiązki, gospodarowała, bo mąż sobie tego życzył, zajmowała się ogrodem, bo on tego pragnął, odwiedzała nieciekawych sąsiadów, bo on tak chciał, robiła robótki, czytała.

I teraz rachuje się z tém, co jej dało nowe życie? Rozczarowanie! wielkie, głębokie rozczarowanie!

Pomimo wiedzy, pełno złudzeń chowało się na dnie jej serca, gdy rozpoczynała tę nową egzystencję. Zdawało jej się, że rola automata, spełniającego cudzą wolę, wystarczy jej. Została automatem, więc wszystko poszło wedle programu.

Czemuż to rozczarowanie?

Teraz dopiero pojmuje, że pomimo z góry powziętej rezygnacji, spodziewała się w gruncie ducha czego innego. Bogatą panią być miała. Bogactwo powinno jej było inaczej życie zapełnić. Jest właścicielką pięknego, rozkosznie urządzonego domu, ale z t \acute{e} m tak p \acute{r} ędko się oswoiła, również p \acute{r} ędko i z t \acute{e} m, że nie ma kłopotu o nową suknię, buciki, r \acute{e} kawiczki, kapelusze. To wszystko ujęło wprawdzie troski, ale nie zapełniło życia.

Zajęcie automatyczne nie zapełniło go również.

Mąż ją ubóstwia; mimo to on jest tym panem wszechwładnym, który mówi: „idź” — ona idzie; „zostań” — ona zostaje. Prawda, że błaga ją nieraz, aby mu wolę swoją, upodobania swoje objawiła, ale c \acute{o} ż mu powie?

Jej wola, jej upodobania! Kiedy sama dziś nie wie, czego pragnąć? Pragnęła spokoju, dobrobytu; osiągnęła cel ten i pozostała pustka. Bezbrzeżna pustka!

Gdybyż można umarłych wskrzesić! Ale i to, na coby się przydało? Przepaść dzieliłaby ją od ukochanego, za którym tęskni codzien więcej, którego kocha codziennie większą miłością.

Ogarnia ją niezmierna tęsknota, wielkie zniechęcenie. Nawet próżność jej już się nasyciła tryumfami. Już wszyscy dawni znajomi odwiedzili ją w jej now \acute{e} m kr \acute{o} lestwie, już oddali jej hołd podchlebstwami, podziwem tych pięknych rzeczy, tych

ram artystycznych, któremi ją mąż otoczył. Zdziwiona była, że tak prędko można się z tém oswoić.

Co robić? co robić?

Idzie naprzód, przytłoczona takim ciężarem, że wąta jej postać aż się pod nim ugina. Zdaje jej się, że wpada w jakąś otchłań bezdenną i że toczyć się tak będzie w próżnię bez końca. Gdy spojrzysz w przeszłość, dwa ostatnie lata wydają się jej pustkowiem.

— Tak być nie może, nie może, nie może! — woła, buntując się.

Myśl jej nie sięga modlitwą do nieba, bo myśli tej dawno skrzydła związane, siłę lotności straciły. Tylko na sztucznej egzaltacyi zdoła bujać w przestrzni.

Brak jej oparcia; nic na świecie zajęcia w niej nie wzbudza.

Przechodzi w pamięci te długie, samotne godziny—samotne, bo praca nie jest dla niej towarzyszką, a mąż?...

Taki pochłonięty tém wszystkiém, co jej nie wydaje się wartém uwagi. Tu na sądzie polubownym, tam zajmuje się sprawami małoletnich, owdzie szlachta radzi nad przyszłemi wyborami: jego zdanie potrzebne, trzeba jechać.

Gdy w domu, to od rana konno folwarki objeżdża: tu rybacy mają do niego interes, tam żyd kulawego konia targuje, to znowu w gorzelnii się coś

zepsuło. to zarząd leśny sprawę zdaje ze swęj działalności. Potęm korespondencya. Tyle interesów! Jeden Kilański wystarcza, by mu zaprzętnąć kilka godzin dziennie. Coraz częścięj razem ich widać. Ale tego Halka za złę mężowi nie bierze. Przeciwnie, to jedyna dodatnia strona lat ostatnich.

To jej dzieło. Ona tych dwóch ludzi zbliżyła. Chociaż to jedno zadowolenie wewnętrzne odniosła.

Po za tēm, choćby chciała w mężu szukać obrony przeciw pustce, która ją zjada, to gdzież jest spōsōb na to?

Kilkanaście razy na dzień zajrzy do niej, ręce jej ucałuje, zapyta ją o zdanie; ale ona czuje, że tym sposobem chce tylko dowieść, iż jej ufa, bo sam najlepiej wie, co robić. Popatrzy w jej oczy, porozmawia chwilę i znów pędzi do spraw rozlicznych, jak mrówka; chciałby dzień każdy przedłużyć, dołożyć drugie tyle godzin, a dla niej godzina taka długa, taka długa!

Spogląda dokoła siebie.

Tam zdała wiązą ostatnie snopy jęczmienia: mężczyźni, dziewczyny, wszyscy razem. Wesole śpiewy, nawoływania, śmiech głośny, wiatr jej na skrzydłach przynosi. Poczyna żalować. Czemu? Czemu nie urodziła się prostą wiejską kobietą? I porównywa życie swoje z życiem tych istot, zbliżonych do natury, których umysł na bezdroża nie prowadzi. Oni znają cierpienia tylko chwilowe.

Matka przyjeżdżała kilka razy, ale na dni parę tylko. Zięć wyznaczył jej pensję dożywotnią, tak dostatnią, że pani Drohińska może wieść żywot niezależny i odpowiedni jej światowym upodobaniom. W Złotopolu nudzi się i córkę buntuje na jednostajność jej życia.

Halka towarzystwa matki pragnąć nie może, bo matka krytykuje, zrzędzi, ziewa, narzeka, szydzi z córki, że nie umie wyzyskać położenia. Dla niej wyzyskać położenie, znaczyłoby dawać bale, przyjmować pół roku w domu, drugie pół spędzać zagranicą; inaczej—na co się zdało być bogatą?

Halka, za każdą bytnością matki, z odrętwienia i głuchej rezygnacyi wpada w niepokój; buntuje się nawet. Pyta siebie: czy matka nie ma słuszności? Ale czuje, że taki rodzaj życia męż jej potępiłby nieodwołalnie, że żadne wpływy na świecie nie skłoniłyby go do prowadzenia światowej egzystencyi.

Dwa lata spędzone obok męża, tak krańcowo różniącego się pojęciami od matki i jej brata, wystarczyły, by ją wyrwać z ciasnego koła, w które ją wpływy rodzinne ujmować zaczynały; ale nie były dostateczne, by w niej obudzić ducha i podnieść go. Dlatego było jej dziś gorzej na świecie, niż dawniej, w czasach panieńskich. Bo wtedy ulegała wpływom, które ją pociągały o tyle, że sprawa zamążpójścia, bogactwa, stawała się dla niej sprawą wielkiej wagi.

Miała cel jakiś, wiedziała, do czego dąży i zdawało się jej, że zawsze wiedzieć będzie.

Teraz grunt z pod nóg jej się usunął.

Przybita, zniechęcona, wraca do pustego domu. Nawet dziś, w rocznicę ślubu, męża niema.

Oburzać się na niego nie może. Sama radziła mu jechać. Ksiądz starszek, dawny przyjaciel rodziny Złoczowskich, chory niebezpiecznie, przysłał po niego. Byłaby może pojechała z mężem, ale starzec pewnie zechce z nim mówić o rzeczach osobistych, poufnych: może zechce rady zasięgnąć co do testamentu?

Rady? Wszyscy po radę do niego, do Czesława się udają; on dla wszystkich ją znajduje; czemuż dla niej znaleźć jej nie potrafił! Oh, ona dobrze czuje, że nie znalazłby jej.

Fizycznie i moralnie zmęczona, dąży zwolna ku domowi.

Zdaleka serdeczny śmiech kobiecy, jak gama srebrzysta, zadzwonił w powietrzu; Halka podeszła kilka kroków dalej: teraz słyszy wyraźnie głos mężki, nucający pełną piersią:

„Spij dziecino już, śliczne oczka zmrzuj”.

W miarę zbliżania się ku ogródkowi, koło którego musiała przechodzić, Halka dojrzeć już może małeńkie dzieciątko, trzepocące rączkami. W szeroko otwartych oczach jego lży świecą w tej chwili, uste-

czka składają się do płaczu, tworząc ucieszną podkówkę.

Śliczna brunetka, siedząc na ławce w ogrodzie, trzyma dziecko na ręku; głowę nieco w górę podniosła, oczyma zwrócona do młodego mężczyzny, który stoi pochylony nad żoną i dzieckiem.

Kobieta-matka widocznie mówi z uśmiechem na ustach, ale z żalem w głosie:

— Szkaradny jesteś, Kociu; ty wiesz, że ona zawsze ma ochotę płakać, ile razy tę piosneczkę śpiewasz. Jej się zdaje, że to sygnał do spania.

Młody człowiek roześmiał się serdecznie, patrząc na strwożoną minkę dziecka; wyciągnął do córeczki obie ręce i, schwyciwszy ją silnie, począł huścić, wołając: „Hop! hop! hop!” Unosił ją wysoko nad głową i spuszczał raptownie. Matka oczy zakrywała ze strachu, patrząc na te popisy, a dziecko śmiało się rozkosznym śmiechem, który dla rodziców był zaraźliwy; wszystkie twarze promieniały radością.

Ogromny dog, leżący obok młodej kobiety w klasycznej postawie, z wyciągniętymi łapami, teraz podniósł głowę do góry i śledził ruchy pana z widoczną ciekawością; w oczach jego także niepokój migotał, ile razy ojciec spuszczał dziecko raptownie ku ziemi. Oprócz doga, i mały, śmieszny pinczer niezmiernie był zajęty tą sceną; ile razy pan jego w górę ręce podniósł, tyle razy pies podskakiwał

wysoko i szczekał zapamiętałe, co miało widocznie psi śmiech oznaczać.

Słońce, tak jak dwa lata temu, staczało się za oddalone pasemko gór; tylko dziś, nie luną pożaru świat obrzucało, ale jasnemi różowo-złocistemi promieniami. Tworzyło aureolę nad tym obrazkiem, który Halka z po za kępy wyniosłych krzewów podziwiała, zazdroszcząc w duchu. Pojęła nareszcie, że byłoby dla niej zbawienie na świecie, że mógłby się znaleźć łańcuch, któryby ją silnie do życia przywiązał.

Nie pierwszy raz widzi dziecko Kilańskich, ale dotychczas oglądała je w innych, prozaiczniejszych warunkach. Najpierw dziecina chora była i płakała ciągle, potem dostawała ząbków, ślinała się, trudno ją było w czystości utrzymać; te trzy lub cztery wizyty, które Halka oddała pani Kilańskiej od chwili, gdy dziecko na świat przyszło, nie uwypukliły w tak estetyczny i dodatni sposób szczęścia macierzyńskiego.

Halka, więcej imaginacją, niż sercem, rządzona, poddaje się urokowi tego swojskiego obrazka i całą duszą rwać się poczyna do takiego szczęścia. W tej chwili radaby się przyłączyła do młodego małżeństwa, radaby razem z nimi huštała i pieściła dziecko, ale nie śmie. Coś nakształt wyrzutu sumienia w niej się odzywa, bardzo niewyraźnie.

Z początku, gdy ją zagrzewała myśl protegowana-

nia Kilańskiego, uprzejmą była, przyjacielską nawet dla jego żony. Kilański również przestał dla niej być osobnikiem przedstawiającym różnicę zasad między nią a mężem; zainteresował ją osobiście jako człowiek dystygowany, wychowaniem umysłowem i manierami mogący za wzór służyć.

Ztąd przez pierwszych kilka miesięcy pobytu Halki w Złotopolu zawiązały się zażyłe stosunki między dworem i dworkiem. Ale nadeszła kolej na rewizyty. Zdarzyło się, że na trzydniowy pobyt zjechali hrabiostwo Drohińscy z synem i córką. Halka, oddana gościom, nie pomyślała o miłych znajomych z dworku. Oni do niej nie mieli najmniejszej o to pretensyi; ale gdy w czasie dłuższej przechadzki po ogrodzie Halka spotkała młodą sąsiadkę o kilka kroków i zamiast, jak zwykle, zbliżyć się do niej i wyciągnąć rękę serdecznie, ukłoniła się tylko dość zimno zdaleka, wtedy spostrzeżenia i uczucie pani Kilańskiej nie wyszły pewnie na jej korzyść.

W jakiś czas później pani Wasiliczowa z córką odwiedziły Złotopole; równocześnie nadjechał Wacek Drohiński, już jako narzeczony Luny.

I wtedy Halka spoglądała na panią Kilańską, jak na obcą, starannie unikając zbliżenia się do niej. Dla siebie miała takie wygodne tłumaczenie: nie narażać młodej kobiety na niegrzeczność, może na impertyncję gości, mających uprzedzenia i przesady. Nie przyszło jej na myśl, że, postępując tak, a nie

inaczej, daje dowód najniższego, choć najczęściej spotykanego, rodzaju próżności.

Teraz, gdy stoi blisko dworku i serce jej się rwie do tego życia rodzinnego, wyrzuty sumienia w niej się budzą. Czuje aż nadto dobrze, że ludzie ci dość wysoko stoją, by nie dbać o jej względy, jako pani Złoczowskiej, że nie zrobi im honoru, jeżeli raczy wstąpić w ich progi; może być tylko mile lub niemile widzianym gościem. Nie ludzi się, na wzór wielu znajomych, że dość jest spojrzeć łaskawie na robaczków-urzędników, by ich serca radością i dumą napęlić. Wie dobrze, że to wszystko należy do dalekiej przeszłości.

Patrzy i na duńczyka Werbla, który przeniósł swoje psie afekta w stronę dworku; widocznie lepiej mu tutaj i weselej. Psują go, pieszczą, bawią się z nim. Zrobił się nieodstępnym towarzyszem Kilańskiego, z przyzwoleniem prawej właścicielki. Ona od dawnego już czasu tak zobejętniała na wszystko, że nawet faworyt Werbel czuł zaniedbanie.

Tutaj mu wesoło; tu życie tętni, a ona próżnią, pustką, cieniami śmierci otoczona. Westchnęła cicho i nie mogąc zdobyć się na odwagę, by wejść do ogródka, miała zamiar dalej w górę ku domowi podążyć.

Ale gdy się z po za krzewów wysunęła, Werbel ją spostrzegł, zerwał się, by panią powitać; to zwróciło uwagę obecnych na młodą kobietę; Kilański

śpiesznie oddał dziecko żonie i szybkim krokiem podążył za panią Złoczowską. Jej twarz rozjaśniła się nieco, gdy zauważyła pośpiech, pełen życzliwości, włączeniu się z nią. Więc w domu tym dbano o nią jeszcze; nie jest niemiłe widziana.

Przystanęła, rękę serdecznym ruchem wyciągnęła do Kilańskiego. Jego twarz wyjątkowo była ożywiona, oczy rozweselone świeciły ciemnym szafiirem między długą, gęstą rzęsą. Spojrzenie jego mówiło, że rad jest widzieć ją.

— Niedyskretnie zachowywałam się w tej chwili — przemówiła Halka — szpiegowałam państwa z uczuciem zazdrości.

— Zazdrości? A to dlaczego?

— Tak u państwa wesoło! Córeczka tak urosła; tak wypiękniała!

— Doprawdy? — uśmiechnął się ojciec, dumny z tej pochwały, pokazując w uśmiechu dwa rzędy drobnych, jak u kobiety, białych, zdrowych zębów. — Jeżeli pani łaskawa, to prosimy bardzo do siebie. Wiem, że pana Złoczowskiego nie ma w domu, w każdym razie będzie pani trochę weselej. Małańka rzeczywiście milutka; śmieszne stworzonko. Snem jej zagrozić, to taką wywołuje rozpacz; chciałyby używać życia, wyzyskać je zawczasu.

— Może to i rozumnie z jej strony; zawczasu pewnie lepiej; potem rozmaicie bywa!

Kilański spojrział na nią przelotnie, ale z głęboką

uwagą; z twarzy jej nie jednak wyczytać nie mógł.

Chętnie przyjęła zaproszenie, a on, wyprzedzając ją, otwierał dla niej furtkę ogrodu; ale równocześnie żona jego, mocno zarumieniona, zawołała zdaleka:

— O! przepraszam, tylko Karolinę odniosę niańce; wrócę w tej chwili!

Halka zawahała się, zmieszana tém przyjęciem.

— Dlaczego pani Kilańska chce ukryć córeczkę przedemną? Pewnie przeszkadzam? Widzi pan: przeszkadzam widocznie. Tak państwu dobrze było bezemnie!

Na skroniach jego żyły krwią nabiegły i drgać poczęły; nozdrza poruszały się nerwowo. W oczach gniew zamigotał, ale przelotnie tylko. Prędko zapomniał nad sobą i rzekł:

— Proszę tego nie przypuszczać. W każdej chwili jesteś pani pożądanym gościem. Wandzia zaraz powróci. A może pani woli wejść do saloniku, odpocząć trochę? Tam wygodniej siedzieć.

— Jeżeli to wszystko jedno, wolałabym tutaj zostać. Tak cudnie na dworze.

W tej samej chwili wróciła pani Kilańska i witała Halkę, ale nie ze zwykłą serdecznością w objęciu; znać było na niej przymus.

— Zabrała pani córeczkę — mówiła Halka z żalem w głosie — a ja tak się cieszyłam, że ją zobaczę.

Kilański zerwał się z ławki, na której wszyscy siedzieli, i miał zamiar pobiegnąć po dziecko, by

spełnić życzenia miłego gościa, ale żona oparła się temu.

— Daj pokój, Kociu, już dla niej zapóźno; po zachodzie słońca mogłaby się zaziębić.

— Czy pani pozwoli mi pójść pobawić się z nią w jej pokoju? — pytała Halka.

— Jeżeli pani doprawdy na tém zależy, ale... ale... Tu się młoda kobieta zacięła.

— Cóż się stało? — pytała ze smutnym, zmęczonym uśmiechem Halka — czy może boisz się pani „jettatury?” — czy może ja nieszczęście przynoszę?

Pani Kilańska roześmiała się wesoło, pozbywając się swej sztywności.

— Cóż znowu? — zawołała. — Jeżeli mam być szczerą, to obawiałam się, że pani dzieci nie lubisz i że przez uprzejmość tylko dowiadujesz się o Karolkę. Nie chciałam narzucać jej towarzystwa; ono dla rodziców tylko może być zajmującym.

— Więc teraz pokaże mi ją pani, skoro doprawdy zależy mi na tém?

Ale pani Kilańska nie dała się nakłonić do próby Halki.

— Doprawdy, późno już; ona się rozbiera; w tej chwili nianka spać ją położy.

Halka nie upierała się dłużej, a Kilański, choć można było wyczytać niezadowolenie na jego twarzy, nie podnosił więcej tej kwestyi i zwrócił rozmowę na rzeczy potoczne. Ale rozmowa rwała się. Halka,

zniechęcona, myślała, że nigdzie szczęścia z sobą nie wnosi, że nie jest potrzebną nikomu na świecie, i popadła w tę pozorną apatyę, która się ciszą i zmęczonym wyrazem twarzy objawiała.

Ludzie, widząc ją taką, zwykli byli mawiać:

— Flegmatyczka, ryba, ślimak! Ta kobieta nie ma nerwów, nie odczuwa żadnych wrażeń; umysł, dusza, serce — wszystko w niej zasypia!

Ona domyślała się tych sądów; określenie „flegmatyczka,” do niej skierowane, obijało się o jej uszy. Do określenia „flegmatyczka” pani Kilańska dodawała teraz, w zastosowaniu do pani Złoczowskiej, tytuł „fantastyczki, kobiety kapryśnicy, na którą liczyć nie można.”

Gdy Halka opuszczała dworek, Kilański chwycił za kapelusz, by jej towarzyszyć.

Szła pod górę z widocznym wysiłkiem. Zmęczoną się czuła. On jej ramię podał, prosząc, by się oparła; zrobił to tak naturalnie, tak dalece nie przypuszczał, że pomoc jego odrzuconą być może, jak gdyby pojęciem o tej kobiecie najzupełniej od pojęć żony się różnił.

Rzeczywiście Halka przyjęła oparcie. W tej chwili daleką była od wszelkich światowych przesądów; w Kilańskim przeczuwała życzliwą sobie duszę; na chwilę na myśl jej nie przyszło, że człowiek ten nie jest jej równym.

— Pani widocznie bardzo zmęczona — rzekł teraz — zawiele pani chodzi.

— Może zamało — odparła — leniwa jestem z natury, wszelki wysiłek mnie męczy.

Z przyjaznym współczuciem obejmował wzrokiem wątłą postać kobiecą: tę twarz bladą, o wiecznie pytających, dziś zmęczonych oczach i rzekł:

— Nie trzeba robić wysiłków. Co pani po tém?

Zdziwiona spojrzała na niego. Od dwóch lat słyszy z ust męża i czyta z życia jego, że bez wysiłku nic się nie zdobywa; że tylko wysiłki prowadzą człowieka do celu. Zapytała ciekawie:

— Gdybym poszła za radą pana, jakież byłby wynik?

— Z góry oznaczony. Ten sam, którego pani przy największych staraniach nie uniknie.

— Jesteś pan fatalistą?

— Jestem. Wierzę w przeznaczenie. Zdaje mi się, że tylko taka wiara może człowiekowi życie znośnym uczynić.

— Jest to pojęcie niebezpieczne bardzo.

— To zależy... Rozum prędko nas powinien naprowadzić na jasny pogląd w tym kierunku.

— Jakim sposobem?

— Potrzeba tylko zdać sobie sprawę ze swojej natury fizycznej i moralnej; zestawić warunki, w jakich nas życie postawiło: a wtedy osądzić, czy przeznaczeniem naszym jest walczyć, czy się dać unieść

prądowni; czy okolicznościom czoło stawić, czy też dać im sobą powodować? Są ludzie, którzy życie całe szamotali się z warunkami swego losu i nic nie zdobyli; znękani, zwyciężeni, tracą odwagę, gorzknieją, mają pretensyę do Boga i do ludzi. Sami sobie winni, bo wyczerpywali swoje zasoby na marne. Są inni, którzy nie mieliby kawałka chleba, gdyby go sobie nie wywalczyli; tylko czynem, pracą, wytrwałością, dochodzą do czegoś i okoliczności zwyciężają. Ci przeznaczeni na walkę, tamci na zachowanie się bierne. Cała rzecz w tém, by sobie zdać sprawę, do którego rzędu istot się należy, i wedle tego postępować.

— Więc mnie radzisz pan zachować się bierne? — pytała Halka z uśmiechem.

— Najzupełniej. Wystarczy spojrzeć na panią, by wiedzieć, żeś pani do walki nie stworzona.

— A do której kategorii pan siebie zaliczasz?

— Do tych, którzy wszystko wywalczyć muszą, którym przeznaczone jest iść wbrew upodobaniom. Gdy mnie z innych światów na tę ziemię wysłano, powiedziano mi: Będiesz się mozolił, mordował; w pocie czoła chleb spożywać będziesz; nie nie osiągniesz, czego nie wywalczysz.

— Zkądże pan o tém sądzić możesz? — pytała Halka zdziwiona.

— To rzecz tak jasna. Nie lubię gospodarstwa; nie lubię zajęć fizycznych, nie lubię życia kręcącego

się w jednym ciasnym kole; jednak przeznaczenie moje jest żyć w niem. Ja wiem, że ono takie jest, a nie inne, bo po najgłębszych zamysłach i próbach niefortunnych, aby inny kierunek życiu nadać, spostrzegłem, że to jest niemożliwe; że chleb mieć trzeba, aby żyć, i że chleb ten zdobędę tylko w ten, a nie inny, sposób. Więc moja wiara, to jest mój fatalizm, jest jedynie zdolny mnie uspokoić, gdy się zżymam, gdy chcę zrywać pęta. Powinniśmy wszyscy pamiętać ciągle, że Ten, czy To, co nami rządzi, silniejsze jest od nas. Co to pomoże szamotać się! Nie unikniemy przeznaczenia. Ale i to prawda, że łatwiej teorię rezygnacyi wygłaszać, niżeli ją w praktykę zamienić.

Kilański przestał mówić; oczy ich się spotkały; on uśmiechnął się swobodnie i rzekł:

— To pewnie wcale nie ciekawe, co mówię. Tak się rozgadałem, jakby myśli moje mogły kogoś zajmować.

— Ależ naturalnie, że mnie to zajmuje. Tylko nie przypuszczałam, że pan w ten sposób na życie się zapatruje. Ja myślałam, że pan gospodarstwo lubi.

— Dlatego, że zawzięcie gospodaruję? To nie dowód; byłem małym chłopcem, kiedy mnie już do gospodarstwa przeznaczono. Gdy mnie mąż pani do szkół oddawał, już wiedziałem, że życzeniem jego jest, bym gospodarzem został.

— Czemuś mu pan nie powiedział, że wolałbyś inną karierę?

— Bo z początku sam sobie sprawy nie zdawałem z moich upodobań. Kierowano mną wedle swej woli. Gdym dorósł, zanim mnie mąż pani do Dublin posłał, pomówiłem z nim otwarcie, choć mnie to kosztowało, bo wiedziałem, że, wybierając inną karierę, pójdę wbrew jego woli.

— Przecież on tego nie mógł wymagać; ja go znam! — odparła Halka żywo.

— Nie wymagał. Ale objawił swoje zdanie i miał słuszność, bo moje upodobania były czemś wielce niepraktycznym, bezcelowym nawet, o ile chodziło o zapewnienie sobie chleba. Namiętnie lubię muzykę, artystą jednak zostać już nie mogłem; zapóźno było. Tyle rzeczy ciągnęło mnie nieprzepartym urokiem: astronomia, estetyka, literatura w ogóle; ale gdy przyszło wybierać, mnie samemu trudno było wyrokować. Niepraktyczne było to wszystko, a pan Złoczowski zwrócił mnie na drogę praktyczną.

Halce zdawało się, że cień żalu słyszy w jego głosie.

— Czy to w pana oknie widać światło do drugiej w nocy? Zimą do trzeciej czasami—zapytała.

— Zkąd pani wie o tém?—zawołał zdziwiony.

— Nie zawsze dobrze sypiam. Sama nieraz późno się kładę, a ile razy spojrzę przez okno, tyle

razy w dole światelko świeci. Intrygowało mnie to nieraz.

— Tak, jestem jak nietoperz, który budzi się w nocy; życie takie, jakie lubię, w nocy dopiero zaczynam.

— A tak wcześnie pan wstaje? Kiedyż pan śpi?

— Gdybym się ze snem liczył, to nie miałbym czasu do książki zajrzeć, a wtedy rzeczywiście źle byłoby mi na świecie.

— Ależ jakie to siły, jakie zdrowie mieć trzeba na taki system życia!

— O, mnie bardzo niewiele snu potrzeba.

— Więc to pana słyszę czasem grającego?

— Słyszysz pani? Ja tak rzadko grywam.

— Nigdy wyraźnie melodia nie dochodzi, ale muzykę słychać jednak.

— Może przeszkadzam państwu?

— Wcale nie. Przeciwnie, to taka przyjemność!

Już byli przy drzwiach, wiodących do dworu i stojąc, rozmowę kończyli, gdy turkot powozu dał się słyszeć.

— To mąż mój — rzekła Halka.

Oboje, zamiast wejść do domu, obeszli go wkoło, by u frontu czekać na pana Złoczowskiego.

Kurzem okryty, zeskoczył z bryczki, żonę w rękę pocałował i, zwracając się do Kilańskiego, pytał:

— Cóż słychać nowego?

— Jęczmień zwieziony, pogoda dopisała; jutro będziemy mogli zabrać się do kopania buraków.

— Przedewszystkiem niech pan nie zapomni posłać ludzi do naprawy tego mostku pod lasem. Kark skrócić można. Nic tak nie świadczy o niebaldstwie zarządu, jak...

Nie zdążył skończyć, gdy mu Halka przerwała:

— Czekam z kolacją na ciebie, może wejdziemy do domu? Może i pan? — zapytała, zwracając się do Kilańskiego.

— Dziękuję bardzo — odparł. Późno już; dobranoc państwu.

Pod jasnym światłem księżyca znać było, jak twarz jego przybladła mocno; oczy spuszczone miał i nie podniósł ich, żegnając państwa Złoczowskich.

Pierwszém pytaniem Czesława było:

— Cóż to Kilański miał do czynienia o tej porze?

— Wstąpiłam do nich, wracając z przechadzki; odprowadził mnie właśnie w chwili, gdyś powracał. Czy cię to dziwi?

— Nie. Byłaś sama, więc spełnił tylko swój obowiązek. Ale niepotrzebnie zapraszałaś go na kolację.

— Prosta grzeczność.

— Nie, kochanko. To zbytek grzeczności.

— Ja ciebie niezupełnie rozumiem, Czesławie...

— Pod jakim względem?

— Ty jesteś taki uprzejmy dla wszystkich, a swoją drogą taki bezwzględny czasem.

— Doprawdy? W czymże ja jestem bezwzględny?

— Czemu ty tego człowieka, równego tobie i mnie pod względem wychowania, traktujesz czasem tak szorstko i niemiłosiernie?

— Ja? jego? Czy może masz mi za złe, żem go złażał za te mosty? To trudno! Rygor być musi. Zobowiązywać sobie ludzi—dobrze; ale psuć ich nie można. Są granice.

— Czy ty doprawdy dzielisz ludzkość na kasty?

— Nie, Halke; dla mnie kominiarz, jeżeli zacy i prawy, wyżej stoi od księcia Wiwi; ale stosuję się zawsze do reguł przyjętych, i choć z niesmakiem, ale księcia Wiwi posadzę przy moim stole, gdy do mnie przyjdzie, a kominiarza nie.

— To rozumiem, choć i to zczasem zmieni się pewnie. Ale kominiarz, czy szewc, czy mularz, miewa zwykle inne formy towarzyskie: krępowaliłyśmy ich, a oni nas. Ale jeżeli wychowaniem, manierami, cywilizacją wewnętrzną i zewnętrzną ten lub ów zbliżony jest do nas, to podług mnie, powinniśmy nie robić najmniejszej różnicy między urzędnikiem a potentatem.

— Masz słusność, ale tylko do pewnego stopnia. Jeżeli ten lub ów jest moim urzędnikiem, to muszę w postępowaniu z nim zaznaczyć granicę,

dzielącą moje stanowisko od jego, bo inaczej musieliby ludzie być aniołami, a nie stworzeniami pełnemi ułomności, gdyby nie nadużyli dobroci.

— Jeżeli są intelligentnymi i z poczuciem delikatności, to nie nadużywają.

— Najpierw, trzeba by zbadać naturę ich do gruntu, aby się o tém upewnić; a potem, lepiej nie narażać ich na pokusę. Urzędnik dla zwierzchnika powinien znać przedewszystkiem respekt. Zanadto ściśle stosunki towarzyskie prowadzą do poufałości, a gdzie jest poufałość, niema rygoru; gdzie niema rygoru, niema porządku. Zresztą tu chodzi o Kilańskiego, a ty wiesz, że jemu aż nadto względności okazałem już.

Halka milczała, oparta o filar. Ile razy różniła się z mężem w zdaniu, tyle razy pokonał ją swoim rozsądkiem; ale rozsądek jego sympatyj w niej nie wzbudzał; zimnem ją przejmował. Z rozsądkiem ciasno jej było na świecie, takie ściśle zasady krępowaly ją. Wyrывała się duszą całą z po za granic, które wyobraźnię jej tamować mogły.

On nie przeczuwał, co się w niej dzieje; myślał, że ją przekonał, i rad był, że z nim otwarciej pomóc chciała. To jej się tak rzadko zdarzało.

Objął ją ramieniem, a odgarniając ręką jej miękkie jasne włosy, rozrzucone trochę nad skroniami

— Moje biedactwo — mówił — tyś taka blada, taka mizerna. Mnie się serce kraje, gdy na ciebie

patrzę. Powiedz prawdę: tobie jednak coś dolega może? Powiedz.

— Nie, Czesiu, zaręczam ci. Zdrowa jestem. Dzisiaj trochę zmęczona tylko, może upałem. Zajdźmy do domu: zjesz kolację, ja usiądę i odpocznę.

Przy kolacyi wypytywała go o staruszka księdza, czując, że mu tём przyjemność zrobi; wiedziała, że dawne stosunki jeszcze z czasów, gdy żył ojciec Czesława, łączyły odległe probostwo ze Złoczowem. Mąż chętnie szczegółów udzielił.

— On jeszcze czas jakiś pożyje pewnie — mówił. — Zazdrość bierze patrzeć na niego; tylko pragnąć można podobnego końca. Wcale się śmierci nie lęka. Spisał dzisiaj testament, a miał raptem dwa tysiące reńskich do rozdania; po pięćdziesiąt złotych, które mu się wielkimi sumami wydały, zapisywał wszystkim nędzaczom w okolicy. Tak mówi o śmierci, jak każdy z nas o przyjeździe w sąsiedztwo. Dwie okaleczone baby siedzą pod oknami i zawodzą, zawodzą; tak beczą, jakby to był rodzaj sportu dla nich, a on im co kilka godzin wysyła, to garnuszek rosołu, to klusek, to kaszy; karmi je i myśli o nich, rozczulony tym ich wielkim żalem.

— Czy nie cierpi wcale?

— Mówi, że nie; tylko sypiać nie może, więc różaniec trzyma w ręku i ustami porusza. Co chwila słyhać nowe „Zdrowaś Marya, łaskiś pełna”. Pytał mnie o ciebie; lubi cię bardzo. Jego wszystko

żywo obchodzi, co nas się tyczy. Z ojcem moim w wielkiej był zażyłości; młodszym był wtedy, więc co niedziela regularnie na wista przyjeżdżał. Ojciec wielkie miał do niego zaufanie; do niego jednego, bo zresztą nie lubił, gdy się ludzie mieszała w jego sprawy. Nie żywię żalu do niego, broń Boże: on sądził, że tak najlepiej, ale czasem dobra rada złota warta... Wracając do księdza, on ma widocznie jeszcze coś na sercu, co radby mi powiedzieć, ale zdobyć się na to nie może. Ten sekret staruszka, to pewnie jakaś nowo odkryta nędza. Prosił mnie, bym natychmiast przyjechał, jeżeli mnie znowu zawezwie. Ani przypuszczał, biedaczek, jak mi trudno było dziś z domu się wyrwać i ciebie samą zostawić. Teraz-tyś taka zmęczona; o rozmowie już pewnie marzyć nie można. Położysz się zaraz, co? To byłoby najlepiej.

— Nie, spać mi się nie chce. Taka cudna noc! Może posiedzimy jeszcze na dworze?

Pod baldachimem, haftowanym brylantami, przy złocistych blaskach lampy, zawieszonej na eterycznym stropie, świat cały przedstawiał się, jak mieszkanie, godne Wszechmocnego Pana. Duch wielkiego Majestatu, duch potężny, a cichy, spokojny, łagodny, unosił się w przestrzeni.

Umysł mógł oniemić z zachwyty, serce rozpląnąć się w uniesieniu, cisza, ukojenie zapanować w duszy ludzkiej.

Czesław, wrażliwy na piękność natury, rozkoszował się gwiazdzistą nocą letnią, nie przypuszczając, że w małym dworku, u stóp wzgórza, płynęły równocześnie łyżki kobiece.

Kilański powrócił do domu wzburzony; w oczach jego migotało uniesienie; żonie na pytania szorstko odpowiadał.

Ona kochała męża nad życie, ale bała go się, jak dzieci surowego ojca się boją. Nie bała się w pierwszych miesiącach po ślubie: wtedy był szalenie w niej zakochany i tylko wyrazy ubóstwienia miał dla niej; ale w codziennym trybie życia urok romantycznej miłości zatarł się. Pozostało przywiązanie, które nie przeszkadzało złemu humorowi, nerwowym porywom i gwałtownym nawet wybuchom.

Jego uczucie dla niej zmieniało się stopniowo z uwielbienia i zachwyty kochanka na rozsądne przywiązanie męża. Do tej pory nie zdał sobie jeszcze sprawy z tego, jak dalece przywiązanie jego dla żony zmieszane było z poczuciem własnej wyższości.

Czy ona rzeczywiście niżej stała od niego? Może przewyższała ją zdolnościami, umysłem, ale wartość moralna nie z umysłem nie ma wspólnego.

Tak, jak wszyscy niemal mężczyźni, tak i on, zanim się ożenił, marzył o towarzysze życia serdecznej, słodkiej, posiadającej wszelkie przymioty nieokreślonego *l'éternel féminin*. Takiej szukał, taką

znalazł; ale tak, jak dla wszystkich niemal mężczyzn, gdy znajdą ową perłę marzeń swoich, urok kobiecości powszednieje, tak i dla niego czarujący z początku wdzięk żony spowszedniał.

I stało się to, co codziennie widzujemy dokoła siebie.

Ci, którzy się żenią bez wielkiej egzaltacji uczuć, którzy na zimno sądzą przyszlą żonę, zaniepokojeni jej rozumem, jej bystrością, jej inicjatywą, która podług wyroków mężkich ujmuje kobiecie wdzięk, ci po latach spostrzegają, że dobrali sobie towarzyszkę odpowiednią swej inteligencji, przyjaciela, któremu wszystko powierzyć można, bo wszystko zrozumie, nieraz najlepszego doradcę. Wtedy przywiązanie rośnie w miarę lat; często nawet w zakochanie się zamieni. Mąż spostrzega, że z nikim na świecie tak się nie zrozumie, że mu z nikim tak dobrze być nie może, jak z żoną-przyjacielem.

Ale kobiety wiedzą, że naiwność wdzięk im dodaje w oczach mężczyzn, że dziecinny sposób zachowania się posiada dla nich urok wielki; że ich śmiech wesoły, świadczący o świeżości umysłu, i tysiące niekonsekwencyj i fantazyjek, srebrnym, pieścizotliwym głosem wygłaszanych, zachwytem napełnia dojrzały, logiczny, pozytywny umysł mężki,—ale na bardzo krótko. Ci sami mężczyźni po niewielu latach zniecierpliwieni są naiwnością

żony, którą się tak rozkoszowali dawniej, i naiwność ograniczonością nazywają. Wszelki urok sławnego *Ewig-Weibliches* w pojęciu męża zamienia się z biegiem lat na śmieszności, małostki i „meskinerye“ gąski ograniczonej. Serce męża dawno z rąk kobiety się wysunęło, dawno gdzieindziej pociesza się po stracie domowych ideałów.

Owa bogini serca mężowskiego, nacechowana cza^{re}m tak zwanej kobiecości, nie zmieniła się jednak. Jest taką, jaką była w pierwszych miesiącach po ślubie. Często owe dziecinne kaprysy i zachwyty „poza” w niej bywają, by się narzeczonemu przypodobać. Ona w gruncie może mieć inteligencyę i serce. Sercem t^{em} czuje zmianę, dręczy się, we łzach tonie, nie pojmuje, co się stało. Dawniej dosyć jej było pocałować męża i głosikiem dziecinnym przemówić do niego, a twarz jego promieniała zachwytem. Dlaczego dziś, gdy ona tak samo serdecznie i po dziecinnemu zbliży się do niego, on odtrąca ją i mówi szorstko:

— Nie nudź mnie, moja droga, nie mam czasu, daj mi pokój!

Nie pojmuje biedactwo, że owa słodka, naiwna kobiecość jest śliczną zabawką dla mężczyzny, gdy przedstawia urok nowości. On się nią bawi, pieści, jak dziecko ptakiem, pozytywką, póki zawsze ta sama piosnka nie znudzi go.

Wtedy zamyka się w sobie. Żona powoli staje

się dla niego ochmistrzynią domu, stworzoną, by dbać o jego wygody, niańką dziecka.

Małżeństwo, które miało tworzyć jedną duszę, staje się powoli obcym dla siebie. Moralnej spójni niema żadnej. Szczęściem nazwać można, jeżeli taki duchowy „rozwód” (bo inaczej trudno to określić) oprze się na gruncie biernym; bez kłótni, bez scen, bez codziennych zatargów.

Dziś jeszcze Kilański kocha żonę, tylko uczuciem zupełnie różnym od dawnego. Nie dzieli się z nią myślami; lekceważy jej sąd, jej zdanie.

Ona czuje, że się coś zmieniło; widzi zmianę, ale powodów nie widzi. Dręczy się i wszelkimi siłami stara się zdobyć miłość. Ale nie umie wziąć się do tego. W tej chwili, na przykład, drażni go pytaniem: co spowodowało jego nazbyt widoczny zły humor?

On odpowiada szorstko:

— Proszę cię, nie dręcz mnie. Egzaminów dość przeszedłem w życiu; w domu chcę mieć spokój.

Przestraszona, płacze biedaczka i nie śmie się już odezwać. Nie rozczuła go to, jak dawniej. Przeciwnie, jego porywczosć potrzebuje ofiary; gniew jego potrzebuje ujścia. Zapomina chwilowo o pretensyi, jaką żywi do Złoczowskiego o to, co „arogankim tonem” nazywa. Cofa się do chwili, w której żona znieczierpliwiła go, idąc wbrew jego woli.

Teraz łzy jej drażnią go jeszcze więcej. Staje przed nią i mówi porywczym głosem:

— Nigdzie spokoju znaleźć nie mogę; wszędzie chimery, fantazy. Czy ty myślisz, że mnie nie upokarza twój brak taktu? Co znaczyły twoje fochy wobec pani Złoczowskiej dzisiaj? Demonstracje jakieś, obraźliwości! Do czego to podobne? Muszę wstydzić się za ciebie! Co sobie pomyśli o tobie kobieta z dobrego towarzystwa, dobrze wychowana? Że jesteś prowincjonalną gąską, dla której zbyt wiele honoru i laski, jeżeli raczy odwiedzić ciebie.

— Ja też nie potrzebuję tego honoru i tej laski! — zawołała wśród łez pani Kilańska.

— Ty może nie potrzebujesz, ale ja potrzebuję. To śmieszne! To niedorzeczne! Tu o żadnej lasce nie powinno być mowy. Chodzi tylko o przyzwoitość. Zresztą, wiedz, że tej kobiecie ja jestem wiele winien; wdzięczny jej jestem. Życzę sobie, chcę, aby w moim domu znajdowała odpowiednie względy. Rozumiesz? Chimer nie znoszę, mam tego dosyć za domem! — dodał z goryczą.

Pani Kilańska przestała płakać; patrzyła teraz na niego, nie rozumiejąc. Wyrazy: „wdzięczność, zobowiązanie” uderzyły ją; ale nie pojmowała ich znaczenia. Nie śmiała pytać; wiedziała, że tylko na gorszą burzę się narazi.

— O co tobie chodzi? — mówił dalej mąż jej.— Co ona tobie zawiniła? Zkąd ta zmiana raptowna? Przecież dawniej nie miałaś dla niej dosyć słów zachwyty?

— Dawniej, tak — odpowiada rozżalona — bo ją miałam za kobietę dobrą i zacną. Ale to trudno; ja też mam moją miłość własną. Nie pozwolę, by mnie poniewierano, by ona uważała mnie za jakąś *dame de compagnie*. Gdy niema gości, raczy mieć względy dla mnie; gdy kto przyjedzie, udaje, że mnie nie zna. Ja nie mam pretensyi, by mnie do salonu zapraszała, gdy się pozjeżdżają różne półgłówki, któreby na mnie patrzyły, jak na raroga, dlatego, że jestem żoną rządcy.

— Czy to ma być do mnie przymówka? — przerwał gwałtownie Kilański.

— O Boże, Boże! — zaniosła się od płaczu młoda kobieta. — O, Kociu, jak ty możesz coś takiego przypuszczać? Ty wiesz dobrze, ty wiesz...

Ale lzy jej mowę przerwały.

Jemu teraz żal się zrobiło tego bezbronnego, słabego stworzenia. Poglaskał ją po głowie z pobłażliwością, tak, jak się głaszcze pokojowego mopsika, gdy go się wprzód obje; dowód, że pan już się nie gniewa.

— Nie bądź dzieckiem, Wandziu. To przywidzenie kobiece. Niezawodnie przywidziało ci się. Pani Złoczowska nie ma wspólnego z takimi „meskineryami”. Jakiś zbieg okoliczności mógł się zdarzyć, coś, co ty wyegzaltowałaś sobie. Nie trzeba być taką obraźliwą; to dowód, że się nie ma dosyć godności osobistej. Godność osobista nie powinna

pozwołi6 nam na przypuszczenie, że ktoś mógł nam ubliżyć.

Całkiem odmienna scena odgrywała się równocześnie pod rozłożystą lipą u wzg6rza. Najpierw doś6 długie milczenie panowało. Czesław twarz miał zadumaną, choć myśli jego pozostawały w zawieszeniu, odpoczywały, skupione w zachwycie nad gwiazdami, migocącymi wśród gałęzi świerków i lipy odwiecznej.

Rąbek wzg6rzy, jak ciemny z chmurszek, roztaczał się na horyzoncie; rzeka srebrną łuską migotała, gdy ją promienie księżycy dotknęły.

Czesław zwraca teraz oczy na żonę: i ona głębokoboko zadumana. O czym myśli? gdzie buja wyobraźnią?—on nie wie.

Dwa lata wytrwałej pracy, by sobie zdobyć jej zaufanie, nie wystarczyły. Zdaje sobie sprawę z tego, że cel, o którym marzył, do tej pory osiągnięty nie został. Tej ubóstwianej kobiecie, tej żonie, którą kocha całą pełnią gorącego uczucia, on otwiera myśli swoje, otwiera serce naoścież, by w ni6m czytała, by dla niej tajemnic nie było, by go zrozumieć mogła w każdej chwili. A ona?

Złoczowski wierzy, że ta, którą zdobył sobie, jako ideał życia, godna jest czci i miłości jego. Ale dlaczego umysł jej zamyka się przed nim?

To jedno tylko dręczy go w życiu. A z wrodzoną wytrwałością nie myśli zaprzestać pracy nad zdobyciem zaufania tej kobiety — tylko zaufania;

przez myśl mu nie przejdzie, że ona mogłaby go nie kochać. Potępić jej nie może; rozczarowania nie doznał. Halka jest najprzykładniejszą żoną, jest wzorową panią domu; wszędzie ład i porządek kwitnie. Umiała sobie nadać powagę; otoczona jest uznaniem i szacunkiem. Taktem wszystkich sobie zjednała.

Niezwykły rezultat względnie do wieku i krótkiego doświadczenia młodej kobiety.

Czesław patrzy na nią z rozrzewnieniem. Szczęście mu dała.

Pod wpływem balsamicznej nocy letniej, pod wpływem czaru natury, serce jego rozszerza się, uczucie wzbiera, krew tętni w nim gwałtownie.

Śledzi wyraz jej twarzy. Biała pani jego utonęła gdzieś myślą w gwiazd miryadach. Tak mu się piękną wydaje z oczyma w górę wzniesionemi! Chwyta ją gwałtownie w ramiona, tuli do serca, pocałunkami okrywa twarz jej i ręce. Rozgrzać ją chce, obudzić z tej wiecznej zadumy. Chce ją przykuć do siebie, aby się więcej nie wrywała.

Zdziwiłby się niezmiernie, gdyby słyszał jej uwagi, gdy wracała tego dnia z przechadzki. On nie pojmuje tego, że jej samotność ciąży. Dla niego zajęcie każde jest towarzystwem. Byłby pewnie znalazł jeszcze więcej czasu dla niej, gdyby wpadł na myśl, że ona tego pragnie; przeciwnie, czasem zdawało mu się nawet, że jej przeszkadza. Starał

się jednak nie brać tego do serca, pocieszając się myślą, że czasem coraz więcej potrzebować go będzie.

Niekiedy budziła się w nim obawa; chwilami odczuwał zaporę jakąś duchową, stojącą między nim a żoną, ale starał się wmówić w siebie, że to tylko przywidzenie. Zkądże mu do głowy przyjść może, że Halka, siedząc obok niego, widzi żywo innego człowieka i z nim rozmawia, jemu w duszy daje czytać, jego przeprasza za przemieszanie...

Nie pierwszy to raz spotkanie Kilańskiego wywołało w niej oddźwięk lat minionych i obraz tego, któremu po jego śmierci wierną być chciała.

Teraz poczyną zdawać sobie sprawę: o kim myśli; zastanawia ją to. Dlaczego dawne wspomnienie wywołuje ten żywy obraz? Widocznie między Kazimierzem Sadeckim a młodym Kiślańskim jest jakieś niepochwytne podobieństwo.

Ani się zastanowi, że mąż obok niej siedzi, że takie bujanie nieokiełznaną wyobraźnią jest dla niej bardzo niebezpieczne, że staje się chorobą duszy. Przeciwnie: w tym jedynie upodobała sobie. Kilański wprawdzie nasuwa jej się na pamięć tylko mimochodem, nie gra żadnej roli w jej wędrówkach abstrakcyjnych; ale to uparte przebywanie po za życiem zewnętrznym, po za obrębem spraw doczesnych, wyniszcza jej siły duchowe.

Teraz, gdy słucha gorących słów męża, wraca

powoli z tych światów niedostępnych dla śmiertelnych ludzi. Rzeczywistość staje się coraz wyraźniejszą dla niej.

W miarę, gdy serdeczne wyrazy płyną z ust człowieka, z którym losy na życie związała, i nabierają dla niej znaczenia, przestając być niezrozumiałym, pustym dźwiękiem, w miarę tego, jakiś cichy głos, zrzadka odzywający się w duszy, szeptem: †

— Tu oparcie twoje, inaczej zginiesz, próżnia cię pochłonie.

Więc wsłuchuje się w słowa męża z niezwykłym u niej pragnieniem.

— Ach! gdym ja mogła, gdybym ja mogła przejąć się jego zasadami, gdybym ja mogła stanąć na gruncie trwałym, gdybym ja mogła uwierzyć, jak on wierzy!

On, trzymając ją też przy sercu swoim, mówił:

— Chciałbym ci dać szczęście, a nie wiem, czy szczęśliwą jesteś? Czemu? czemu ty zamykasz przedemną myśli twoje?

Ale ona swego ukrytego świata bronić chciała; zamknęła go przed okiem cudzém, więc odparła:

— Dlaczego przypuszczasz, że ja mam jakie myśli ukryte? Inną być nie potrafię, niż jestem.

— Więc to zmęczenie twoje jest czysto fizyczne? Więc ty w gruncie czujesz się szczęśliwą, co? Ja przecież muszę o tém wiedzieć; ty pojmujesz, że to największe pragnienie moje.

Ujętą się czuła tonem głębokim, z serca płynącym, z jakim obawy swoje wyraził; współczucie chwilowe w niej się obudziło.

— Dlaczego — odparła w tej chwili wymijająco — ty żądasz niemożliwości, Czesiu? Przecież absolutne szczęście nie jest z tego świata.

— Ja też o absolutnym szczęściu nie mówię, ale o względnym, o takim, które z tego świata być może, jeżeli je przyjąć zechcemy i nie odrzucamy go od siebie.

— Któżby szczęście odrzucał?

— To się częściej zdarza, niżby się napozór wydawać mogło. Jeżeli warunków do szczęścia nie oceniamy, to pozbawiamy się szczęścia. Tak często wśród warunków najbardziej sprzyjających widzimy ludzi znudzonych, niezadowolonych z losu, szukających czegoś. Gdybyż oni sami wiedzieli: czego?

Ani przypuszczał, jak dalece słowa jego do żony odnosić się mogą. Powiedział to, aby jaśniej określić myśl swoją. Ale ona słuchała uważnie; może on dla niej znajdzie, może poda jej sposób wyjścia z tego zaczarowanego koła pustki i znudzenia?

Mówił dalej:

— Najniebezpieczniejszą chorobą człowieka jest brakwoli, a odnosi się to nietylko do rzeczy, potrzebujących zapobiegliwości, odnosi się również do poczucia szczęścia. Jeżeli w dziedzinie materialnej „chcieć” nie znaczy „módz”, to w dziedzinie moralnej chcieć a módz, jest niezawodnie synonimem. Chcieć być

szczęśliwym — to już bardzo wiele znaczy; można mieć szczęście nawet w miernym bycie, nie zestawiając niedostatków swoich z niedostatkami cudzemi, ale z gorszym niedostatkiem, poniżej nas. Jeżeli jednak takie warunki, jak: czyste sumienie, zdrowie i miłość otoczenia, są nam dane, to „nie być szczęśliwym” znaczy: „nie chcieć być na żaden sposób”.

Halka pomyślała w tej chwili:

— Nie, my się nigdy nie zrozumiemy; on się zamyka w zanadto ciasnym kole. Nie pojmie nigdy, że cała duchowa egzystencja wymyka się z pod kategoryzowania.

On spowiadał jej się dalej z przekonań swoich:

— W życiu należy dążyć do czegoś, mieć cel jakiś, który umysł pochłonie. Aby do celu tego dojść, trzeba przedewszystkiem być panem siebie.

Znowu poczęła się wsłuchiwać z większym wyęzieniem uwagi. „Mieć cel” — jej tego brak. „Być panem siebie.” Do tej pory frazes ten czczył jej się wydawał; nigdy nie próbowała stosować go w praktyce.

Mąż jej mówi dalej:

— Mieć charakter — to ważniejsza, niż mieć zdrowie, niż mieć majątek, urodę, wykształcenie. Mieć charakter — znaczy być panem siebie, być panem losów swoich, swego przeznaczenia. Tylko trzeba chcieć. Chcieć, nie zrażając się na chwilę, bo nie na świecie nie wymyka nam się tak z ręki, jak czło-

wiek sam sobie, jak nasze zwierzęce „ja” naszemu boskiemu „ja.”

Halka to pojmuje, rozumie doniosłość słów męża, ale równocześnie pyta siebie: co osiągnie, jeżeli zdoła tak się opanować?

— Co?

Zastanawia się, że gdyby nawet potrafiła tamę położyć wszelkim fantazyom nieokiełznanym, gdyby nawet zabiła w sobie tę wyobraźnię, jakiz będzie wynik tej pracy?

Ta sama automatyczność i bezbarwność w świecie jej ducha, jaka panuje w zewnętrznych warunkach jej życia. Czuje się na siłach zdobycia nawet tego rezultatu, umie chcieć; ale na co? Czy doprawdy lepiej jej będzie, gdy i na wewnątrz wszystko zamrze, gdy myśl jej rozbujana zaśnie? I cofa się przed tym wynikiem, nie chce tego. Boi się tej próżni, gorszej jeszcze, niż brak celu w życiu.

Nie chce tego; to jej się gorszem od śmierci wydaje.

Z przerażeniem nieledwie, trochę nieprzytomna, spogląda na męża. Co ten obcy człowiek robi obok niej? Czemu ona jego na każdym kroku spotyka? Zapomina w tej chwili o zarzucie, jaki mu robiła, że zamało z nią przebywa, że ją samej sobie zostawia. Usuwa się od niego, pierwszy raz nieostrożnie objawiając, co się wewnątrz niej dzieje. On to spostrzegł i odczuł boleśnie; niepokój wielki zawiadnął nim.

Podejrzanie, nieufność budzi się w nim gwałtownie. Czemu ta kobieta, życie jego życia, stroni od niego? Czemu oczy jej nie zapalają żywszym blaskiem, gdy on ją do serca tuli? Czemu ręce jej nie splotą się nigdy na szyi jego? Czemu usta jej nie szukają nigdy ust jego? Ona nie potrafi być inną?

A dlaczegoż w tej chwili przyklekła na zroszonej ziemi i psa, marne zwierzę, nie łaknąc tak, jak on, pieczyoty, wyrazów serdecznych—czemu psa tego całuje? Czemu tuli głowę swą jasną do łba bezmyślnego? Czemu w oczach jej migoce błysk serdecznego uczucia? Zazdrość opanowała go chwilowo i szarpnęła boleśnie wszystkimi strunami serca jego.

W tej chwili gniew wielki nim owładnął. Krew uderzyła mu do głowy; miał ochotę odtrącić żonę, psa z rąk jej wyrwać, kopnąć go, albo w łeb mu pałać.

Trwało to chwileczkę tylko. Ten człowiek był panem siebie, nie w teorii, ale w praktyce. Uśmierzył gwałtem chwilowe wzburzenie. Ale począł się zastanawiać.

Przypomniawszy sobie dzień ślubu, w którym to szlachetny gogo próbował rzucić garść zatrutego nasienia w duszę jego. Przypomniawszy sobie ową zapomnianą, ale do tej pory niewytłómaczoną scenę, gdy Halka, jako jego narzeczona, zamknęła się w swoim pokoju, uciekając od niego. W tym dniu dowiedziała się o samobójstwie Sadeckiego; a zachowanie się jej dnia tego było niezwykle. Dlaczego Halka tylko

Werbłowi tyle serca okazuje? Psa tego ofiarował jej Sadecki... I wiele pytań nasuwa mu ta myśl.

Nagle strach wielki go ogarnia. Jeżeli Halka kłamała? Bo on ją pytał przecież. Męczarnię odczuwa w tej chwili; wątpienie, rozczarowanie, niewiara ogarniają go. Broni im się, broni zawzięcie. Gdyby im się poddał... nie, z przerażeniem odsuwa myśl tę od siebie.

To być nie może. Ta kobieta, ta jego żona ukochana? Nie! ona nie potrafiłaby żyć w atmosferze podłości... Potrzebuje wierzyć jej, wierzyć, wierzyć! Jej życie i jego nie starczyłoby na obmycie takiej plamy. To być nie może!

— Halko! — woła w tej chwili — chodź do mnie. Spójrz mi w oczy. Powiedz, kochasz mnie?

Jego twarz nie okrywała się maską lodową, w którą jej ujęta była.

Wyczytała natychmiast z oczu jego, ciemnym ogniem błyszczących, z czoła jego, na którym wszystkie żyły wezbrane krwią drgały nerwowo, z nagłego a niezwykłego pytania, że chodzi o rzecz ważną. Czuła, że wymijającą odpowiedzią nie zadowolni się.

— Kochasz mnie? — pytał gorączkowo Czesław.

— Kocham — odparła, a żaden nerw nie drgnął na jej twarzy.

Oczy nie zawahały się na chwilę w swym pytającym, spokojnym wyrazie.

Odetchnął głęboko, ale jeszcze nie odzyskał zwy-

klej równowagi po tym szalonym niepokoju i z naiwnością, cechującą każdą duszę, nieznającą wybiegów, chciał ją na dziecinnie obmyślaną próbę wystawić.

— Ja tego psa zastrzełę, znieść go nie mogę! — zawołał gniewnie.

Halka już sobie jasno zdała sprawę z jego uniesienia. Wiedziała, że psu nic nie grozi, bo mąż nie jest zdolny do czynów gwałtownych. Czowała jednak, że najmniejsze wahanie się z jej strony zgubić-by ją mogło w tej chwili. Odparła spokojnie:

— Szkoda psa, ale, jeżeli ci zawadza w najmniejszej rzeczy, to go zabij!

Wyszła z tryumfem z tej próby. Gdy wracali ku domowi, on przeproszał ją w duchu za straszny zarzut, jaki jej śmiało uczynić.

— To podłość z mojej strony — myślał.

Niedaleka przestrzeń dzieliła ich od dworu, gdy nagle, w powietrzu, zabrzmiały niepochwytne tony muzyki, płynące jakby z mgły, która łąki spowijała.

Halka machinalnie przystanęła, chwytając uchem melodyę.

— To fortepian—rzekła sama do siebie. Potem, zwracając się do męża, zapytała:

— Czemuś mi nigdy nie mówił, że on gra?

— Jaki on?—zapytał Czesław zdziwiony; zajęty własnymi myślami, nie słyszał nawet muzyki.

— Kilański! — odparła Halka, niezadowolona z niedorzecznie postawionego pytania.

Ale mąż jej, po burzy dopieroco przebytej, nie zwrócił na to uwagi i odparł:

— Nie wiedziałem nawet. To on gra? Lepiej-by zrobił, gdyby się spać położył. Sypia zamało; nerwowym się staje!

Ona teraz rozmowę odwróciła na inny przedmiot. Z pozorną naiwnością i niedomyślnością, rzekła:

— Czy ty doprawdy masz zamiar Werbla zabić, Czesiu? Może podejrzewasz, że go psy pogryzły? Ale ja nie słyszałam o żadnym wściekłym psie w tych stronach...

— Żałowałabyś go?

— Naturalnie, bardzo.

— Nigdy mi nie opowiedziałś jego historii — pytał Czesław.

Podjęzliwość znowu budzić się w nim zaczęła.

— Jakiej historii? On nie ma żadnej historii.

— Od kogo dostałaś Werbla?

— Wiesz przecie, że od Kazia Sadeckiego.

Usta jej wyrazu nie zmieniły, głos jej nie zadrzał.

— Ty, ty jego po imieniu nazywałaś?

— Po imieniu. Znałam go dzieckiem. Między ludźmi mówiliśmy sobie „pani” i „panie,” ale pomiędzy sobą zapominaliśmy o ceremoniach.

— Tyś go bardzo lubiła?

— Bardzo; on był taki dobry dla mnie.

— Ty masz wdzięczne serce, Halko.

— Myślę, że mam — odparła, opierając głowę o ramię męża.

Jego serce gwałtowniej bić poczęło. Odpowiedzi jej takie naturalne, brak najlżejszego zakłopotania w głosie, przekonały go jeszcze lepiej o bezpodstawności jego posądzeń.

Szli teraz w milczeniu, on zastanawiał się nad dziwnym usposobieniem swojej młodej żony.

— Pewnie zanadto jej się narzucałem z moją miłością.

Obiecuje sobie, że czekać będzie cierpliwie, aż ona sama przyjdzie do niego, aż się zbliży z własnej inicjatywy. Nie pocałował jej, przycisnął tylko silniej rękę jej ramieniem i swobodniejszym już tonem rzekł:

— Nie, nie mam żadnych zabójczych zamiarów względem Werbla. Żartowałem tylko.

VII.

Mijają tygodnie i miesiące, a Halka z trwogą na męża spogląda. Gdyby miała czyste sumienie wobec niego, niezawodnie przekonałaby się, że on ją kocha tak samo, jak dawniej. Ale chociaż do tej chwili sama nie chce uznać winy swojej względem niego, przecież na dnie duszy spokoju nie ma.

Zmienił się niewiele, co prawda, ale się zmienił w swoich z nią stosunkach. Nigdy nie upomni się u niej o pieszczotę, o którą dawniej tak bardzo dbać się zdawał, nie miewa tych gwałtownych porywów czułości, które ją przerażały, a których teraz brak czuje. Zobojętniał — tak jej się zdaje, ale czy to być może, aby ona na tém cierpiała?

Przecież go nie kocha, nie, niestety! choćby tego pragnęła. Tak, przyszło już do tego, że pragnęłaby go kochać, ale sama zwątpiła już o sercu swoim. Pyta siebie: czy ono zdolne jest kochać?—bo nie w niem nie czuje.

Dawniej zdawało jej się, że gorzej już być nie może, a teraz widzi, że pustka, która ją zewsząd otaczała, mogłaby zawierać jeszcze większy bezmiar smutku.

Męża nie kocha, ale dba o jego przywiązanie i spostrzega, że gdyby przestał dbać o nią, jeszcze gorzej byłoby jej na świecie. Widzi w nim jakąś zmianę i niespokojna pyta siebie: czy on nie odgadł tajemnicy jej. Przypuszczając możliwość niebezpieczeństwa, czuwała jeszcze baczniej nad sobą.

Nie pojmuje, dlaczego zależy jej na miłości męża? Nie zdaje sobie sprawy, że tonęła dotychczas w egoizmie. Choć zimno jej było na świecie, bo wewnętrzne ciepło nie ogrzewało jej, to zimniej jeszcze być jej mogło bez ogrzania się o serce cudze.

Kilka dni temu państwo Drohińscy, to jest brat jej z żoną, zapowiedzieli swoje odwiedziny.

Wygląda ich z pewnym niepokojem. Jakie jest pożycie tej młodej pary? Kilka tygodni po ślubie, gdy ich Halka ostatni raz widziała, Wacek wydawał się bardzo żoną zajęтым. Czy to była komedia, nie wiedziała; dawno straciła już zaufanie do niego.

Dawniej, gdy się dzielił z nią i z matką skromną pensją urzędnika, pomimo jego sarkazmów i jego cynizmu, powtarzała sobie, że nie jest złym człowiekiem, skoro o nich pamięta.

Co do tej malej dozy złudzenia, czekało ją rozczarowanie, bo przecież w chwili, gdy zerwać chciała

z narzeczonym, on jej wyraźnie powiedział, że tylko do czasu pomagał rodzinie, że nie czynił tego z poczucia obowiązku, ale z wyrachowania na przyszłość. Więc ostatecznie łuski spadły jej z oczu. Ręczyła jednak mężowi za brata. W ten sposób, wedle jej spaczonych pojęć, spłacała Wackówi dług wdzięczności. Ręczyła za niego ze strachu także: groził jej, że w razie, gdyby ambitne plany jego chybiły, to sobie w łeb palnie.

Dziś Halka zdaje sobie sprawę, że to tylko czer^e pogróżką było, ale wtedy zostawała pod strasznem wrażeniem śmierci Sadeckiego i drżała na myśl nowego nieszczęścia. Teraz, gdy spełniła to, czego brat żądał, gdy mu pomogła do złączenia się, nią z młodą ukochaną dziewczyną, ale z jej majątkiem, teraz poczuwa się do odpowiedzialności.

Boi się męża również. Jeżeli on już ją podejrzewa, to nieufność jego wzmoże się niezawodnie, gdy postępowanie Wacka będzie musiał potępić. Wolałaby prawie, aby zapowiedziane odwiedziny nie przyszły do skutku. Lubi jednak serdecznie śliczną, żywą, jak iskra, wrażliwą bratową swoją. Rada-by rozerwać się jej wesołością, brak jej towarzystwa sympatycznego; cieszyłaby się bardzo myślą kilku dni spędzonych w miłym kółku, ale się boi i więcej niepokoju, niżeli radości, odczuwa. Ostatnie listy Luny Drohińskiej nie były zdolne natchnąć jej otuchą.

Mimo obaw, jest dla niej pewną rozrywką myśleć o umieszczeniu gości. Tak jest zmęczona monotonią życia! Nie ma żadnego towarzystwa. Pani Kilańska mogła być dla niej miłą sąsiadką, ale Halka, odkąd jej krzywdę wyrządziła, uprzedzała się do niej coraz bardziej, na zasadzie, że nic nas więcej do ludzi nie zraża, niż nasze własne przeciw nim przewinienia. Uprzedzenia jej rosły z dniem każdym. Kto wie? Może i trochę zazdrości, bezwiednie odczuwanej, przyczyniło się do oziębienia stosunków dworu z dworkiem.

Kani Kilańska już drugie dziecko niańczyła; dom jej pełen był gwaru, szezebiotu i tej miłej troski, która życie kobiety po brzegi zapełnia. Tymczasem w dużym dworze pustki, cisza, brak życia, i tak smutno!

Nietylko z panią Kilańską zmieniły się stosunki przyjacielskie. Od owej pamiętnej rozmowy, w której mąż Halki wyraźnie zdradził się z obawami i nieufnością do niej, Halka podwójnie stara się we wszystkim do jego woli stosować. Życzył sobie, by oficyalista jego trzymany był w pewnej odległości, nie dopuszczającej do spoufalenia, więc spełnia życzenia męża.

Kilański nie przestał być jej sympatycznym, ale rzadziej widuje go teraz, poczytując to za jedno więcej ustępstwo dla męża, choćby jego życzenie fantazyją jej się zdawało. Była wzorową żoną, skarga nigdy z ust jej się nie wyrwała, spełniała wszystkie

obowiązki swoje, powtarzała sobie:— „Żadna niewolnica nie mogłaby uleglejszą się okazywać.”

A jednak, w głębi ducha, choć się do tego przyznać nie chciała, nie była z siebie zadowoloną.

Obowiązki spełniała, nie z wyższych pobudek, ale ze strachu. Bała się męża. Imponował jej tём wszystkim, na co ona zdobyć się nie umiała: równowagą, nie tą zewnętrzną, fałszywą, którą i ona się odznaczała, ale wewnętrzną, stanowiącą tło natury jego. Na dnie duszy poczuwała się do winy względem niego, i to poczucie radziło jej spłacać drobną monetą codziennych ustępstw długi zaciągnięte.

On mógł myśleć, że jego wola była jej wola, i byłby najszczęśliwszym, gdyby nawzajem jej wolę mógł spełniać, ale ona nie objawiła nigdy żadnego życzenia. Coraz uleglejszą, a nawet serdeczniejszą, się stawała.

Byłaby chciała obudzić w nim uczucie, które jej się gasnącem wydało. Czesława utwierdzało to w przekonaniu, że system, który obrał, jest najlepszy; że im mniej żonie z miłością swoją narzucać się będzie, tём więcej ona zbliży się do niego; zdawał się mieć słuszność, tylko się mylił co do pobudek. Nic jemu nie dając, chciała przemocą zatrzymać uczucie jego, ale jakże on mógł wpaść na pomysł taki? Było więc pomiędzy nimi ciągle ciche ścieranie się dwóch dusz: dusza kobieca, niewykształcona, chaotyczna, odczuwała bezwiedne atrakcyę tej męskiej duszy, pełnej świadomości siebie i siły.

Inaczej działo się we dworku.

Tam wszystko jasno i wyraźnie oczom się przedstawiało. Pani Kilańska w swojej serdecznej prostocie nie była bynajmniej zagadkową. Mąż znał ją na wylot, a choć wiedział, że serce jej całe jest jemu oddane, nie zawsze o tém pamiętał.

Uspodobienie jego z dniem każdym stawało się kapryśniejszym. Nerwy miał widocznie rozprężone.

Nic dziwnego: dnie całe spędzał w polu przy uciążliwej pracy. Na myśl, że mogło znowu spotkać go napomnienie ze strony pryncypała, krew się w nim burzyła. Ambicya bez granic, oparta na fałszywych zasadach, nie pozwalała mu przyjmować spokojnie najmniejszej uwagi.

Dlatego znakomicie wywiązywał się z obowiązków swoich. Nie zdarzyło się prawie, by o czemś zapomniał, by czegoś zaniedbał. To, co robił, musiało być zrobioném doskonale. Krytyki nie znosił, a miał dość energii i inteligencji, by, nie znosząc jej, nie zasługiwać na nią.

Późna jesień, jak bezzębna, wychudła, staruszka, świeci ponurą barwą pól, nagiemi drzew konarami, sterczącymi smutnie na tle sinego nieba, po którym tu i owdzie toczą się ciężkie masy chmur czarnych, pędzone przez zimny wiatr północny.

Kilański spogląda dokoła i przychodzi mu na myśl Czyściec Dantego.

— Nie może tam być smutniej — myśli -- a go-

rzej tutaj jest z pewnością. Tam świeci nadzieja zbawienia, a tu? Kto nam zaręczy, że zbawienie nas czeka?

Rzeczywiście smutno i posępnie jest bardzo. Jak brudna, niewymyta izba, o szybach szaro-żółtych, tak przedstawia się świat cały. Bez harmonii, bez ładu, pełen sterczących, do mioteł podobnych, drzew nagich, nigdzie wytchnienia dla oka. Nawet rzeczka mętne wody toczy; odpycha od siebie zimną i siną falą.

Pożółkłe, zgnile liście i trawy zalegają całe obszary pól i ogrodu. Tylko wiatr hula, rozszalały, i wyje; tylko wrony są jakby rade z tego krajobrazu listopadowego. Butne, zdają się strachu nie znać; a nuta ich krzykliwa, monotonna, nad wyraz przykra dla ucha, stanowi jeden fałszywy akord więcej w tej pełnej fałszów jesiennej orkiestrze.

Kilański stanowczo w złym jest humorze, a wiatr jesienny gra na jego nerwach. I wrażliwością, właściwą nerwowym temperamentom, odczuwa wpływ powietrza; ponura jesień jeszcze gorzej go usposabia. Pracuje po całych nocach, pisze i pisze bez końca. Żona go błaga, by spoczął; dowodzi mu, że zdrowie rujnuje, ale wpływ nad nim dawno straciła.

Jemu potrzeba pieniędzy, więc pisze traktaty o gospodarstwie, wyciągi z różnych uczonych ksiąg niemieckich, tłumaczy albo zagląda do zbioru własnych notatek, z których robi użytek. Widocznie mu

się to opłaca, bo od czasu do czasu jakie kilkadziesiąt złotych reńskich z poczty odbiera. Ale na co mu tych pieniędzy? — tego żona pojąć nie może.

Niewyspany siada na konia i jedzie do gospodarstwa; dzień cały spędza na przenikającym do szpiku kości zimnym wietrze. Teraz już ciemno prawie: on stoi przed kuźnią i łąje kowala o nieporządne okucie konia z najlepszej fornalki; łąje dosyć oględnie, stara się panować nad nerwami, tylko wobec żony pozwala złemu humorowi brać górę nad sobą.

Od czegoż żona? I to cierpliwa w dodatku.

Ona tymczasem kołysze maleństwo, które zasypia.

Przez trzy godziny z rzędu dziecka uspokoić nie mogła, ale przecież teraz spać będzie, więc, aby spokoju nie zakłócać, wzięła na kolana starszą córeczkę i pokazuje jej żurnale mód. Najstrojniejsze damy przedstawia jej jako „mameę,” najpiękniejsze dzieci jako „Karolinki” i „Dziusie,” bo tak na imię jej córeczkom.

Karolinka śmiać się rada, ale jej mama wskazuje oczami siostrzyczkę w kołysce, to znaczy, że cicho być trzeba, bo i Karolinka nie lubi krzyku kilkodziniego. Więc pomaga matce kołysać, a młoda mama myśli tymczasem, że zima nadchodzi, że według takiego to modelu możnaby skroić i uszyć sobie suknię wełnianą; byłoby to praktyczne i nie-

drogie, a Bóg widzi, że zimowej sukni koniecznie jej potrzeba.

Patrzy także uważnie na ciepłe kapotki, które jej się ślicznymi wydają. Takby to niewiele kosztowało, gdyby w domu zrobić coś podobnego! Uśmiecha się w myśli do swoich dwóch córeczek, w owe kapotki przystrojonych: cudownie im, nie można od nich oczu oderwać.

Poruszenie dziecka w kołysce wyrwało ją z zadumy.

Ale dziecko śpi smacznie, więc matka przestaje kołysać, wstaje z miejsca, zbliża się do pieca, by rozniecić gasnący ogień. Następnie przystaje chwilę, sięga do kieszeni, wyciąga klucze, wyjmuje ztamtąd portmonetkę, zbliża się do światła, liczy pieniądze: jeden, dwa, ośm, piętnaście pojedynczych reńskich papierowych i kilkanaście centów drobnymi.

— To moje, moje własne! — mówi do siebie — odprawiłam Bronkę, mam teraz do pomocy tylko jedną Kasię.

Spogląda na swoje drobne ręce, niegdyś pielęgnowane. Rozpieszczoną córką była u swoich rodziców, którzy posagu dać jej nie mogli, ale, póki była u nich, dawali wszystkie wygody, nawet pewnym zbytkiem ją otaczali.

Teraz zmieniły się czasy. Ręce białe—opalone, skóra na nich zgrubiała. Jedna tylko niezgrabna

dziewczyna do posługi, a dzieci dwoje, całe kobiece gospodarstwo na głowie i tyle, tyle roboty!

Kilkanaście reńskich pani Kilańskiej—to jej osobiste oszczędności, zebrane kosztem ciągłego poświęcenia, odmawiania sobie wszystkiego.

Sprzedawała jaja, kury, kaczki, trochę masła, to nawet, co na domowy użytek zdawało się koniecznym potrzebem, ale mąż o to nie dbał, a dbał widocznie o powiększenie dochodów.

— Dlaczego?

Nigdy nie byłaby przypuściła, że jest skąpy. Przeciwnie, zasypywał ją podarunkami, jako narzeczoną. W pierwszych miesiącach po ślubie otaczał ją nawet zbytkami.

Ale ona go tak kocha: nie sądzi, nie krytykuje, cierpi tylko. Stracił do niej zaufanie, a może i miłość. Dlaczego te zmiany? dlaczego konieczna potrzeba pieniędzy? Pomimo to gotowa wyrzec się znowu i niezbędnej sukni zimowej i kapotek dla dzieci, a odda mężowi oszczędzoną sumkę.

Liczy jeszcze raz skarb swój, gdy słyszy zdaleka głos męża. Zamyka portmonetkę, chowa ją prędko do szuflady i dąży na spotkanie pana swego; otwiera drzwi naoścież do sieni, by się z nim światłem podzielić.

Szkoda nafty: pomimo długich ciemnych wieczorów, w sieni lampka się nie pali. Dziwna rzecz! Kilański, któremu dawniej zarzucano rozrzutność,

pańskie fantazy, kochanie się w zbytkach, teraz nietylko że nic nie ma przeciwko zaprowadzeniu tak ścisłych oszczędności, ale sam za nimi głośuje.

Ziębły wchodzi do pokoju. Obecność ślicznej żony i dwóch rozkosznych córeczek powinna pokój ten w raj dla niego zamienić. Ale on zdaje się prędzej w czyścicu przebywać.

— Czy mogę mieć szklankę herbaty? — pyta w tej chwili. — Zimno mi. Tylko prędko, bo nie mam czasu.

Żona własną ręką nastawiła blaszaną maszynkę, podobną do samowara; służąca tymczasem krzątała się kolo podwórzowego gospodarstwa.

Wkrótce herbata była gotowa. Kilański pił w milczeniu, a mała Karolinka nieśmiało spoglądała na niego.

Nalał sobie drugą szklankę i, zabierając herbatę, rzekł:

— Dobranoc, dzieci, idę do kancelaryi.

Żona spojrzała na niego z wielkim żalem w oczach. Jego ta niema prośba wzruszyła widocznie.

— Mam dużo do pisania; postaram się prędko skończyć — dodał — może za godzinę, za dwie uwolnię się, to wrócę.

— Kociu — odezwała się nieśmiało — ja mam, ja mam... — zawahała się widocznie.

— Cóż takiego? — zapytał mąż, stojąc gotowy do wyjścia.

— Mam dla ciebie kilkanaście reńskich: czy chcesz je schować?

Wahał się chwilę, w końcu rzekł:

— Dziękuję ci, Wandziu, pocziwa jesteś bardzo; no, mam nadzieję, że to już ostatni raz.

Nie zrozumiała tego, ale gdy mąż serdecznie w rękę ją pocałował, szczęśliwą się uczuła. Zobowiązała go sobie; od pewnego czasu tak rzadko jej się to udawało.

Nazajutrz rano Kilański, z jaśniejszą, niż zwykle twarzą, dażył na pocztę, gdzie odebrał 50 reńskich z redakcyi „Ziemiańska”. Śpiesznie wracał do domu. I on teraz pieniądze liczyć zaczął. Tysiąc reńskich, tak jest, tyle, ile mu było potrzeba. Oczy jego po niedospanej nocy błyszczą gorączkowym blaskiem, ręka drży, gdy układa banknoty w porządku.

Spogląda na zegarek: dziesiąta! — „Powiniennem go zastać w domu, jeżeli już nie wyszedł szpiegować mnie. Teraz spokoju nie ma, na każdym kroku mnie posądza.” — Ręce kurczowo mu się zaciskają, twarz jego blada, wychudła, znać na niej nadmiar pracy.

— A przecież, gdyby nie potworne urządzenia społeczne, gdyby nie barbarzyńskie wyroki ludzkie, to nie marne tysiąc reńskich, ale połowa wszystkiego należałaby mi się. W jego oczach jestem złodziejem, w moich oczach wolno-by mi było dzielić się wszystkim, ale tylko w moich. Powiedział jej, inaczej nie stroniłaby odemnie, nie spoglądałaby na mnie, jak

na człowieka z innej gliny ulepionego. To jest niegodne, tego mu darować nie mogę. I ja, ja nie śmiem oczu podnieść na ludzi. Już krzywda mi się działa, bom im równy pod każdym względem. Ale od chwili, gdy mnie żądza tych kilkuset reńskich opętała... A przecież on powinien wiedzieć, że gdyby nie szalony układ społeczny, to ja miałbym prawo... Czy on nie wie? czy udaje, że nie wie? czy nie uznaje prawa mego? Nie uznaje: proste rzeczy, jemu z tém wygodniej. Dzięki niebu, że się to skończy.

Śpieszno mu było zrzucić jakiś straszny ciężar z piersi, bo teraz zerwał się z krzesła, chwycił za kapelusz, a, nie zarzucając nawet burki na siebie, nie zważając na zimny deszcz i ostry wiatr listopadowy, dażył szybkim krokiem w stronę dworu.

Na zapytanie służący odpowiedział mu, że pan jest w kancelaryi. Tam się wprost udał.

Złoczowski przechadzał się po pokoju z cygarem w ustach; stanął teraz, by powitać wchodzącego, i rękę do niego wyciągnął, czego przez dłuższy czas po pamiętnym przeglądzie rachunków, nigdy nie robił.

— Cóż słyhać nowego? — zapytał, stereotypowym frazesem rozmowę zaczynając.

— Czy nie przeszkadzam panu? — pytał Kilański — chciałbym z nim pomówić, jeżeli pan może mi poświęcić chwilę czasu.

Złoczowski spojrział na niego zdziwiony.

— Mów pan, nie jestem zajęty w tej chwili, słucham. Siadaj—rzekł, krzesło mu wskazując, i sam miejsce zabrał.

Kilański wydobyl z kieszeni małą paczkę, a, podając ją pryncypałowi, mówił szybkim nienaturalnym głosem:

— Chciałbym uregulować ten rachunek. To mi bardzo na sercu leżało — i zaciął się.

— Jaki rachunek?—pytał Złoczowski zdziwiony.

— Ten, który... który stanął między nami. Pan nie wiesz, nigdy wiedzieć nie będziesz, czym jest ta sprawa dla mnie.

Złoczowski zaczynał pojmować, ale, raz zachwiany w wierze swojej, nie sięgnął po wręczone mu pieniądze. Pierwszą myślą jego było:

— Jakim sposobem Kilański, mając rodzinę był w stanie tak znaczną summę zaoszczędzić?

Młody człowiek z góry był przygotowany na wątpliwości, które w nim bunt wzniecały, bo nie uznawał ich podstawy. Więc teraz począł mówić gorączkowo:

— Dług zaciągnięty spłacam, tak, jak miałem spłacać w chwili, gdym... gdym popełnił to szaleństwo. Pan mi przestał ufać, ja to wiem, ja to czuję aż nadto. Pan gotów się dziwić, zkad te pieniądze? Otóż, jeżeli słowo honoru moje ma jeszcze jakieś znaczenie u pana, to proszę mi wierzyć, że grosz każdy z mojej i żony mojej oszczędności zebrany.

Zmieniliśmy tryb życia: ja, pisząc, zarabiałem także. Bo to takie straszne dla mnie, bolesne, takie bolesne!

Głos posłuszeństwo mu wymówił; chwila przykrego milczenia nastąpiła. Zaczerpnął powietrza, uspokoił się trochę i mówił dalej:

— Strasznie to czuć, że na każdym kroku wzbudza się nieufność, wiedzieć, że z powodu jednego fałszywego kroku, jesteśmy osądzeni na zawsze. Jeden czyn zgubił mnie w oczach pana na życie całe; nie życie całe świadczyć będzie o mnie, ale ten czyn jeden. Gdyby mi teraz przyszło zmienić trochę warunki bytu—mówił po krótkim przestanku—gdybym żonie i dzieciom, pracując dzień i noc, dał trochę więcej wygody, egzystencję uprzyjemnił im nieco, to miałbym bezustanne uczucie, że pan podejrzliwie patrzy na to, że pyta, z kąd ja biorę na wydatki różne? Przyszłaby panu niezawodnie myśl: czy nie z pana majątku czerpię dobrobyt większy, niż ten, na jaki moja pensja wystarcza? Pan nie wiesz, co to jest, pan nie możesz wiedzieć. Ja mam to uczucie, że pod pręgierzem stoję, że wszystkich oczy zwrócone są na mnie. A jednak we własnych oczach nie, nie! Ja nie czuję się zbrodniarzem. Moja wina: gdybyś pan wiedział! Ale co to pomoże?

I Kilański zerwał się z miejsca, a w niezwykłym uniesieniu, zapominając, że jest w obecności pryncypała, począł chodzić szybkim krokiem po pokoju, od czasu do czasu ręką, czoło pocierając.

Złoczowski najsprzeczniejsze wrażenia odczuwał. Głębokie, malujące się na twarzy młodego człowieka cierpienie wzbudzało w nim współczucie; żal mu było wychowawca swego, i dawne przywiązanie budziło się w nim nanowo. Ale z drugiej strony ostatnie zwłaszcza słowa drażniły go. Kilański zdawał się nie pozuwać do winy. Swoją drogą tyle było prawdy w głosie i całej postawie jego, że wszystkie powątpiewania co do jego rzetelności pierzchały. Złoczowski byłby chciał pocieszyć go, przekonać, że choć chwilę temu zaufanie, jakie w nim pokładał, było mocno zachwiane, teraz wraca mu je, że wierzy w jego słowo honoru.

Ale postawa młodego człowieka nie dowodziła żalu i skruchy, słowa jego pełne były utajonych wyrzutów, skargi na niesprawiedliwość, a Złoczowski, wedle swego przekonania, nie tylko że obszedł się wspaniałomyślnie z urzędnikiem swoim, ale nawet z jego powodu nie uczynił zadość wymaganiom prawa. Przebaczył, a nie był pewien, czy miał prawo przebaczyć.

Więc zkąd te zarzuty, zamiast wdzięczności? Zkąd ten bunt, zamiast pokory? Jednak żal mu go było, bo cierpiał widocznie i wierzył mu, bo prawda tryskała ze słów jego.

Kilański uspokoił się trochę, zbliżył się znowu do swego pryncypała, ale nie siadł już, tylko, stojąc, mówił:

— W takich warunkach, gdybym miał zostać na miejscu, oszalałbym niezawodnie. Przystaję być panem siebie, staję się niemoralnym. Nie umiem już zdobyć się na rezygnację, ani na cierpliwość. Ja wiem, że tak dłużej trwać nie może. Dopóki tu będę, dopóty chwili spokoju nie zaznam. Pan to pojmuje, nieprawdaż? Ja tu dłużej pozostać nie mogę. Tylko tej chwili czekałem; musiałem zebrać sumę, by dług spłacić; musiałem wytrwać na miejscu, bo kto wie, gdzie i kiedy i jaką posadę znajdę, czy dość płatną, by zebrać prędko to, co mi było potrzebnem do życia więcej, niż sen, niż powietrze.

Kilański mówił w namiętneńm uniesieniu. Do tej chwili pryncypał jego mu nie przerywał.

Teraz jednak, gdy tamten zamilkł na chwilę, odezwał się:

— Powiedz mi, bo to dla mnie niepojęte, powiedz mi, jak ty, z twoją naturą, czując jeszcze żywiej, niż to przypuszczałem, jak ty mogłeś dopuścić się tego?

— Dopuszczyć się?—powtórzył Kilański z głęboką ironią, kładąc nacisk na tych słowach. — Ha! ha! ha! — roześmiał się głośno i gorzko.—Dopuszczyć się! To taka straszna zbrodnia! A gdybym połowy... — zaciął się znowu.

Złoczowski spoglądał ze zdumieniem na młodego człowieka. Przez głowę przesuwiała mu się myśl, że

Kilański zwaryował; może nie rozumiał zupełnie słów jego.

Kilański patrzył mu z blizką w oczy i nie zdawał się być obwinionym, ale oskarżycielem. Pozwolił wzburzeniu, tłumionemu długie miesiące, na wierzch się wydobyć. Puścił cugle swojej porywczej naturze. Bunt jawnie wypowiadał. Teraz dopiero oddychał swobodniej. Dług spłacił. Odzyskał niezależność od tego, który, w jego opinii, krzywdę mu wyrządza.

Nie boi się, nie kępuje się niczem. Naiwnym był dawniej, nie rozumiał zagadki, poczuwał się do wdzięczności dla swego pryncypała, służył mu, by się odwdzieczyć. Ale teraz zmieniły się czasy. Dowiedział się prawdy przypadkiem. Dowiedział się wkrótce po zaręczynach Złoczowskiego od starej Feliksowej, która dawne dzieje pamiętała, wiedziała wszystko. Więc poczuł się nietylko umysłem i wychowaniem równym swemu dobroczyńcy. Przestał go za dobroczyńcę uważać.

W tej chwili, widząc zdumienie Złoczowskiego, znowu bezsilnym się czuje.

— Nie warto się skarżyć — mówi sobie. — On nie zrozumie, albo nie zechce zrozumieć. Rzeczy nie zmienię. Mogę bez poczuwania się do wdzięczności opuścić tego człowieka, i to dużo; innego zadośćuczynienia nie dostanę.

Opamiętał się; zrozumiał, że dla Złoczowskiego, że dla nikogo w ogóle, słowa jego sensu nie miały;

zamilkł na chwilę. Czoło ręką przetarł, jakby ruchem tym łatwiej mógł rwące się myśli opanować. Przeszedł się znowu wzdłuż i wszerz po pokoju, nareszcie, innym już, spokojnym i naturalnym, głosem poważnie mówić zaczął:

— Pan się dziwi, jak ja mogłem dopuścić się czegoś podobnego? I ja nie rozumiem tego nigdy, boć ostatecznie nie mogę zaprzeczyć, że postąpiłem bezprawnie. Liczyłem na szczęście, przerachowałem się. Potrzeba mi było pieniędzy, przed ślubem zadłużyłem się u żyda, procenta wielkie musiałem płacić... Nie przypuszczałem, że znajdzie pan czas na przeglądanie rachunków. Zapłaciłem żyda, i myślałem, że, zanim pan obliczy różnicę, już wyrównać ją potrafię. Niech mi pan wierzy, że nigdy-był nie był się dopuścił czegoś podobnego, gdyby nie osobiste przekonanie, że...

Znowu unosić się począł.

Złoczowski nie mógł sobie zdać sprawy ze słów niedomówionych. Uniesienie administratora kładł na karb zdenerwowania. Teraz, kiedy sprawa malwersacji jaśniejszą stała się dla niego, zdobył się na trochę pobłażliwości. Upomniął jednak surowo młodego rządcę i kończył, mówiąc:

— Smutne to bardzo, że nie miałeś do mnie dosyć zaufania, by mi się zwierzyć ze swych materialnych kłopotów: byłbym ci dopomógł.

Kilański głowę podniósł do góry i nieco w tył,

zwykłym sobie ruchem, ją odrzucił. W oczach jego światło zamigotało. Już usta otwierał, by zawołać: „Co pan „pomocą” nazywasz, dławi mnie; ja wolę zginąć, niżeli prosić!”

Ale zamilkł; spokój i powaga Złoczowskiego oddziaływały na jego butę, jak spokojne wejście magnetyzera waryatów poskramia.

Złoczowski mówił:

— Czyn twój nie da się łatwo usprawiedliwić. Złe może być tylko złem; tej jednej zasady trzeba się ściśle trzymać, inaczej błędzić się musi. Ze słów twoich wnoszę, że jesteś niezwykle zdenerwowany, nie panujesz nad sobą. Zapracowałeś się. To źle. Wziąłeś obowiązki na siebie, masz rodzinę, musisz o niej pamiętać i obowiązek położyć na pierwszym miejscu, a nie fałszywą miłość własną. Bo i ta twoja spleta „długu,” jak ją chcesz nazwać, świadczy o wybujałej u ciebie miłości własnej, fałszywie pojętej ambicyi. Zamiast się po nocy zabijać, pracując już dniami całymi, trzeba było przyjść do mnie, szczerze mi powiedzieć, że masz zamiar spłacenia trochę fantazyjnie zaciągniętej pożyczki. Bylibyśmy to na dłuższe lata rozłożyli; nie byłbyś zdrowia narażał.

Kilański uśmiechnął się ironicznie: „na lata rozłożył splecę.” Tymczasem jemu się zdawało, że każdy tydzień, spędzony w Złotopolu, ukróca mu życie.

— Jesteś bardzo zdenerwowany ; powinieneś odpocząć, wytechnąć trochę. Ja ci chętnie urlopu udzielę; teraz mniej ważna dla nas pora. Pojedź na kilka tygodni do rodziny żony, zabierz ją i dzieci z sobą. Nie czytaj, nie pisz, kładź się o dziewiątej, śpij dużo, odzyskasz równowagę, którą tracisz w takim waryackim systemie życia.

Kilański z goryczą myślał:

— Jaki on zadowolony z siebie być musi! O ile wyższym czuje się odemnie! Chce mnie związać nowymi dobrodziejstwami. Ani sobie zdaje sprawy z tego, że egoistyczne pobudki nim kierują. Chciałby mnie zatrzymać, bo czuje, że nie łatwo mnie zastąpi; ale słowa uznania nie usłyszę od niego. On, dobroczyńca!

Pomylił się jednak. Złoczowski przerwał jego wewnętrzne *a parte*, mówiąc:

— Nie przypuszczam, abyś rzeczywiście chciał mnie opuścić. To pewnie tylko chwilowe zniechęcenie: nerwy! Tó przejdzie. Ty wiesz, że ciebie potrzebuję, że zastępcę twego niełatwo znajdę. Przykro by mi było rozstawać się z tobą pod każdym względem. Tyle co do mnie; ale chcę, byś pojął, że więcej mi chodzi o ciebie, niż o siebie w tej sprawie. Ja, tracąc ciebie, tracę dużo, ale ty, opuszczając Złotopole, tracisz więcej. I ty wiesz o tém dobrze; gdybyś był sam jeden na świecie, wolno by ci było rządzić się kaprysem, ale masz rodzinę.

— Wybacz pan — odparł Kilański dość spokojnie, miarkując się całą siłą woli, na jaką mógł się zdobyć. — Wybacz pan, ale ja tu pozostać nie mogę. Pan tego nie pojmujesz widocznie. To, co się stało, odstać się nie może, choćbym dziesięć razy dług spłacił, to... Nie, nie! Ja tu zostać nie mogę. Zanim nadto cierpiałem. Mam to wrażenie, że wszyscy ludzie, drzewa nawet i zwierzęta, podejrzliwie na mnie spoglądają. Nie! To niemożliwe. Niech mi pan wierzy. Proszę mi za złe tego nie mieć, ale postanowienie moje jest nieodwołalne.

Po chwili milczenia Złoczowski odezwał się:

— Gwałtu zadawać ci nie myślę; masz wolną wolę. W każdym razie, jeżeli tak postanowiłeś, ja mogę tylko zwrócić uwagę twoją na nierozważność postanowienia, ale sprzeciwić mu się nie zdołam.

Kilański byłby rad w świat ruszyć natychmiast, niezwłocznie, ale myśl o żonie i dzieciach przecież nie była mu zupełnie obojętną. Musiał się liczyć z materyalnemi przeszkodami. Nie miał grosza po spłaceniu długu. Czując, że nie narzuca się Złoczowskiemu, przeciwnie, że mu się przysłuży, odparł:

— Zostać nie mogę, ale, jeżeli pan pozwoli, zimę spędzę tu jeszcze. Tymczasem znajdę inną posadę, a pan do tej pory znajdziesz mego następcę.

Więc na tém stanęło.

Złoczowski, mocno wzburzony rozmową z Kilańskim, pozostał jeszcze chwilę w swej kancelaryi,

zanim zdecydował się zarzucić burkę, włożyć kapelusz, za łaskę chwycić i wyjść na słotne powietrze.

Spojrzał na zegarek: dwunasta. Za chwilę powinna Lunka nadjechać — pomyślał, dążąc w stronę lasu, którego wyrąb zajmował go bardzo.

Spotkam ich — myśli, a ukochana siostrzenica żywo staje mu w oczach. Nagle troska osiada na czole jego. Luna prawie od roku jest mężatką. Widział ją dwa razy po ślubie, pierwszy raz w kilka tygodni po jej zamążpójściu. Nie robił jej wtedy żadnych uwag, choć obawiał się dla niej na przyszłość rozczarowania, widząc ją tak po szalonym zakochaną, namiętnie przywiązaną do męża. Nie uważał jednak za stosowne wtrącać się do spraw jej serca; podług niego młode małżeństwo najlepiej na tém wychodzi, gdy się nikt do niego nie miesza. Wiec z niepokojem, ale bez interwencji, patrzył na Lunę, gdy oddawała mężowi najdrobniejsze posługi, mając to sobie za rozkosz.

Gdy Wacek sięgnął ręką do kieszeni po papierosa, Lunka zrywała się i biegła po zapalki, szczęśliwa, że raczy je z rąk jej przyjąć. Podawała mu łaskę i kapelusz, gdy się na przechadzkę wybierał; klęczała przy otomanie, gdy rozwalony leżał naksztalt padyszacha; po rękach go całowała. Ona szukała pieśczoty jego, nie on jej.

Gdy Wacio raczył być w złym humorze, Lunka spoglądała mu w oczy, pragnąc myśli odgadnąć

i chmury rozpędzić. Waciowi nie chce się listów pisać: ona go zastępuje. Wacio każe sobie głośno gazety czytać: czyta. On ziewa: ona pyta, czy dosyć? Jednym słowem, Wacio jest wszechwładnym panem, ona ostatnią z jego niewolnic. I w tém jej szczęście.

Ale Złoczowski, patrząc na to wszystko, pyta siebie: czy to prawda? Zna tę młodą osobkę, że póki słońce świeci, trudno o rozkoszniejszy widok nad jej rozpromienioną twarzyczkę.

Ale o burzę tak łatwo! Co to będzie, gdy przyjdzie do starcia pomiędzy temi dwiema gwałtownemi naturami? bo Złoczowski odgaduje, że Wacek nie należy dorzędu ludzi wyrozumiałych i łagodnych. Trudno także było odgadnąć, czy kocha żonę. Za pierwszej bytności państwa młodych w Złotopolu Złoczowski nie umiał sobie zdać z tego sprawy.

Gdy drugi raz widział ich razem, niepokój począł odczuwać, bo znudzenie widoczne było na twarzy Wacka.

Myśl ta dręczyła go; idzie naprzód, wpatrzony w błotnistą ścieżkę, wybierając możliwie suche miejsce, by nogę postawić.

Nagle, na znany głos kobiecy, głowę podniósł do góry i, oczom niedowierzając, spostrzegł żywą ilustrację obaw swoich.

— Czesiu! — wołała osobka drobna, elegancko ubrana, w futrze niebieskimi lisami obłożonem,

w modnym kapelusiku, bez woalki jednak, mimo ostrego wiatru.

Złoczowski stanął, jak wryty, w czasie, kiedy szybkim krokiem, nie zważając na błoto, młoda osóbką zdążyła ku niemu.

Ale w listopadzie nie wolno na błoto nie zważać. Niespodziane zjawisko zatrzymało się, wołając z przerażeniem:

— Kalosz utonął, Czesiu ratuj, nie mogę iść dalej!

I małą nóżkę, obutą w elegancki bucik, stała się w górę unosić, by nią czarnego gęstego błota nie dotknąć. Zanim jednak Złoczowski na ratunek podążył, młoda kobieta, nie mogąc utrzymać równowagi, nóżkę na rozmokły grunt spuściła z rezygnacją.

Przedewszystkiem kalosz z kałuży uratowano, potem dopiero zamieniono uścisk ręki, a Czesław, nie ochłonawszy jeszcze z zadziwienia, pytał:

— Co to jest? Co się dzieje? Zkąd ty się tu bierzesz? Nie wiem, czy oczom wierzyć?

— No, tak, to ja! Możesz im uwierzyć: ja, w swej własnej osobie.

— Zabłocona, zmokła, z zapuchłymi oczami, ze zmarzłym noskiem! Koniec świata! Co się dzieje?

Młoda pani Drohińska stała chwilę zakłopotana, zanim odparła:

— Nie przypuszczałam, że cię tu spotkam.

— A to oryginalne! Mnie tu o każdej porze spotkać można. W tym nie ma nic dziwnego, ale z kąd ty, zamiast jechać wygodnie karetą... Karetę posłałem po was, widząc jaka ślota.

Luna Drohińska dokończyć mu nie dała, przerywając:

— A tak, właśnie dlatego, że karetę...

Zacięła się.

— Cóż? Nie zastałaś koni na stacy? Sama jesteś? Gdzież Wacek?

— Ale bo mi nie dasz dokończyć. Tyle pytań naraz. Przysłałeś karetę, a ty wiesz, że ja karety nie cierpię. Duszę się.

Czesław popatrzał na nią z niedowierzaniem, ona zarumieniła się mocno, pomimo zimna.

— Jakto? — pytał — dlatego, że nie cierpisz karety (o czym pierwszy raz słyszę), dlatego z samej stacyi doszłaś tu piechotą?

— Nie, nie z samej stacyi.

— Po tym błocie? Lunko, co ci się stało? To nie do uwierzenia. Dlaczego Wacek nie przyjechał?

— Ale kto mówi, że nie przyjechał? Jedzie sobie uroczyście karetą. Jemu wygodnie—dodała, śmiejąc się sarkatycznie, a lzy kręciły jej się w oczach.

— Więc co to jest? Wyjaśnij mi tę tajemnicę.

— Żadnej tajemnicy nie ma!—odparła zniecierpliwiona Lunka—poprostu pokłóciliśmy się. No, tak,

nie patrz tak zdziwiony. Cóż? czy wy się nigdy nie kłócicie? No, to szczęśliwie, bo my często, coraz częściej. On zły, i ja zła: więc się kłócimy.

— I dlatego, żeście się kłócili, pozwolił ci tak po waryacku wyskoczyć na błoto, na deszcz, i iść piechotą?

— Czy pozwolił? Cóż to? Ty myślisz, że ja jestem w obowiązku słuchać jego rozkazów? Oho, co to, to nie! — odparła gwałtownie.

— Ależ, Lunko! — przerwał zafrasowany opiekun. — O rozkazach nie ma mowy, tylko o rozsądku.

— O rozsądku! Mój Czesiu, czyś ty mnie widział kiedy rozsądną?

— Nie często, ale przecież... po błocie!

— Po błocie, po błocie! — przedrzeźniając oburzony ton wuja, mówiła młoda kobieta.—Cóż w tém, że po błocie? Czy się utopiłam? Czy mnie błoto zjadło? Ty chodzisz po błocie: nie widzę, dlaczego ja bym chodzić nie miała.

— Przyznaj, że to trochę dziwne.

— Bo ludzie ze wszystkiego wielkie rzeczy robią; dziwne tylko dlatego, że z dworca kolei, z wizytą. Ja też miałam zamiar czekać tu na zakręcie i sięść do karety, aby zajechać podług głupich form światowych.

— Dlatego dziwne przedewszystkiem, że gdy się z mężem w drogę wybrałaś, to godziło się dla

oczu ludzkich skandalów nie robić i przyzwicie* się zachowywać.

— Kto robi skandale? Zkąd ty możesz wiedzieć, że to ja? To sławne! — zawołała z oburzeniem pani Luna.

Dążyli ciągle wązką ścieżką ku łąkom, ale „gęsiego,” bo inaczej nie było można. Idąc za nią, on robił swoje uwagi, a ona, gdy ją która z tych uwag zbytecznie drażniła, przystawała, zwracała się frontem do niego i temi rozgniewanemi oczami, w których błyskawice gniewu migotały, mierzyła go wyzywająco.

Spoglądającemu zdaleka scena ta mogła się nad wyraz zabawną wydać: ten wielki, silny mężczyzna, burką bez pretensyi okryty, ta maleńka osóбка, wykręcająca się wśród błota w drogocennym futrze i modnym kapelusiku.

Teraz Złoczowski spostrzegł, że woalkę w rękę trzymała i domyślił się, że ją zdjęła, by lzy z oczu ocierać. Serce z żalu mu się ścisnęło. Schwycił obie drobne rączki siostrzenicy, z którą braterski stosunek go łączył, niedopuszczający żadnych ceremonii.

— Biedactwo! — zawołał — biedactwo moje drogie! Więc ty nieszczęśliwa jesteś?

— Nie jestem — odparła, robiąc teraz skłopotaną minkę, jak dziecko małe, i oczy spuszczone — ale ja już mam taką naturę: gdy się z kim kłóczę, to za nie

przy nim usiedzieć nie mogę, nie mogę! To trudno. *Jedes Thierchen hat sein Manierchen* — dodała po niemiecku, usiłując śmiać się i żartobliwym mówić głosem, ale łyzy ciągle w oczach jej się kręciły.

— To wszystko smutne bardzo, Luneczko: tak być nie powinno. Od czego kobieca cierpliwość? — a żona na myśl mu przyszła i dumny był z jej taktu i z jej spokoju, pełnego dystynkcji.

— Wymyśliły męskie! Zkąd kobieta do tego przychodzi, by dawać przykład cierpliwości mężczyźnie? Skoro on się ma za mędrszego, to on przykład dawać powinien. Wszystko — dawne zmurszałe przesady. „Kobieta głupsza i słabsza od mężczyzny” — takie wasze zdanie, ale i to wasze zdanie, że „kobieta powinna mieć rozum, by ciągle panować nad sobą, powinna wiecznie ustępować mężczyźnie, a siebie zwalczać.” Gdzie tu logika? Sensu nie ma! Ja się przesadami nie rządę; skoro jestem głupsza i słabsza, to mnie dużo więcej wolno, aniżeli mężczyźnie. To moja logika, dużo sensowniejsza.

— To wszystko nie przeszkadza, że dla samej służby, dla komentarzy ludzkich, niepodobna, abyś tak się pokazywała.

— Co mnie służba może obchodzić? Zrobię to ustępstwo dla ciebie, i powiem, że spotkałam cię i wysiadłam z powozu, by się z tobą przejść. Ciekawa jestem, czemu jego nie widać? Stoi może na

drodze i czeka na mnie. Nie doczeka się. Zły musi być, jak osa.

Równocześnie z lasu, z głównej drogi wytoczyła się teraz czterokonna karetą. Złoczowski i Lunka przystanęli, czekając, by się nieco zbliżyła, a wtedy poprzeczną dróżką przez pola skierowali się ku niej. Luna dała się namówić, by się napowrót do karety i przyzwolicie przed dom zajeżdżać.

Złoczowski wahał się, czy ją odprowadzić i sięść także razem z młodą małżeństwem, ale uznał za stosowniejsze odpowiedzieć tylko ukłonem na ukłon Drohińskiego, w przekonaniu, że lepiej będzie, gdy choć pięć minut młoda para sam na sam zostanie i zdobędzie się choćby na pozorną zgodność.

Boczną dróżką wyprzedził powóz o tyle, że zdejmował burkę, gdy karetą przed dworem stanęła, i mógł wyjść na spotkanie gości, mocno zaniepokojony.

Przywitanie odbyło się podług wszystkich reguł. Halka, ze swoją powagą i pogodną twarzą, robiła honory domu, nie domyślając się w tej chwili, do jakiego stopnia obawy jej miały być uzasadnione.

Tylko lokaj i stangret, którzy z kozła zdziwieni patrzyli na niezwykle rzeczy, cieszyli się naprzód myślą, jakie wrażenie zrobi między ludźmi ich opowiadanie o tém, jak to się „takie wielkie państwo bije między sobą.” Bo na chwilę nie wąpili, że między młodą parą do rąk przyjść musiało, skoro na

środku drogi pani głowę przez okno wychyliła i wołać poczęła wielkim głosem:

— Stój, stój!

A pan z drugiej strony wrzeszczał: „Jedź do licha, ruszaj!”

I znowu po chwili „stój!” — aż stangret głowę tracił. Zanim zdążył rozkaz wykonać, już drzwiczki się otworzyły, pani młoda nie czekała, by lokaj pomógł jej wysiąść, tylko wyskoczyła w sam środek błota, i taka była czerwona, jak ten burak, i zapłakana. Pan puścić jej nie chciał, coś po cudzoziemsku głośno wykrzykiwał, a ona nie słuchała. „Myk”, już była na drugiej stronie rowu i do lasu na boczną ścieżkę, a potem ku dworowi. Pan czekać kazał, myślał, że wróci—nie wróciła; dopiero potem „nasz jaśnie pan” nadszedł, to i pani wrócić kazał, więc siadła „nazad”.

A czego uciekała? Bo ci ją mąż bić chciał: inaczey nie miała czego na deszcz z ciepłej „karyty” uciekać—ktoby jej kazał! Ot, tak-to i między „wielgiem” państwem bywa: mąż babę tłucze, kiej przeskrobie.

Do Wacka Drohińskiego tylko powierzchownie cywilizacya przyłgnęła; w gruncie był to człowiek z najlichszego, najgrubszego materiału wy-ciosany.

Materyalistą był przedewszystkiém. Pieniądze bóstwem jego były, a próżność rozrosła się w nim do

granic niebывałych i przechodziła zwykłą próżność ludzką.

Być bogatym, bardzo bogatym, aby mózż wszystkim pomiatać, to było celem jego marzeń i ambicyi.

Pomimo tych „szlachetnych” dążności, nie był zdolnym do podniesienia ręki na żonę, więc, naturalnie, nie ten był powód ekscentrycznego zachowania się Lunki.

Halka pierwsza miała się dowiedzieć, o co chodziło jej młodej bratowej. Luna z całą otwartością udała się do niej o radę i ratunek, bo zmartwiona była głęboko. Obie młode kobiety siedziały w owym gotyckim przybytku, który Złoczowski na pracownię dla żony artystycznie przyozdobił. Lunka, zanim przystąpiła do zwierzeń, rozglądała się po pokoju.

— O! stalugi! — zawołała, śmiejąc się, gdy twarz Halki lekkim rumieńcem się pokryła — zawsze tu stoją jeszcze? Cóż, zabrałaś się do rysunku?

— Do tej pory czekam natchnienia — odparła Halka, również siłąc się na ton żartobliwy.

— Czy Czesław wie?

— Czy co wie?

— Jakie-to były twoje zdolności? — pytała Lunka, uśmiechając się filuternie.

— A ty zkađ możesz o nich wiedzieć? — odparła Halka napozór obojętnie, w gruncie rzeczy trochę niespokojnie.

— Od Wacka, naturalnie! Mówił mi o różnych sztuczках. Dawniej — dodała z lekkim westchnieniem — teraz nie raczy. Podobno Czesław rozkoszował się twoim pseudo-talentem i porozwieszał sobie szkice Wacka w przekonaniu, że to twoje.

— Ja mu ich nie dałam — tłumaczyła się tym razem, mocno zaniepokojona, ale nie okazywała tego.

— Jakże ty z tego wybrnęłaś? Ciekawa jestem.

— Czesław czeka cierpliwie, aż mi ochota wróci; dlatego stalugi stoją i czekają także, choć mi zawadzają.

Halka głośno dodała:

— I nienawidzę ich z całych sił, bo czuję się upokorzona ich widokiem; one uosabiają komedję i kłamstwo w moich oczach.

— Więc on wierzy zawsze w twój talent?

— Wierzy. Proszę cię — dodała po chwilowym namyśle — nie odbieraj mu tych złudzeń. — Widzisz — rzekła napozór żartobliwie, w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie Lunki — mężczyznom złudzenia zostawiać trzeba. To im do życia potrzebne.

— Gdy mają lalkę, niech otręby za serce i duszę biorą, co? — rzekła Lunka, ani przypuszczając, że Halka wyrazi te za aluzyę do siebie wzięć mogła.

Teraz Halka podniosła na bratową zdziwione oczy, ale prędko przekonała się, że nie ją Luna miała na myśli, gdy wymawiała ostatnie słowa.

— Tak być powinno, to bardzo sprawiedliwie.

Jedni ubóstwiają żywe lalki, jak świętość, i płacą za tych, którzy poniewierają kobietami z sercem i duszą.

Halka rozumiała znaczenie słów tych i uczyła wielki wyrzut sumienia. Odpowiedzialną była za szczęście tej młodej kobiety, niestety! o szczęściu już mowy nie było.

— Jakie śliczne te kosze, Halko! — zawołała pani Drohińska. — Jak zręcznie zrobione! Nie przypuszczałam, że suche gałązki i drobne szyszki mogą złożyć taką artystyczną całość.

— Ładne są bardzo! — odparła Halka, i w oczach jej żywo stanęła pani Kilańska, która niegdyś tyle przysług jej oddała, tak bardzo starała się ująć ją swoją uprzejmością. — Te kosze to ona zrobiła; pracowała się nad niemi.

Nie! stanowczo Halka tego pokoju nie lubi. Wiedźnie koncentrując się na wewnątrz, wrażliwsza jest od wielu osób wylanych i otwartych. Odkąd, pod wpływem gorącego serca, i jej serce budzić się zaczęło z odrętwienia, od tej chwili i sumienie coraz częściej się odzywa.

Upokorzona jest we własnych oczach; żyjącą obok uosobienia prawdy i prawości, prawda i prawość pociągać ją zaczynały. Zdaje jej się, że, gdyby nie zgubne wpływy, które kierowały jej moralnym wychowaniem, inaczej czułaby dzisiaj, inaczej przedstawiałby się jej świat cały, inaczej pojmowała-

by życie. Chociażby chciała, nie może sercem pokierować i męża pokochać. To byłoby jej szczęście; ale poczyna rozumieć, że szczęścia warta nie jest, że nie zasłużyła na nie.

Złe i dobre — te słowa, dawniej bez znaczenia, coraz więcej wagi w oczach jej mają. Dlatego nie lubi pokoju gotyckiego. Stalugi uosabiają dla niej fałsz, a kosze, splatane przez panią Kilańską—nie wdzięczność.

Lunka nie przestaje się niemi zachwycać.

— Prawda! Cześć mi mówił, gdym tu pierwszy raz była, że to wasza perła nieoceniona, pani Kilańska, te śliczne kosze robiła. Cóż się z nią dzieje? Milutkie stworzenie, bardzo mi się podobała.

— Już ma drugie dziecko! — odparła z nietajonym westchnieniem Halka.

— Doprawdy? — zawołała Luna, żywo zajęta tą wiadomością. — Drugie już? Szczęśliwa! Chłopca, czy córkę?

— Dwie córeczki.

— Szczęśliwa! — rzekła, jak echo myśli Halki, młoda kobieta z rękoma splecionymi, w dal zapatrzona.

— Widujesz ją?

— Rzadko kiedy. Taka zajęta, nie chcę jej przeszkadzać.

— A cóż się dzieje z tym ulubieńcem Czesława, Kilańskim?

— Czy on doprawdy jest ulubieńcem Czesia? — pytała Halka, myśląc w duchu: — Jeżeli jest, to on sam z pewnością nic o tem nie wie.

Myślała o tem z pewną pretensją do męża, choć sobie z tego sprawy nie zdawała. W jej zamkniętym, odosobnionem życiu towarzystwo i rozmowa Kilańskiego stanowiły rozrywkę.

Ale on zrozumiał łatwiej i prędzej, niżby ona była sobie tego życzyła, że dawna zażyłość ma być zapomnianą. Wiedziony miłością własną, nie narzucał się nigdy, i Halka musiała szukać sposobności, by go spotkać i porozmawiać po dawnemu.

Jednak granice zostały zaznaczone, woli Czesława stało się zadość, a Kilański kładł to na karb uprzedzenia pani Złoczowskiej.

Lunka, żywo zajęta przedmiotem rozmowy, mówiła dalej:

— To przecież wiadome, że Kilański jest ulubieńcem Czesia; obejść się bez niego nie może! Nic dziwnego; podług mnie, on mógłby być ulubieńcem wszystkich. Taki gentleman i taki dystygowany. Ja bym chciała wiedzieć: zkad on tę swoją dystynkcyę bierze i te maniery? Ja w jego towarzystwie zawsze zapominam, że to rządcą Czesława.

— On też właściwie rządcą nie jest, tylko administratorem, plenipotentem.

— To wszystko jedno. Cześ sam gospodaruje, jest sam sobie plenipotentem. Ach! Halko, Halko!

nie bierz mi za złe tego, ale ja tak żałuję, że on już moim plenipotentem nie jest, że przestał być moim opiekunem!

Mówiąc to, młoda kobieta siadła na niskim taburecie i przysunęła się tuż do fotela, na którym Halka siedziała.

Halka ujęła drobne rączki bratowej w swoje ręce i pytała z głębokim niepokojem, z nietajoną troską w głosie:

— Dlaczego, Luneczko? Co się stało? Czy to być może, byś ty już żałowała?

— A ty nie jeszcze? Ja myślałam, że to tak zawsze po ślubie, że w rok, najdalej we dwa, wszystkie kobiety żałują. Tylko jedne tak, jak ja, głośno o tym mówią, a drugie, tak, jak ty, cicho siedzą, zrezygnowane. Ale ty mi nie powiesz, boś ty taka skryta.

Halka uśmiechnęła się smutno. Sama nie wiedziała, czy żałuje, czy nie; było jej źle, nie jest jej dobrze. Życie jej cięży, ale sama nie wie, czyby jej mniej ciężyło wnądzy, pod jednym dachem z matką?

Cóż lepszego miała do zrobienia? To jedno tylko poczytuje za fatalizm, że jej małżeństwo pociągnęło za sobą drugie, że jej bratowa nie jest zadowoloną z losu swego. Za jej przyszłość, zapowiadającą się tak burzliwie, ona odpowiada, a zapobiedz złemu nie może.

Stało się. I o ile serce czuć zdolne, o tyle ściska

się z żalu. Lunka jednak nie myśli robić jej zarzutów; całą odpowiedzialność wyboru męża bierze na siebie.

— Ja dobrze rozumiem — mówi — że sama sobie winna jestem. Tak ślepo mu się oddałam, tak go po szalonemu kochałam. Mama mi to mówiła, przestrzegała mnie. Ale taka już moja natura: wszystko, albo nic! O Boże, Boże! Halko, co ja pocznę, gdy już *nic*?

Zamilkła na chwilę, głowę w rękę kryjąc, poczem podniosła ją na nowo.

— Halko, zmiłuj się, ty może masz wpływ na niego?

— Wpływ? — myślała z goryczą Halka — na kogóż ja wpływ mieć mogę?

— Zmiłuj się! -- mówiła dalej pani Drohińska — trzeba mu to wyperswadować. Ty, albo Czesław musicie mu to wybić z głowy. On mnie ma za dziecko, uważa, że nie mam prawa głosu, a jednak ja mam słusność. Posłuchaj tylko. On chce — czy ty uwierzysz? on chce sprzedać Borkowce i Kalinkę. Mówi, że teraz nie opłaci się gospodarować, że każdy bank da mu większy procent, niż ziemia. Mówi, że gdy za te pieniądze weźmie akcye na różne przedsiębiorstwa, to może mieć dziesięć razy większe dochody. Ale ja nie chcę, nie chcę! — wołała teraz, unosząc się coraz więcej.

Poczém zerwała się z miejsca i stała naprzeciw Halki z iskrzącymi oczyma.

— Ja nie chcę większych dochodów. Ja nie chcę sprzedawać dóbr, które w posagu dostałam; Cześć tego nie dopuści. On chce sprzedać, Boże mój! Wiesz, komu chce sprzedać? Hirszowi, który między żydów Borkowce rozparceluje. To przecież zbrodnia! I on tego pojąć nie może, nie rozumie tego. . Powtórza tylko wkółko, że nikt mu tyle, co Hirsz, nie da. Przecież miał i kapitały, bo ja w posagu i kapitał dostałam, ale ty nie wiesz, kapitał zaryzykował na interes, który miał 50 procent przynieść. Mnie się zdaje, że na giełdzie w Wiedniu, doprawdy! Choć nie chce powiedzieć, nie chce się przyznać, ale stracił. Przepadło! Mniejsza o to, że przepadło. Ja mu przecież wymówek nie robię. Mamy przecież z czego żyć. Borkowce i Kalinka, to powinno wystarczyć. Nie umie gospodarować i nie lubi, ale mógłby puścić w dzierżawę. On powiada, że Polak dzierżawca źle płaci, albo wcale nie płaci. Ja żydowi w dzierżawę puścić nie pozwolę. Sprzedać też nie, nie, za nic w świecie. Przecież Czesław znajdzie na to radę. On tak doskonale gospodaruje, a żydzi nie dzierżawią majątków u niego nigdy!

Halka pomyślała:

— Tak, ale on lubi pracę, a Wacek jej nienawidzi.

Ale nie przerywała potoku słów bratowej, choć słuchała ich z przerażeniem.

— Ja jestem pewna — mówiła dalej Lunka — że gdyby sprzedał, to zaraz-by wszystko na giełdzie zaryzykował; ale mniejsza o to. Ja tylko nie chcę, za nic w świecie nie chcę, by żydzi zabrali moje ukochane Borkowce i Kalinkę. Ty nie wiesz, ale Czesław wie: straszna scena była między nami, teraz, w drodze. Bo on spotkał na dworcu kolei agenta Hirsza, który za nim chodzi, jeździ, ściga go wszędzie i kusi. Rozmawiał z nim cały czas i, gdyśmy siedli do powozu, nie chciał mi powiedzieć, co postanowił, choć ja z miny żyda wyczytałam, że coś się złego święci, bo był rozpromieniony. Straszna była scena. Ja z karety wyskoczyłam i szłam piechotą. To nie pierwsza scena. Zobaczysz, ja się kiedy utopię. Ja na to wyglądam. Ty nie wiesz, jak on mną poniewiera i nie dba o mnie. Nie, nie dba. Ty nie wiesz, jak on nadskakuje innym kobietom, mnie na złość. Wie, że jestem zazdrosna, o! wie doskonale! Nie umiem ukryć; sceny mu robię! On o mnie nie dba, nie dba!

I łkając, Lunka o kolana Halki głowę wsparła i przez lzy mówiła:

— Już się nawet bawić nie lubię; dawniej tańczyłam tak chętnie, a teraz!... On na balach nie spojrzy na mnie, nie wie, jak jestem ubrana. Wiesz, że on we Lwowie po całych nocach szampana pije i w karty gra; w Wiedniu jeszcze gorzej. Nie widzę go prawie. Na ostatnim balu nie wiedział, że mia-

łam różową suknię na sobie. Taki niedelikatny! Wiesz, co mi powiedział? Że w tym „czerwonym pokrowcu” do żydówki byłam podobna. Widzisz, to okropne! Chciał mi przypomnieć, że papa był Ormianinem, choć to nieprawda, bo papa był już w najlepszym razie Polakiem. Ale, że mam czarne włosy i czarne oczy... O Boże, Boże! Co ja temu winna?

W Halce serce zamierało, gdy słuchała tej skargi namiętej, gdy patrzyła na rozpacz bratowej.

— Więc tak źle jest? tak źle?

I strach ją zjął o tę młodą kobietę, która za kilka miesięcy matką być miała. Pierwszy raz litość głęboka w niej się obudziła.

Przytuliła głowę do głowy bratowej i mówiła:

— Biedne, biedne dziecko! Uspokój się, kochanko; może się da złemu zaradzić. Uspokój się! Denerwujesz się okropnie; to ci może zaszkodzić. Pamiętaj, pamiętaj, że zazdrościłaś pani Kilańskiej; pamiętaj, że i ciebie to samo szczęście czeka, ale trzeba więcej spokoju, nie trzeba zdrowiu swemu szkodzić. Pamiętaj!

Słów tych nic innego podyktować jej nie mogło, jak serce. Serce kobiece, które odgadło, jakie przypomnienie jest w mocy najwięcej otuchy i rezygnacji wlać do serca bliźniego. Przemówiła do matki, i Lunka natychmiast zrobiła wielki wysiłek, by odzyskać równowagę, by zapanować nad sobą, nie ze względu na swoje osobiste zdrowie, ale na bezpie-

ezeństwo tego małeństwa, za którego życie już odpowiedzialną była.

Lunka rzekła:

— Nie gniewasz się: to brat twój przecież. Wiedzisz, ja tobie pierwszej wolalam powiedzieć, bo się bałam, by Czesław nie uniósł się i by do zerwania między nim a Wackiem nie przyszło. To byłoby okropne! Ty jedna możesz złemu zaradzić. Pomów z Czesiem; powiedz Wackowi. Ty z pewnością spokojniej i rozsądniej mówić będziesz; ja nie potrafię. Bo, widzisz, mnie się zdaje, że już ratunku niema, że Wacka serce stracone dla mnie. Nawet czasem myślę, że mnie nigdy nie kochał, że tylko grał komedję, bo to komedyant. Przepraszam cię: ja ciągle zapominam, że to twój brat; ale to mój mąż przecież, więc to jeszcze gorzej dla mnie, niż dla ciebie. Jego serce stracone, więc jedyna moja nadzieja i pociecha, to może, iż dzieci mieć mogą. Ach, Boże! to jedno tylko! Gdyby ich mieć jak najwięcej, dwanaścioro, choćby osiemnaścioro! — i wśród łez śmiać się zaczęła.

Halka uśmiechnęła się także, ale smutnie, i teraz przysłuchiwała się machinalnie tylko temu, co bratowa mówiła do niej. Zatopiła się we własnych myślach, a myśli te były niewesołe.

Mówić z Czesławem! Tego żądała Luna od niej, a to przecież jest zbyt ciężkie zadanie. Co ona mu powie? Że brat jej jest nikczemnikiem? że unieszczę-

śliwia żonę swoją? On nie wybaczy, jego sąd będzie nad wyraz surowy.

Potępi jej brata nieodwołalnie; do strasznej sceny przyjść może między nimi, bo Wacek wymówek nie zniesie.

Potępi i ją także. Przecież ona wstawiała się za Wacka, ręczyła za serce jego.

Jakże bronić się będzie?

Strach ją zajmuje. Tego boi się przedewszystki-
m, by nieufności męża nie obudzić nadobrze. Już
niepokój przejmuje ją często, gdy wspomni owo unie-
sienie Czesława w rocznicę ich ślubu. Już śledzi
wzrok jego, głos jego, w obawie, czy się nie zmienił.
Czy zachowanie jego nie jest różne od tego, jakie
dawniej było?

A teraz jakąż misyę powierza jej bratowa?

Misyę otwarcia oczu mężowi na postępowanie
brata: misyę wzbudzenia w nim nieufności.

To ją wielką trwogą przejmuje; cofa się od tego.
Dałaby wiele, by pocieszyć stroskaną kobietę, ale
nie widzi sposobu, by pociechę znaleźć. Jedno tylko
wie, że się boi, i że użyłaby wszelkich sposobów, by
odwrócić od siebie gniew męża. Więc szuka wybie-
gów wobec własnego sumienia. Luna się ludzi. Cze-
sław nie zaradzi złemu, nikt nie zaradzi. Czuje do-
brze, że tylko zwłoka nastąpi, że przyjdzie chwila,
gdy mąż jej sam z siebie dowie się o wszystkim;
ale chciałaby odwlec chwilę tę do nieskończoności,

a przynajmniej wolałaby stopniowo, potrosze oswoić go z myślą nieszczęścia siostrzenicy.

Więc teraz, gdy widzi ją nieco spokojniejszą, gdy Lunka, ze zwykłą zmiennością swej wrażliwej natury, już się uśmiecha wesoło i buduje zamki na lodzie, radząc nad tēm, czēm jej syn będzie — bo syn musi być koniecznie — gdy mu świetną przyszłość gotuje, Halka, korzystając z tego szczęśliwego zwrotu w jej uspośobieniu, przemawia do niej spokojnie, z powagą, a słowa jej dlatego, że, napozór takie rozsądne, wywierają wielkie wrażenie na pełnej uniesień i niekonsekwencyi młodej kobiecie.

— Trzeba się nad tēm głęboko zastanowić — mówi — to jest rzecz wielkiej wagi. Czy dobrze będzie wtajemniczać Czesława w wasze osobiste sprawy? Pomyśl tylko! On przecież Wackowi zakazać nie może sprzedaży. Mógłby mu odradzać, ale jeżeli twoja prośba nie przekonała go, to i Cześ go nie przekona. Cześ jest zwykle spokojny i rozważny, ale ja go znam: w tym jednym wypadku uniósłby się niezawodnie. I jakiż byłby koniec takiego mieszania się w wasze sprawy? Poróżnienie się tych panów. Tym razem ty byłabyś z Czesiem przeciw mężowi; to pogorszyłoby stan rzeczy. O zgodzie między wami już-by mowy być nie mogło, a przecież choć dla oczu świata, dla dziecka waszego zgoda być musi. Wierz mi, Lunko, w sprawy małżeńskie nikt mieszać się nie powinien; może da Bóg, że porozu-

miecie się sami, bez interwencji obcych głosów. Ja znam Czesia, znam Wacka także. Wierz mi, posłuchaj mojej rady; najlepiej byłoby ukryć starannie przed Czesławem nieporozumienia wasze. Inaczej zajść mogą takie zatargi, panowie ci tak się do siebie zrażą, że nawet widywać się nie będzie nam wolno. Uzbrój się w cierpliwość i w rezygnację, droga moja; tak źle nie będzie. Może Wacek odstąpi od zamiaru sprzedaży dóbr. Tylko pamiętaj, że gdyby do tego przyjsć miało, donieś o tém mnie przedewszystkiem, a nie Czesławowi; ja go przygotowuję. Ale mam nadzieję, że się bez tego obejdzie. Z Wackiem pomówię. Wierz mi, że tak lepiej. Wacek nie darowałby ci skarg, zaniesionych na niego do twego dawnego opiekuna. Miłość własną męską oszczędzać trzeba. Przeciwnie, jeżeli razem z nim wobec trzecich osób będziesz się starała zachować pozory zgody i dobrych stosunków; on to oceni w tobie i wdzięczny ci za to będzie; a skoro razem żyć musicie, to najlepiej nie stawiać rzeczy na ostrzu miecza.

Lunka przysłuchiwała się uważnie. Od czasu do czasu potrząsała głową i miała ochotę przerwać, dosłuchała jednak cierpliwie do końca.

Ostatnie argumenta przekonały ją zupełnie. Kochała jeszcze męża; byłaby dała część życia swego, by jego miłość pozyskać; im bardziej wydawało jej się to niepodobnem, tém więcej, zrażając się, męża sobie zrażała.

Ale teraz, gdy jej błysnęła nadzieja ujęcia go sobie, postanowiła chwycić się tego środka. Tuląc się do Halki, dziękowała jej za rady.

— Ty taka mądra jesteś — mówiła — tyle masz taktu! Ja taktu nie mam wcale; wiem o tém. Gdybyś ty zawsze radzić mi mogła, pewnie byłoby mi lepiej na świecie. Możeby mnie Wacek kochał jeszcze. Ale on mnie ma za nic. Tylko pamiętaj — kończyła, ożywiając się nanowo — pamiętaj, że ja nie dopuszczę, by nasze dobra Hirszowi się dostały, gdyby do tego przyjść miało.

— Ty, Luneczko, pamiętaj przedewszystkiem o przyjściu dziecka — przerwała jej Halka łagodnie. — Niewolno ci się drażnić i denerwować. Uniesienia gwałtowne szkodzą zdrowiu twemu.

— Prawda! — odparła Lunka, a przypomnienie to wywołało blask dumy i radości w jej oczach. — Ach, Halko — mówiła — wtedy wszystko się zmieni. Wtedy ja będę szczęśliwa. Muszę być! On może kochać będzie syna swego i mnie wróci serce, jako matce jego dziecka. Jak ty myślisz?

— On ciebie i dziś kocha niezawodnie — odparła Halka, by pocieszyć bratową, choć słowom swoim nie wierzyła.

— Tobie się tak zdaje, bo Cześ taki w tobie zakochany, jak w pierwszej godzinie po ślubie, i myślisz, że wszyscy mężowie do niego są podobni. Tobie nie do szczęścia nie potrzeba — mówiła teraz,

zapominając, że chwilę temu inaczej myślała — tylko dzieci. Ach! gdybyś ty dzieci miała! To takie szczęście! — wołała z uniesieniem, jakby już przynajmniej pół tuzina była wychowała. — Trochę cierpliwości — pocieszała bratową — zobaczysz, że i na ciebie przyjdzie kolej. Jeszcze się tej rozkoszy doczekasz.

Halka uśmiechnęła się smutno, straciła już nadzieję, a Bóg jeden wiedział, jak bardzo pragnęła ziszczenia się proroctwa Luny.

Namiętnie pożądanie tego jednego szczęścia stało się dla niej *idée fixe*.

Pragnienie to zwracało myśl jej do Boga; wesechnienia gorące posyłała do tego, który „może” słyzy jej wołanie.

„Może”. Ona tego nie jest zupełnie pewną, ale się modli. Jeżeli Bóg słucha, to jej się zdaje, że taką modlitwę wysłuchać musi; życie nabrałoby wtedy innego znaczenia dla niej. Pewną jest, że gdyby miała dziecko do kochania, to pokochałaby świat cały w zamian za to szczęście, pokochałaby męża.

Wyznałaby mu wszystko, usunęła zaporę z ich życia; on przebaczyłby: musiałby przebaczyć dla dziecka.

Byłoby jej dobrze tak dobrze na świecie!

To, co ona myśli, to samo głośno mówi jej bratowa.

Rozumieją się wybornie w tym kierunku. Słowa

Luny wywołują echo w sercu Halki. Dziwna rzecz! To serce zdolne jest dotąd ukochać tylko marzenie. Dawniej przeszłość w osobie zmarłego człowieka, teraz przyszłość w postaci niezdożytego może szczęścia.

Luna tymczasem, zupełnie pocieszona nadzieją tego, co ją czeka, zapomina chwilowo o przykrościach życia. Łatwo daje się uspokoić. Pragnie złudzeń. Rady Halki wydają się jej zbawiennymi; myśli się do nich zastosować. Twarzyczka jej promienieje znowu weselem.

Więc chwilowo niebezpieczeństwo minęło; Halcie nic nie grozi.

Owe trzy dni, które państwo Drohińscy spędzili w Złotopolu, przeszły bez żadnych złych następstw. Drohiński, im więcej znęcał się nad żoną, gdy byli we dwoje, tem staranniej grał komedię miłości wobec Złoczowskich. I on bał się Złoczowskiego. Byłby wolał uniknąć zatargów i starał się do pewnego stopnia o dobre z nim stosunki, o tyle, o ile Czesław nie wchodził mu w drogę: tego nie byłby zniósł z pewnością.

Czesław w drogę wchodzić mu nie myślał, choć nie był zupełnie spokojny i o losy siostrzenicy. Scena, która na drodze do Złotopola się odegrała, była dla niego wyjaśniona. Nie narzucał się jednak, jako powiernik, siostrzenicy, tylko pilnie obserwował młodą parę; nie mógł wszakże spostrzedz między

nimi niezgody i uraz wzajemnych. Starał się wmówić w siebie, że burza była chwilowa tylko, a, znając gwałtowne usposobienie siostrzenicy, nie był wcale pewien, czy nie ona burzę wywołała.

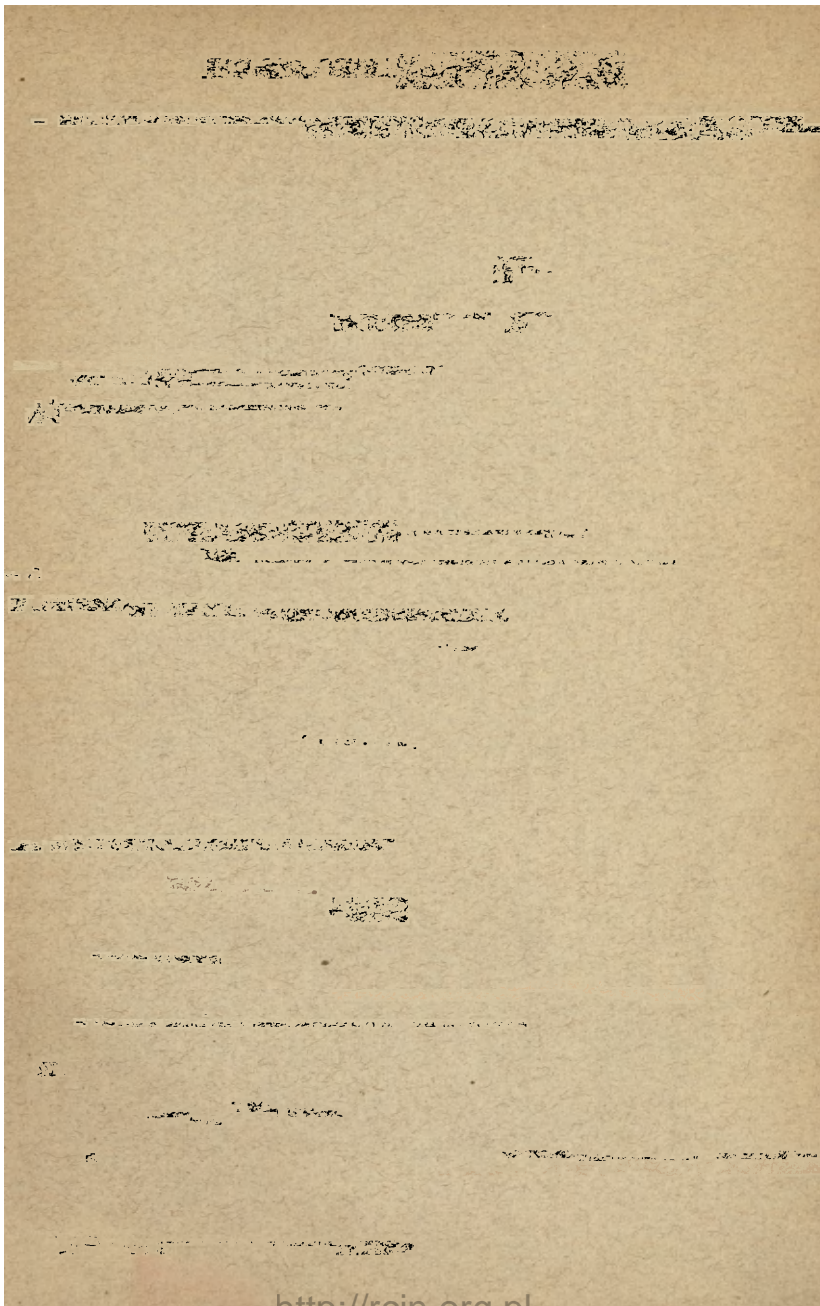
Lunka zaś, z wrażliwością i zmiennością sobie właściwą, darowała winę mężowi. Choć poznała w nim komedyanta, zapominała o tém łatwo i pierwsza padała ofiarą jego komedyi. Gdy tylko objawił jej trochę względności, poczyniała się łudzić, że serce jego zdobędzie.

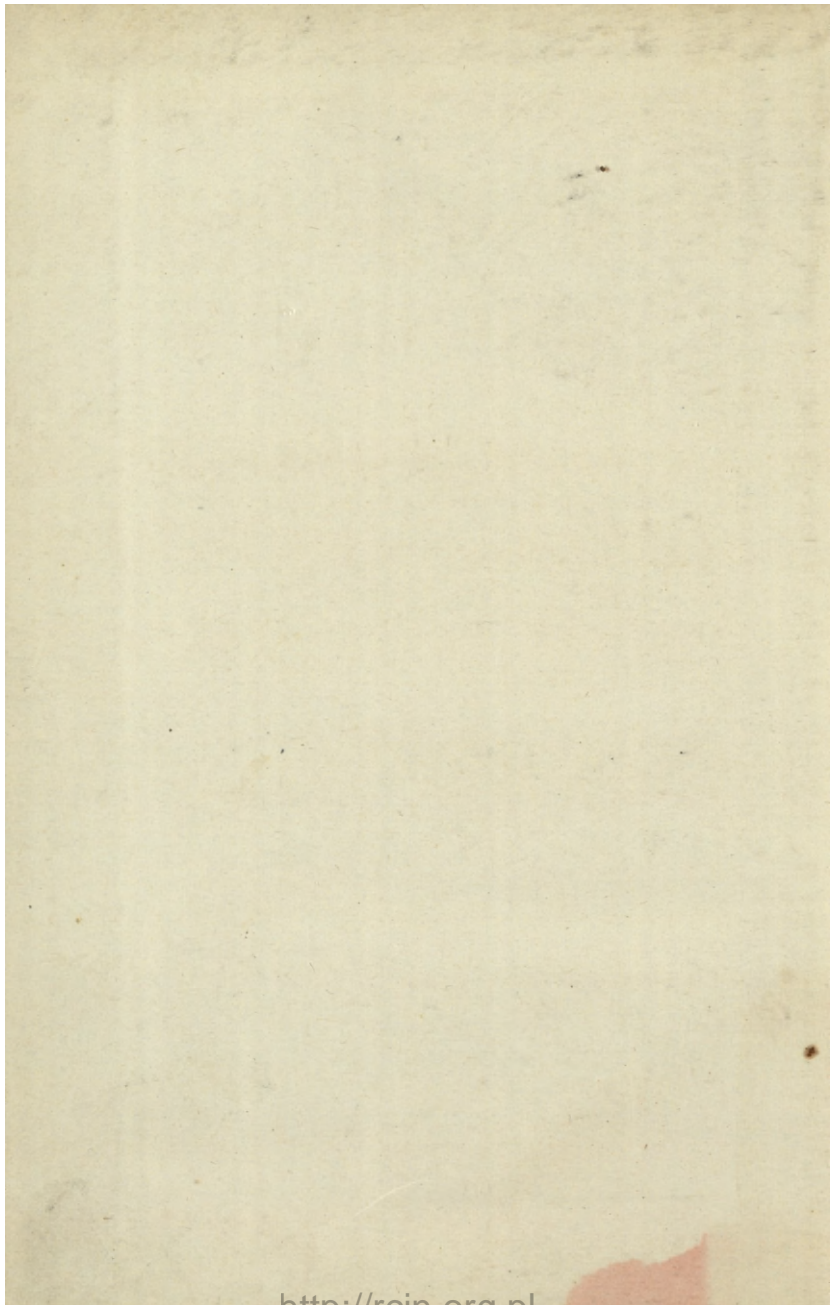
W Złotopolu łudziła się; to do szczęścia było jej konieczne, a rozpromieniona myślą przyszłego macierzyństwa, wesołą była. Czesław to jedno mógł tylko widzieć, że jest zupełnie zadowoloną z losów, a ona wdzięczną była Halce za jej rozsądne, najlepsze rady.



akc. 94/66K

<http://rcin.org.pl>





8277/63

N. 7/2

39. —

14.716
1.